

Rogosz Józef

TAK BYĆ MUSIAŁO

Powieść

— Jak tu pięknie i wesoło... a w duszy tak smutno! — myślało dziewczę o włosach jasnych, oku niebieskim i czole spokojnem.

— Doprawdy, tak mi smutno, a bez przyczyny — dodała półgłosem rzucając przeciągłe spojrzenie w świat daleki, który przed nią się roztaczał.

Siedziała na ławeczce drewnianej, na końcu cienistej alei lipowej. Na lewo alea biegła do gazonu zdobiącego fronton obszernego dworu wiejskiego, na prawo ostatnie jej drzewa rzucały cień na mur niewysoki, za którym ciągnęły się łąny i lasy, przecięte nasypem drogi żelaznej i rwiącą rzeką, która płynęła aż z gór owych, widnych w oddaleniu mil kilku. Dziewczę pochyliło główkę, a wsparłszy ją na dłoni, okiem spokojnem wpatrywało się w arabeski, które na piasku rysowała jej prawa rączka

końcem białej parasolki. Sukienka na niej także była biała, tylko niebieska wstążeczka obwijająca kresę a la Mria Stuart, i tegoż koloru przepaska we włosach, przerywały monotoność ubrania. A pięknie jej było w tym stroju porannym, bo młodości, gdy się z nią skojarzy wdzięk wrodzony, we wszystkim pięknie.

Czeniu na twarzy dziewczęcej osiadł smutek taki? Ona sama nie wiedziała... i nie raz bardzo ją to dziwiło, że jeden poranek witał ją wesołą drugi zamyśloną.

Miała lat siedmnaście!

Z zadumy obudził ją świst nadjeżdżającej lokomotywy. Szybko powstawszy zbliżyła się domuru, a zasłaniając się parasolką od natrętnych promieni słońca, które wzbilo się już dość wysoko, przypatrywała się długiemu szeregowi wozów, które powoli toczyły się ku stacji, widnej na boku, o kilka tysięcy kroków. Pociąg był towarowy.

Z ręką na murze, stała patrząc przed siebie jakby bezmyślnie, a ptaki do koła świegotwały na gałęziach, lipy rozlewały woń miodową i wietrzyk pochylał kłosa falujące na łąkach obszernych.

Od strony dworu zbliżał się tymczasem mężczyzna słuszny i szczupły. Twarz jego była łagodna mimo wąsów sumiastych, a w oczach

nie zgasi jeszcze dawny płomień, chociaż włosy jak śnieg białe wydobywały się z pod słomianego kapelusza. Szedł zaś krokiem wymierzonym i trzymał się prosto, jakby za młodu wojskowo służywał.

Dziewczę nie słyszało cichych kroków na piasku, którym alea starannie była wysypana, i obróciło się dopiero usłyszawszy głos za sobą:

— Dzień dobry, Toniu, dzień dobry! Czy godzi się w dniu tak uroczystym nawet nie spytać o ojca? Szukam cię od kwadransu...

— Przepraszam cię, ojczulku, — odrzekła córka — ale gdym do ogrodu wychodziła, Grześ powiedział mi, że tatko pojechał do Romanówki.

— I uszczęśliwiona, że nie będziesz potrzebowała nudzić się ze mną, pobiegłaś dumać... O, filutko, lo egoizm!

— Teraz jabym się powinna zapytać czy godzi się ojczulku oceniać mnie tak surowo? — odparła dziewczyna z uśmiechem.

A dziwny byt ten uśmiech. Niby wesoły, niby figlarny, rzekł byś nawet nieświadomie zalotny — a jednak po za tą wesołością, bystre oko mogło dostrzedz jakby mgłą melancholji.

— No, no, nie gniewaj się dziecię! — zawołał starzec, biorąc głowę córki w swoje dłonie

i wpatrując się w jej oczy niebieskie — Grześ

prawdę ci powiedział. Do Romanówki sam dziś jeździłem, aby na folwarku wydać dyspozycje i pocztą odebrać, która dziś była bardzo obfita.

— Są jakie listy?

— Są do nas wszystkich.

— A od Edmunda?

— I od Edmunda, ale o tem potem... Tونیu moja droga — mówił dalej starzec siadając na ławeczce, — dziś twoje urodziny, więc cóż ci życzyć w dniu tak uroczystym?

— Kochaj mnie tylko ojczulku, a będzie to najpiękniejszym życzeniem, bo wszystkie moje pragnienia będą spełnione.

— Wszystkie?... Miłość ojca to jeszcze nie wszystko moje dziecko! Ona sama nie zapewni ci szczęścia, a ja przede wszystkim pragnę twego szczęścia.

— O, ja wiem żeś ty dobry, mój ojczu! — zawołało dziewczę, przyciskając usta do szorstkiej ojca ręki.

Starzec pocałował córkę w czoło, a łza, która mu z oka spadła na jej włosy jasne, zamykała w sobie wszystkie jego życzenie i całe błogosławieństwo.

— I cóż Edmund pisze? — zapytała Tonia po chwili, wpatrując się w ojca uważnie.

— Nic nadzwyczajnego... ukończył studja.

podróżami znudził się, przynajmniej tak twierdzi, i...

— I co?

— Zgadnij.,

— Nie wiem.

— I prawdopodobnie dziś do nas przyjedzie.

— Dziś?!— zawołała Tonia na wół z radością, a na wół ze zdziwieniem, i na bladej jej twarzy ukazał się rumieniec lekki, ale tak lekki, że osłabione oko starca nie mogło go dojrzeć.

— Tak mi się zdaje, bo list wysłał z Wiednia, więc jest już z powrotem. Zresztą gdyby nie miał zamiaru dziś przyjechać, byłby załączył życzenia dla ciebie.

— Jakto, więc o mnie ani wspomniał?

— I owszem... jak zawsze przysyła ci swoje ukłony.

— Ukłony... powtórzyła Tonia machinalnie, a odwróciwszy głowę patrzyła czas jakiś na szczyty gór, rysujące się na widnokręgu. Potem rzekła głośnie:

— Jak ci się zdaje ojczulku, czy z Edmudem powinnam być jak dawniej?

— A dlaczegożby nie? Wychowaliście się razem, on ciebie uważał za siostrę, ty jego...

— Prawda,—przerwała Tonia— ale nie widzieliśmy się blisko rok, więc może nie wypada...

Mama utrzymuje, że panienska w moim wieku...

— No, no, jakoś to będzie! — odparł sta rzec całując ją w czoło.

— Toniu! Toniu! — dał się słyszeć głos silny, kobiecy, z przeciwnego końca alei.

— Mama mię woła, do widzenia ojczulku! Ale... gdzie listy dla mnie?

— Jest tylko jeden, zdaje mi się od pani Herminy, zostawiłem go na biurku w twoim pokoju.

— Antosiu! — dało się słyszeć jeszcze silniejsze wołanie.

— Ach! mama już się gniewa — szepnęła panienska, a pożegnawszy ojca odeszła krokiem przyspieszonym.

Na terasie narożnej, z której był widok z jednej strony na ogród, z drugiej na dziedziniec, okolony murowanymi zabudowaniami, stała osoba czterdziestokilkoletnia, niskiego wzrostu i wcał dobrej tuszy. Strój był na niej poranny, skromny, domowy; tylko biały czepeczek, ugamirowany pasową wstążeczką, klócił się z twarzą równego koloru.

Wsparłszy się o balustradę, patrzyła w głąb alei.

— Ach! Toniu, jak ty każesz długo na siebie czekać! — zawołała, ujrzawszy córkę nad

chodzącą. — Ja wołam i piersi sobie zrywam, a ty idziesz jak byś nóg nie miała.

Córka nic nie odpowiedziawszy wbiegła szybko na terasę od strony dziedzińca.

— Przepraszam cię mateczko — rzekła całując ją w rękę — ale chwilę z ojcem rozmawiałam.

— Że też wy zawsze macie z sobą do gadania, jak gdybyście się sto razy na dzień nie widzieli. Ja wołam i wołam, mało mi pierś nie pęknie, a wiesz przecie że na piersi coraz bardziej zapadam.

Tusza i cera twarzy mówiącej wcale tego nie potwierdzały. Tonia milczała.

— Już jedenasta, czas pomyśleć o toalecie.

— Ach, mateczko, mnie się zdaje że mojej toalecie nic nie brakuje.

— Co, w tym muślinie?

— Dziś tak gorąco!

— Ależ Toniu, cóżby świat na to powiedział? Moja córka nie może przedstawić się jak pierwsza lepsza szlachcianka lub popadjanka. Dziś właśnie kończysz lat siedmnaście, trzeba zatem przyzwoicie pokazać się światu. Weźmiesz...

Mówiąca nagle przerwała, gdyż w tej chwili bystre i wiecznie biegające jej oko, padło na małą wiejską dziewczynę, która wyszedłszy ze stajni,

szła szybko przez dziedziniec, ukrywając coś pod fartuszkim.

—Iwronka.—zawołała głosem donośnym,— poczekaj! — Co ty tam niesiesz? Pewnie mleko dla jakiegoś parobka! — Poczekaj, dam ja tobie!

— Proszę jaśnie pani — odrzekła dziewczyna w narzeczu małosukim zatrzymując się pod terasą i trwożliwie oczy w dół spuszczać— to próżny garnuszek dla pani Pędrackiej.

— Aha, próżny garnuszek, zapytam ja się... Ale wynosiłaś coś do stajni?

— Nie proszę jaśnie pani.

— To idź że, czemu stoisz jak gęś! — i gniewnie ręką machnęła.

Dziewczyna odeszła, a pani zwróciła się znowu do córki.

— O czym to mówiłam? Aha... weźmiesz więc tę suknię pompadur, którą przywiozłam przed tygodniem i ten złoty garnitur, który ojciec darował ci zeszłego roku na imieniny. Dziś skończyłaś siedmnaście lat i w świat wchodzisz.

— Prawda, moja mateczko, ale ja się boję bym w tej sukni materjalnej z długim ogonem śmiesznie nie wyglądała.

— O patrzcie, dziś mędrsze jajo jak kura! Czy to ja nie wiem jaki dla ciebie strój najwłaściwszy? Przecie będziemy mieli mnóstwo gości.

zjedzie się całe sąsiedztwo, a hrabia Dziunio. także nas odwiedzi. Nie chciałabym by o mnie miał złe wyobrażenie, bo za córkę tylko matka odpowiada.

— A mnie się zdaje, że sukienka myśli. nowa...

— Dosyć tego Toniu! jak cię widzą, takcie piszą! Już ja wiem najlepiej co komu przystoi — ubierz się więc...

Nie dokończyła, bo tuż za sobą usłyszała dźwięk padających talerzy. Zelektryzowana pobiegła do okna, które z kredensu wychodziło na terasę.

— O ty Grzešku, niezgrabo, znowu coś stłukłeś! Na rany boskie pewnie moją porcelanę... Co ja mam z tymi ludźmi? Muszę ich wszystkich wypędzić, bo umrę ze zgryzoty!

— Proszę jaśnie pani, dwa talerze zsunęły się ale żaden się nie stłukł.

— Szczęście twoje, bo byłabym ci ztrąciła z zasługi. A jak będziesz Pawłowi pomagał przy herbacie to nie gap się niezgrabo, boś znowu gotów oblać kapotem suknię pani hrabinie... Toniu — dodała wracając od okna — w sukni pompadur będzie ci bardzo do twarzy, a jak hrabia Dziunio zbliży się do ciebie, to staraj się rozma

wiać z nim jak najdłużej i być dla niego bardzo grzeczną.

— Alboż ja dla niego byłam kiedy niegrzeczną?

— Nie, moja Toniu, tego nie twierdę, ale uważałam kilka razy, że coprędzej chciałaś się go pozbyć

— Bo mnie niesłychanie nudzi,.. O niczem nie można z nim mówić tylko o koniach i psach, a ja się na tem nic nie rozumiem.

— Nie powinnaś dziwić się moja Toniu, to dobry ton. Hrabia Dziunio bywa w takich towarzystwach, że z pewnością wie co wypada.

— Być może — odrzekła Tonią kwaśno — ale Hermina, która jest także hrabiną i obeznaną z formami wielkiego świata, podziela najzupełniej moje zdanie i nazywa go próżnym arogantem.

— E i... pani Hermina to znowu co innego... Ją gniewa że hrabia jej nie nadskakuje.

— Wątpię... mnie się raczej zdaje że chciałby, ale ona trzyma go z daleka.

— Ho, ho, Toniu, gdzieś ty się nauczyła takiego rozumu? Dopiero pół roku jak z pensji wróciłaś, a już robisz uwagi jak osoba dojrzała. Czy to tylko nie nauki pani Herminy?... przyznam się żeby mi się to bardzo nie podobało.

— Niech mateczka będzie spokojna — od

powiedziała Tonią poważnie, a głos jej brzmiał stanowczo ; — nauki Herminy są tak szlachetne, że mogą wyjść tylko na moją korzyść. Nie znam osoby lepszej i rozumniejszej.

Matka chciała coś odpowiedzieć, lecz na przeciwległym końcu podwórza dał się słyszeć łoskot, i w tej samej chwili, przez wół otwarte drzwi od stajni wypadło źrebię, i w dzikich skokach rzuciło się ku bramie ogrodowej, dokąd je wabiła zieleń pokrywająca gazon i rabaty.

— Janie! Walenty! Grzesku! Iwrońka! — zaczęła krzyżeć matka pięknej Toni — zamykajcie bramę! Na rany boskie, co ja mam z tymi ludźmi! To ty Iwrońka zostawiłaś od stajni drzwi otwarte. Poczekaj, dam ja tobie! A ty Walenty coś robił, żeś źrebięcia nie pilnował? O mój Boże! to same darmozjady, oni mnie do grobu wpędzą! Janie, zamykaj bramę, bo mi źrebię kwiaty potratuje!

— Kasiu, nie irytuj się tak, Kasiu! — dał się słyszeć głos poważny znanego nam już starca, który wracał z ogrodu.

— Nie irytuj się, dobrze ci mówić, ale gdybym ja tu nie pilnowała, toby wszystko marnie poszło.

— Przecież nie stało się żadne nieszczęście. Wielka rzecz że źrebię wybiegło. Złapią i odprowadzą.

J w rzeczy samej, służba zwołana donośnym głosem swojej pani, zamknęła bramę od ogrodu i sprawcę awantury odprowadziła do stajni. Tymczasem Tonią korzystając z ogólnego zamieszania, pobiegła do swego pokoiku. Na biurku znalazła list od Herminy. Skromny monogram, biały papier i pismo dość duże, a kończyste, świadczyły, że list pochodził od osoby dobrze wychowanej. Pani Hermina wynurzając obawę, że gwałtowna migrena może jej nie pozwoli uściśnić kochanej Toni w dniu jej urodzin, posyłała swoje życzenia wypowiedziane szczerze, i bez przesadnej sentymentalności. Kończąc, załączyła także życzenia od wujaszka, który sam nie pisze, gdyż właśnie pracuje nad bardzo ważnym, rozdziałem w swojej „Kronice świata.”

— Szkoda że nie przyjedzie — szepnęła Tonią, list do szufladki chowając, a otworzywszy okno, wychodzące na ogród, usiadła przy nim i głowę wsparła na białej rączce.

Nie długo trwało a weszła matka krokami przyspieszonym.

— Toniu, czemuś mi nie powiedziała, że Edmund ma dziś przyjechać?

— Bo nie miałam czasu. Zresztą nie ma nic pewnego. Tatko tylko przypuszcza.

— Ej, wy się coś zmawiacie! Pamiętaj.

Toniu abyś go przyjęła zimno, jak najzimniej, i niech cię Bóg uchowa mówić mu ty.

— A jak?

— Przecie wiesz że tego chłopca nie lubię.

— Wiem, mateczko, ale nie wiem za co... Wszak on mamę tak poważa.

— Poważa... piękne mi poważanie! Chodzi z ojcem całem! godzinami, bawi się z tobą, a mnie traktuje, jakbym tu była klucznicą, a nie panią domu. Młody człowiek, który starszych nie szanuje, nic nie wart. Moje przeczucia nigdy mię nie zawodzą. Dlatego jeśli kochasz swoją matkę i chcesz doznać błogosławieństwa boskiego, słuchaj mojej woli.

— Ale już rok prawie jak Edmund nie był w domu, więc może się odmienił... może teraz będzie tylko z mamcią rozmawiał.

— Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan pewnie nie nauczy. Pamiętaj Toniu! — dodała podnosząc palec do góry na znak ostrzeżenia.— A teraz zajmij się toaletą, zaraz ci tu Julcię przyszłe. _____

Tak być musiało.

II.

Pan Kazimierz Zawilski był jedynym synem bardzo zacnych rodziców, którzy pod Karpatami posiadali kilka wiosek dobrze zagospodarowanych. Rodzice kochali i pieścili Kazia, a Kazio po śmierci ojca, który go wcześniej odumarł, zajmując się gospodarstwem zajeżdżał konie i namiętnie polował. Przywar nie miał żadnych, chyba że wstręt do książki nazwiemy przywarą. Ale tą przywarą odznaczała się do niedawna cała młódź szlachecka, a pan Kazimierz był jej wiernym przedstawicielem.

Gdy dobiegał pełnoletności, matka, którą siły z każdym dniem opuszczały, zaczęła go prosić, by sobie wybrał życia towarzyszkę. Syn uznawszy te uwagi za słuszne, pojął w sąsiedztwie panienkę cnotliwą i piękną, do której szczerze się przywiązał, będąc nawzajem kochanym. Trzy lata żyli przykładnie i szczęśliwie, ale po trzech latach pan Kazimierz zosta! wdowcem bezdzietnym.

Od tego czasu posmutniał, prawie ztetryczniał. Naprózno matka starała się synowi żal wyperswadować; naprózno namawiała go do powtórnych związków ; — pan Kazimierz był głuchym na perswazje i rady. Wybuchła wojna. Pan Kazimierz wziął kilku chłopaków dworskich, a pożegnawszy matkę, która długo nie mogła rozłączyć się z jedynakiem, wyruszył na wojnę. Bił się rok cały, dosłużył się stopnia majora, ale podczas wzięcia stolicy raniony odłamem granatu, padł bezprzytomny i przeszło pół roku odleżał potem w lazarecie. Odzyskawszy zdrowie, wrócił do domu, ale tu zastał wszystko inaczej jak zostawił. Matka umarła przed półrokiem zostawiając synowi majątek i błogosławieństwo ; rządca gospodarzył myśląc więcej o swoich korzyściach niż o właścicielu, o którym wieści zaginęły; a służba przyjęta w ostatnich czasach, powitała dziedzica jak człowieka obcego. Jedyną osobą, która zaraz na wstępie okazała panu Kazimierzowi nieklamana życzliwość, była klucznica, pani Barbara Krzywicka, wdowa po szlachcicu zagrodowym. Służyła ona we Wolicy od lat kilkunastu, więc pana Kazimierza pamiętała bardzo młodym.

Pani Barbara miała córkę, Kasię, nie tyle ładną, co gospodarną. Nasz major nie zwracał

z początku na nią uwagi, ale gdy pewnej nocy pani Barbara po ośmiodniowej chorobie na zapalenie płuc przeniosła się do wieczności, pan. Kazimierz, widząc, że teraz sam zostanie, poszedł do oficyn, a stanąwszy przed sierotą, rzekł ze łzami w oczach:

— Panno Katarzyno, Bóg wziął ci matkę a mnie przyjaciółkę. Odtąd nie będę miał przy sobie duszy życzliwej, a że i tobie byłoby może przykro szukać gdzie indziej obowiązku, więc obejm obowiązki po matce. A co, zgoda? Kasia została.

Upłynęło lat kilkanaście. Naszemu majorowi szron włosy przyprószył, i rany coraz bardziej' zaczynały dokuczać. Z Kasi zaś, z tej małej, piętnastoletniej Kasi, zrobiła się bardzo poważna panna Katarzyna, która już oddawna pragnęła zamienić swoje nazwisko na jakie inne, byle nie pospolite. Wprawdzie w tym czasie zgłaszali się leśniczowie, ekonomowie i pisarze prowentowi, ale panna Katarzyna pomna na swój klejnot szlachecki, każdemu bez ogródek odpowiadała, że za „byle kogo wyjść nie może." W miarę jak lat przybywało, ubywało konkurentów, a gdy trzeci krzyżyk zanotowała w tajemniczym kalendarzyku panińskiego żywota, z niemałym strachem

postrzegła, że już od dwóch lat nie było kandydata do kosza.

Koło pana Kazimierza chodziła tymczasem jak to mówią na palcach. Rodzona siostra nie mogłaby okazywać więcej pieczołowitości. Ilekroć jątrzyły się dawne blizny, całemi nocami czuwała przy jego łożu i nieraz zdarzyło się, że chory przymknawszy oczy ze znużenia, słyszał na własne uszy, jak panna Katarzyna uklękawszy na boku modliła się, głośno prosząc dlań o zdrowie. Czyż człowiek zacny mógłby na to być obojętnym? Pan Kazimierz był też wdzięcznym prawdziwie i nieraz mówił do córki pani Barbary.

— Wierz mi panno Katarzyno, gdyby nie ty, może byłbym już dawno umarł. Cobym ja począł, gdyby mnie ciebie brakło?

Właśnie gdy te słowa dwudziesty piąty raz powtórzył, panna Katarzyna westchnęła głęboko, a potem spuściwszy oczy szepnęła;

— A jednak panie majorze, może już niezadługo będę musiała pański dom opuścić.

Pan Kazimierz wypatrzył się na nią ze zdziwieniem.

— Co też pani mówisz, panno Katarzyno, alboż ci to źle w moim domu? Wszak nieraz powtarzałem, że gdybyś i za mąż wyszła zostawiłbym was oboje.

— Wiem, że pan major bardzo łaskaw, ale pan major zapomina, że dziewczynie służącej u nieżonatego, nie tak łatwo wyjść dobrze za mąż...

— Ej, co też panna pleciesz! Jam stary, schorowany... chyba by ten Boga w sercu nie miał, ktoby mógł plotki rozsiewać. Ot przysłyszało się coś pannie Katarzynie i kwita!

— Mnie się nie przysłyszało... źli ludzie ciągle się nami zajmują...

— Oszałeli! Przecie panna Katarzyna sama wiesz najlepiej, że to nieprawda.

— Jużci że wiem, ale ludzie wierzyć nie chcą. Właśnie dziś była u mnie klucznica z Warwanowiec i tyle mi nagadała, zem potem dwie godziny płakała. Mnie przykro porzucić pana majora, bardzo przykro, ale Bóg świadkiem że muszę... Dobra sława, to dla biednej dziewczyny skarb największy.

— Nie przeczę panno Katarzyno, nie przeczę — odparł pan Kazimierz i zamyślił się głęboko.

O czym myślał? O zasługach tej dziewczyny, która lat kilkanaście strawiła przy jego boku, o swoim usposobieniu skwaszonym, o zdrowiu, które domagało się bezustannej opieki dobrej kobiety, wreszcie o przyszłości samotnej, która go czekała. Tej przyszłości lękał się najbardziej.

żyjąc tak długo w zupełnym odosobnieniu od świata bał się nowych stosunków, nowych ludzi.

Pół godziny myślał, a po pół godzinie rzekł poważnie.

— Rozumiem twoje obawy panno Katarzyno, i bardzo mi się podoba, żeś mi szczerą prawdę powiedziała. Da Bóg jutro odpowiem ci na wszystko.

Nazajutrz w południe pan Kazimierz nie wezwał jej do siebie, ale sam poszedł do oficyny i ktoby temu dał wiarę, najformalniej oświadczył się o jej rękę.

— Wprawdzie jestem już stary i schorzały, mówił między innymi — ale za to potrafię być mężem uczciwszym niż niejeden furfant. Rodziny nie mam by mi wyrzuciła, że biorę dziewczynę biedną ; widoków na przyszłość także nie mam, szlachcianką jesteś panna po mieczu i kądzieli, gospodarstwa umiesz pilnować, a że i sama nie jesteś bardzo młodziutką, więc mam nadzieję że głupstwa nie będą ci w głowie. Oto masz mnie jakim jestem. Jeżeli przystaniesz panno Katarzyno, do sześciu tygodni odprawimy wesele.

Nie trudno się domyśleć, że na żołnierskie to przemówienie panna Katarzyna zapłoniona po białka oczu odpowiedziała potwierdzająco. Wprawdzie służba szeptała sobie potem na ucho, że

panna Katarzyna sama tę kabałę oddawna ukartowała, ale ponieważ nie mamy daru odgadywania cudzych tajemnic, więc chcemy wierzyć, że ostatnia jej rozmowa z majorem była szczerą.

W rzeczy samej, do sześciu tygodni, ku wielkiemu zgorszeniu całej okolicy, odbył się w Romanówce ślub, a wesele we dworze we WoJicy, największej posiadłości majora, gdzie nowożeńcy stale zamieszkali.

Człowiek strzela — pan Bóg kule nosi. Ktoby się spodziewał że pan Kazimierz Zawilski, tak wcześnie złamany i do świata zniechęcony, odżyje dopiero w jesieni swojego życia. I odżył nie sztucznie, ale pełną piersią, bo do roku zona powiła mu córkę, której na chrzcie dano imię Antosia, a którą później przez skrócenie zaczęto nazywać Tonią.

Wprawdzie pani Katarzyna nie należała do osób, które w pożyciu domowym wielką przyjemność sprawiają, — wprawdzie wskutek wychowania i dawnego stanowiska w mowie swojej i całym postępowaniu zachowała bardzo wiele wspomnień, które nawet tak mało wymagającemu majorowi nie raz dokuczyły, ale on na to nie zważał i wszystko jej przebaczał, bo w zamian za drobne przykrości przyniosła mu skarb cały— dziecię.

Gospodarna, zapobiegliwa, uczciwa, mogłaby się nawet nazywać żoną wzorową, gdyby nie narowy, które byłby z niej wykorzenił mąż inny, chcący oddać się edukacji żony, ale których bądź nie chciał bądź nie umiał oduczyć jej pan Kazimierz. Najpierw pani Katarzyna była niesłuchanie gderliwą, za co odpowiedzialność spada na całą służbę dworską, która najłagodniejszą nawet klucznicę musi zrobić gderliwą, — a powtórę wiecznie się jej zdawało, że każdy chce jej wytykać niskie pochodzenie, skutkiem czego pozowała, jakby na świat przyszła nie w oficynie, lecz w komnatach karmazynem obitych.

Często zdarza się, że gdy mężczyzna we wieku majora, ożeni się z kobietą energiczną a o kilkanaście lat młodszą od siebie, ona zawojuje go najzupełniej, tak że tylko jej wola jest jego wola. Rozminęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy twierdzili, że pani Katarzyna nie miała takich zamiarów. Owszem, jak ślimak rożki, tak ona w tym kierunku wyteżała nieraz cały swój spryt kobiecy, lecz nigdy jej się to w zupełności nie udało. W drobnostkach mąż ustępywał dla świętego spokoju, ale w rzeczach ważnych miał zawsze swoją wolę. Przekonała się o tem w pierwszym zaraz roku pożycia małżeńskiego.

Pan Kazimierz miał na Mazurach starego przyjaciela i towarzysza broni, pana Macieja Krzemieńskiego, który w smutnej pamięci r. zginął razem z żoną. Po zabitych zostało się dziecko, chłopczyk sześciolatek, który podczas rzezi cudem ocalał. Zaczynał major postanowił wziąć do siebie małego Edmunda i zająć się jego edukacją. Plan ten pani Katarzynie bardzo się nie podobał. Czy bała się może, by dla obcego dziecka ojciec nie zapomniał o własnej córce, która w tym czasie na świat przysłała? Mąż nie słuchając uwag żony, pojechał, przywiózł chłopca i zaczął się nim zajmować jak własnym dzieckiem.

Pani Katarzyna podrażniona tem niepowodzeniem, nie mogła odtąd przebaczyć Mundziowi, że wbrew jej woli zamieszkał we Wolicy.

A mały Mundzio niczem nie zasłużył sobie na jej niechęć. Chociaż temperament miał gorący, powiedziałbym nawet ognisty, był posłuszny, nikomu żadnej przykrości nie wyrządził i chętnie spełniał każdy rozkaz starszych. Ile razy na dzień mógł oderwać się od książki biegł do małej Toni i jakby nie był chłopcem, lecz dziewczynką, która już na świat przychodzi z uczuciami macierzyńskimi, kołysał dziecko całymi godzinami, nucąc na tony najrozmaitsze ludowe pieśni, których niegdyś uczyła go piastunka. Dziecie spało, a gdy

się zbudziło i dużymi niebieskimi oczyma spojrzało na Mundzia, którego czarne oczy jak dwie gwiazdy odbijały od smagłej cery, zaraz uśmiech pojawiał się na usteczkach Toni i drobne jej rączka szukały szyi przybranego braciszka. Cichy ten obrazek napełniał zawsze szczęściem serce pana Kazimierza.

We Wolicy kilka lat grobowa panowała cisza, — przerywana chyba zrzędzeniem pani domu, która rozumiejąc się dobrze na stosunkach służbowych wszędzie zaglądała, do wszystkiego się mieszając. Nie była też z nikogo zadowolona, z wyjątkiem pani Pędrackiej, terażniejszej klucznicy, która sprytem i pochlebstwami potrafiła sobie zaskarbić jej względy. Ją jedną pani zaszczycała swoim zaufaniem, z nią jedną naradzała się we wszystkich stanowczych chwilach życia.

Z sąsiedztwa rzadko kto zjrział do Wolicy, bo długo nie chciano pani Zawilskiej przebaczyć jej pochodzenia, a i major sam lubiący przedewszystkiem zacisze domowe i rozumiejący dobrze że Kasią nie można się pochwalić, unikał towarzystwa; dopiero gdy dzieci podrosły, gdy ich szczybioty i zabawy ożywiły smutny dotąd dwór i ogród, gdy Edmund otrzymał gubernera, a Tonią bone, kobietę bardzo miłą i wykształ

cona, i gdy dzięki tym osobom pani majorowa „o świat się otarła,” dopiero wtedy sąsiedztwo zaczęło się zbliżać do majora, zapraszać go do siebie i zjeżdżać do Wolicy. Pan Kazimierz jak przedtem był obojętnym na niechęć tych, z którymi ściśle stosunki nigdy go nie łączyły, tak teraz nie zwracał uwagi na ich uwagę; natomiast pani Katarzyna była tem niezmiernie uradowaną, gdyż jak Pędracka utrzymywała, świat poznał się na jej wartości.

Sąsiedzi przyjeżdżali więc chętnie, a chociaż pan Damazy wracając do domu często rzucał uwagę, że gdy pani majorowa mówi, czuć od niej jeszcze zapach mleka i sera, a gdy idzie przez salon, brakuje jej tylko kluczków, by była w dawnej roli, mimo to nikt tych słów nie brał tak jak brzmiały, zwłaszcza że sąsiedzi wiedzieli, iż pan Damazy dla tego pozuje na arystokratę, że jedna z najdalej jego kuzynek wyszła za jakiegoś hrabiego, który cierpiąc na nieszkodliwe pomieszanie zmysłów, zamiast pójść do domu obłąkanym, ożenił się z nią nie wiedząc jak i kiedy.

III.

Dzień był lipcowy — prześliczny; niebo, chciało także uczcić urodziny Toni.

We dworze ruch co raz się zmniejszał, bo na przyjęcie gości wszystko już było przygotowane. Służba w strojach świątecznych stała na wschodach i w przedpokoju, a Grześ, który pani majorowej bał się jak ognia, modlił się w duszy do wszystkich świętych by go wsparli, niedopuszczając żadnego wypadku przy herbacie.

Pani majorowa wyświeżona i wystrojona, chodziła po salonach ostatnie wydając dyspozycje, a Tonia w ciężkiej sukni materjalnej, która widocznie nie sprawiała jej przyjemności, to stawała przy oknie, to wychodziła na ganek, patrząc mimowoli na drogę wiodącą do stacji kolei żelaznej.

Grześ mimo całej swojej niezgrabności musiał być dobrym chłopcem, bo gdy uwielbiana przezeń panienka oddalała się z ganku, on zapatrzony w jakiś punkt na drodze, oderwał się

nagle, a pobiegłszy za Tonia, szepnął jej do ucha głosem urywanym a radosnym:

— Panicz jedzie!

— Jedzie ? — powtórzyła Tonia przy drzwiach się zatrzymując.

— A jedzie!... Poznałem nasze szpaczki pannuńciu... To pan major posłał na kolej Walentego. i Tonia zakłopotana nie wiedziała, czy odejść czy zostać. Twarz jej najpierw spłonęła, potem pobladła i oczy w dół opadły, jakby lękała się spojrzeć na drogę. Szczęście że prócz Grzesia na ganku nikogo nie było.

Została.

Niedługo trwało i przed ganek zajechał wózek węgierski.

Po drobnym piasku koła cicho się zatoczyły; Walenty wbrew zwyczajowi nie trząsał z batoga.

Na wózku siedzący młodzieniec spojrzął na ganek, a ujrawszy towarzyszkę pierwszej swojej młodości, uśmiechnął się już z daleka i po kilkakroć skłonił się kapeluszem. Gdy konie stanęły, jednym skokiem był na ganku przed Tonia.

— Witajcie mi, witajcie! Jak się masz droga Toniu! — zawołał radośnie z okiem roziskrzonym, wyciągając do dziewczęcia obie ręce.

Ona podała swoją rękę, a rzuciwszy po za siebie bojaźliwe spojrzenie, przysunęła się doń szeptając:

— Jak się masz... Edmundzie.

Całe jej zachowanie zdradzające niepokój i ton z jakim te słowa wymówiła, zadziwiły młodzieńca. Nachyliwszy głowę i patrząc w jej oczy, zapytał poważnie:

— Co to znaczy Toniu? Czyście się dla mnie zmienili? A może ten strój poważny robi cię tak poważną?

Tonią nie wiedziała co odpowiedzieć. Na jej szczęście dał się słyszeć głos ojca, który w tej chwili wyszedł na ganek.

— A to co? — przemówił z łagodnym wyrzutem. — Dzieci, co to znaczy? Stoicie jakbyście razem trzech zliczyć nie umieli. Edmundzie! Toniu! zaraz mi się uściśnijcie jak Bóg przykazał. Wiecie, że nie lubię ceremonji.

Ona przycisnęła się do jego piersi — on pocałował ją szczerze jak siostrę.

— Tak mi się podoba! zawołał major. — Jak się masz Edmundzie!

I młodzieniec rzucił się w objęcia starca. A piękny to był chłopiec. Smukły, śniady, o oku ognistym, czole szerokim i ustach energii

cznych, prawdziwy typ męskiej siły i męskiej piękności.

— chodźmy teraz do matki — rzekł major po pierwszych słowach powitania.

Pani Katarzyna zajęta ciągle służbą, ani się domyślała, jaka scena odbyła się na ganku. Gdy wszedł Edmund, przywitała go bardzo zimno, chociaż przez wzgląd na obecnego majora chciała udae czułą, i okiem przenikliwym zaraz Tonie zmierzyła. A musiała coś odkryć w jej twarzy, bo tłumiąc wewnętrzne niezadowolenie, usta przygryzła.

O szóstej z południa zaczęli się zjeżdżać goście. Wkrótce cały dziedziniec był zatłoczony powozami, faetonami i wózkami; w salonach majorostwa zrobiło się gwarno i wesoło. Panowie, poważne matrony, akademicy którzy do rodziców przyjechali na wakacje, młode panienki, słowem wszyscy cisnęli się do solenizantki aby jej złożyć swoje życzenia, już od lat kilku dzień ten był we Wolicy uroczyście obchodzony, więc dla tego taki zjazd i gwar taki.

Podczas gdy młodzi bawili się w salonie, kilku panów starszych przechadzało się po teresie, paląc cygara.

— Co słychać u ciebie, kochany sąsiędzie? zapytał pan Damazy, zwracając się do mężczyzny

średniego wzrostu, z brzuskiem wcale okazałym i twarzą okrągłą a rumianą.

— Bieda i bieda — odpowiedział pan Krzysztof. — Jak tak dalej potrwa, słowo honoru wszyscy pójdziemy z torbami. Chłop nie nie robi tylko pije, siana mało będzie bo słońce wypaliło, a wódka wciąż spada.

— Co do wódki, toś źle zrobił, żeś jej na wiosnę nie sprzedał, ja mojej wyzbyłem się jeszcze w zimie.

— E! ty i bez tego mogłeś się obejść i nie byłbyś nic stracił, — zauważał pan Jakób przechadzający się po prawej stronie pana Damazego.

— Jak to rozumiesz sąsiędzie? — zapytało na raz kilka głosów.

— Bo to widzicie, nasz Damazio opowiada o swojej wódce, a wy byście ani przypuścili z czego on zacier robił i jak łatwo ją sprzedał.

— No powiedz.

— Zeszę) zimy przyjeżdżam raz do Damazia późnym wieczorem. Gospodarza nie zastaję w domu, tylko jego panią i rządcę, który zaraz na wstępie zaczął skarżyć się przedemną, że nie ma z czego zrobić zacieru, bo Damazio wyjeżdżając ani grosza nie zostawił, a produktu w domu nie było. Woły tymczasem ryczały w stajni aż się serce krajało. Domyślając się gdzie Da

mazio wyjechał, kazałem zaraz zaprządź i pędzę. Przechucie nie omyliło mię... u jednego z naszych sąsiadów zastaję kochanego Damazia przy zielonym stoliku, a przy nim nie mniej nie więcej tylko ośmiu czarnych Mołdawianów. Przybliżam się i szepczę mu do ucha, że w domu wyglądają go z niecierpliwością, na co ofuknął mnie mówiąc: — Ależ daj mi święty pokój, ja tu z tych czarnych djabłów robię zacier!

— I zrobił.? — zapytał pan Krzysztof, któremu bieda tak dokuczała.

— Zrobił! Do rana wygrał trzydzieści tysięcy guldenów.

— A to zuch z Damazia! .Słowo honoru dobry zacier, dałbym pięć reńskich żeby mi się taki udał! — zaśmiał się pan Krzysztof.

— Brawo Damaziu, brawo! powtórzyli inni śmiejąc się na różne tony.

Pan Damazy przyjął ten okrzyk za hołd przynależny jego zasłudze; był on zdania, że kto ogrywa Mołdawianów, ten spełnia czyn prawdziwie patrijotyczny.

— Nie wiesz kochany sąsiedzie czy hrabia Olpiński przyjedzie tu dziś ze swoją piękną siostrzenicą?

— W południe, — odparł zapytany — wstąpiłem do nich, ale widziałem się tylko z panią Herminą.

— o patrzcie jaki z niego filut! Odwizda piękne kobietki.

Pan Jakób uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Hrabia, mówił dalej, siedział w swoim gabinecie i o ile mi się zdaje leczył się z łaźni, którą odbył przed trzema dniami...

— Łażni... A to co za łaźnia ?

— Jak widzę, nie macie nawet wyobrażenia o tem co się w sąsiedztwie dzieje... Hrabia tak się zapracował pisząc jakąś tam kronikę, i wertując... ten... tego... jak to on się nazywa Damaziu?

— Montesquieu.

— Aha, tego Monteskiego, iż przed dwoma tygodniami dostał tak silnego uderzenia krwi lo głowy, że z pewnością byłby do reszty zbzikował. Pani Hermina wysłała go do miasta.. Tam ktoś mu poradził, by poszedł do łaźni parowej. Łażnia bardzo mu dobrze zrobiła, bo wróciwszy do domu, był weselszy i jakiś czas mówił do rzeczy. Po kilku atoli dniach ataki znowu się powtórzyły. Hrabia chodził godzinę po ogrodzie, dumał, potem zawołał swego Michałka, kazał mu wyciąć kilka prętów łożyny, zamknął się z nim w swoim gabinecie a przytoczywszy mu najpierw, jak według zwyczaju, kilka ustępów z tego Monteskiego, potem tak do niego prze

mówił; Widzisz mój Michałku, ja z nauki dostaję zawrotu głowy, co w moim wieku może być bardzo niebezpiecznym. Otoż w mieście poradzono mi, bym poszedł do łaźni... tam bili mię po ciele małemi frzeczczkami i to mi dobrze zrobiło, alenie na długo, zaledwie na kilka dni. Otoż jeżeli teraz każę się lepiej przetrzepać, pewnie całkiem wyzdrowieję. Słuchaj Michałku, Ja zrzucę surdut, a ty będziesz mię bił temi oto prętami, które ci kazałem przynieść. Tylko nie żałuj, choćbym krzyczał, nie żałuj, bo to mi wyjdzie na zdrowie.

— Ale proszę jaśnie pana hrabiego ja nie śmiem!

— odpowiedział pokornie Michałek skrobiąc się w głowę. — Co to nie śmiesz, kiedy ja każę ta słuchaj, bo inaczej zaraz cię wypędzę! Michałek ze strachem wziął pręt do ręki, hrabia zrzucił tymczasem surdut i kamizelkę. —

Zaczynaj! — zawołał. Michałek dotknął się go prętem ledziutko. — Lepiej! — Michałek pociągnął lepiej. — Oj! jeszcze lepiej! — Michałek usłuchał rozkazu.— Oj! Oj! Oj! — mocniej! — Michałek stopniując dawkę uderzył tym razem z całej siły, i nie czekając co dalej będzie, skoczył przez okno do ogrodu. Chłopczyk tak się przestraszył, że bez tchu biegł pół mili i aż u mnie się zatrzymał.

— Cha! cha! cha! — zawołali słuchacze — a to pyszna historia! Więc Michałek sam ci to i opowiadał? I

— Sam. Dwa dni trzymałem chłopca u siebie, dopiero przedwczoraj odesłałem go hrabiemu. Jestem pewny że ta łaźnia nie pozwoliła mu dziś wyjść do mnie.

— Ależ to oryginał! — zauważył pan Da mazy — Szkoda że hrabia.

— Niesłychany! — potwierdził drugi z obe cnych.

— O wilku mowa, a wilk tu! — zawołał: pan Krzysztof, który obrócony w tej chwili plecyma do mówiących, patrzył na drogę wiodącą z Wolicy do Warnowiec.

I rzeczywiście drogą topolową toczył się elegancki faetonik parą dzielnych gniadoszów zaprzężony. Na koźle siedziała powożąc młoda i piękna kobieta; obok niej widać było pod olbrzymim parasolem, który miał chronić od kurzu niemłodego i zgarbionego mężczyznę.

Rozmawiający na terasie podzielili się na dwie części. Jedni zbliżyli się do balustrady, drudzy pospieszyli na ganek. Do pierwszych należeli pan Krzysztof i pan Damazy.

— Zagadkowa kobieta— rzekł cicho p. Damazy. — Ciekawym po co ona przyjechała do wujaszka i dla czego tak długo przy nim siedzi.

— Hm!— mruknął pan Krzysztof,— pewnie czeka na sukcesję.

— Piękne widoki! A jeżeli wujaszek jeszcze trzydzieści lat pożyje?

— Już tam ona musi mieć swój rachunek. Kobiety nikt nie odgadnie, słowo honoru panie dobrodzieju... Nikt nawet nie wie, czy ona wdowa czy rozwódka. Ciekawa kobieta!...

Pan Krzysztof nie mógł już robić dalszych obserwacji, bo faetonik minął właśnie bramę i zajechał przed ganek. Na ganku stało kilku młodych ludzi i dwie matrony, które wyszły ochłodzić się na świeżym powietrzu. Młodzież poskoczyła do faetonu. Między nimi był Edmund. Hermina rzuciwszy lejce siedzącemu w głębi stangretowi, podała rękę Edmundowi. W chwili gdy stanąwszy na stopniu, chciała skoczyć na ziemię, suknia zaczepiła się o latarnię przy koźle, skutkiem czego ukazała się nóżka jak dziecka trzynastoletniego, w płytkim trzewiczku atlasowym i w białej jak śnieg pończoszce. Panie na ganku odwróciły oczy z niezadowoleniem, pan Jakób uśmiechnął się i węża podkręcił, a Edmund uwolniwszy suknię od przeszkody, pomógł wysiąść hrabinie, która z uśmiechem rzekła:

— Przepraszam cię panie Edmundzie... Dawno jak przyjechałeś?

— Właśnie dziś.

— To pięknie!

Z temi słowy wbiegła po schodach na ganek; za nią krokiem poważnym, we fraku granatowym ze złotymi guzikami, z białą chustką na szyi i z głową źle uczesaną, udał się do salonu hrabia Olpiński.

IV.

Na terasie utworzyło się wkrótce grono. Jeszcze liczniejsze jak przedtem. Między rozmawiającymi znajdował się już i hrabia, którego sąsiedzi w koło otoczyli. Ponieważ wujaszek hrabiny źle słyszał na lewe ucho, przeto do mówiących obracał się zwykle uchem prawem.

—I cóż tam słyhać nowego sąsiedzie dobrodzieju.' — zapytał znanego już nam pana Krzysztofa.

— Bieda panie hrabio, wielka bieda! Jak tak dalej potrwa, słowo honoru panie dobrodzieju wszyscy zostaniemy żebrakami..

— Sąsiad dobrodziej żartuje, żartuje! Nie jest jeszcze tak źle jakby być mogło, a chociaż kraj cały biedny, to pamiętajmy zbawienne słowa Monteskjusza, który powiedział w księdze XX, rozdział III: „Są ludy dla lego biedne, że nie poznały wygód życia, ale takie ludy mogą

jeszcze wielkich rzeczy dokazać, ponieważ ich ubóstwo jest zarazem częścią ich wolności."

Hrabia umilkł, a pan Jakób szepnął do pana Krzysztoła:

— Zrozumiałeś kochany sąsiedzie?

— Ot plecie od rzeczy! Dałbym pięć reńskich żeby raz co rozumnego powiedział, słowo honoru panie dobrodzieju!

— Śliczna sentencja! — zawołał pan Damazy, który hrabiego zawsze chwalił w oczy.

— Dziś w południe miałem zaszczyt wstąpić do Warnowiec, ale nie miałem przyjemności widzieć pana hrabiego — przemówił pan Jakób.

— Byłem zajęty, bardzo zajęty... pisałem właśnie osmdziesiąty rozdział mojej kroniki... doszedłem już do Platona.

Sąsiad dobrodziej zapewne zna Platona? — dodał zwracając się do pana Krzysztoła.

— Tak... tego... osobiście nie mam przyjemności, panie hrabio, ale słyszałem że to człowiek bardzo porządny... Słowo honoru panie dobrodzieju, bardzo porządny.

Za plecyma rozmawiających dał się słyszeć śmiech jakiegoś młodzika, pewnie studenta, który wybiegłszy z salonu zbliżył się do poważnych obywateli. Panowie Krzysztof i Jakób spojrzeli na intruza z niemałym zdziwieniem. Hrabia mil

czał, tylko powieka nad lewym okiem drgała mu nerwowo, co było u niego znakiem że śmiech w sobie tłumił.

— Kochani sąsiedzi nie łaskawi na damy — przemówił? gospodarz wchodząc na terasę.

— Idziemy, idziemy!

Rzucili cygara i poważnie weszli do salonu. Towarzystwo było rozprószone. Poważne matrony zajmowały miejsca honorowe rozmawiały o gospodarstwie domowym; panienki bądź przeglądały albumy w czym im Tonia dopomagała, wytłumaczając znacznie rycin, bądź przechadzały się z młodzikami, a starsi panowie, prócz gospodarza, który mimo wieku podeszłego do każdego przystępował i każdego chciał zabawić, utworzyli przy drzwiach prowadzących do drugiego salonu poważne kółko.

Przy jednym oknie stała gospodyni domu z lepszymi znajomymi, przy drugim pani Hermina z Edmundem.

Hrabina miała na sobie czarną suknię pod szyję zapiętą, bardzo wytwornie skrojoną, a we włosach pasową aksamitkę. Rys jej twarzy był regularny, prawie klasyczny, — duże czarne oko spoglądało poważnie i spokojnie, a hebanowe włosy silnie odbijały od bladej cery. Wzrost jej był smukły. Niejeden stanął przed nią i Ed

mundem mógł być sądzić po pierwszym wejrzeniu, że są rodzeństwem lub bliskimi krewnymi— tak w nich uderzało wielkie rysów podobieństwo. Pa bliższem atoli rozpatrzeniu ztuda znikła, zwłaszcza że wyraz twarzy Edmunda był swobodny, wesoły, jak młodzieńca, który rwie się do życia., ale go jeszcze nie poznał, gdy natomiast twarzyczka hrabiny zdradzała pewne znużenie, powiedzielibyśmy nawet ból ukryty.

Chociaż bardzo ożywioną wiedli rozmowę., pani Hermina nieraz ucinała i bezmyślnie wpatrywała się w próżnię. Wtedy jedwabne rzęsy zbiegały się nad oczyma, wąskie usta zacinały się kurczowo, a oko błyski rzucało ponure. Jednak przerwy takie nie trwały długo. Jakby ze snu zbudzona wstrząsała piękną główką, a odzyskując dawną wesołość nawiązywała wątek przerwanej rozmowy.

— Więc pan sądzisz, że terażniejszy kierunek nie jest zabójczym dla ducha ludzkiego? — mówiła, ruszając niespokojnie, zamkniętym wachlarzem. — Mój panie Edmundzie, gdybym cię nie znała i nie wiedziała w jakich zasadach zostałeś wychowany, mogłabym przypuścić, że ten uniwersytet lipski i ciebie zmaterjalizował.

— Ależ hrabino, wiara w to, co widzimy, a powątpiewanie o tem, czego żywem okiem nie

możemy dojrzeć, nie jest jeszcze materjalizmem. Kierunek dzisiejszy właśnie na tem polega, że spokojnie to tylko bada, co za pomocą doświadczenia zbadać może, a o resztę wcale się nie troszczy.

— To źle, bardzo źle! Postaw pan to jako zasadę, a jutro zginie wiara, bez której świat istnieć nie może. Cokolwiek przeciwstawiłbyś pan memu twierdzeniu, nie przestanie być prawdą niezbitą, że bez ślepej wiary w siły niewidzialne żadne społeczeństwo nie mogłoby się ostać.

— Jak widzę hrabino, przeszliśmy na pole utylitaryzrau, którego nauka nie zna.

— A ja dziękuję panu za taką naukę, która samolubnie istnieje dla siebie nie troszcząc się o człowieka, który ją stworzył. Jeżeli nauka jest objawem żywotności ducha ludzkiego, to niech doń wróci wszystkimi promieniami, wzmocni go i uszlachetni.

— Nauka hrabino jest kwiatem, który tem spełnia swoje zadanie, że woń rozlewa i oko bawi.

— Mylisz się pan. Tylko taki kwiat ma wartość, który przyczynia się do stworzenia owocu, Inne samabym wytepiła.

— A jeśli owoc szkodliwy?

— Co dla jednych szkodliwe, dla drugich pożyteczne. Przedewszystkiem panie Edmundzie nie bądźmy egoistami.

— Składam broń hrabino.

— Rozumiem pana... nie chcesz ze mną, dłużej dysputować... dobrze, ale kiedyś wrócimy do tej kwestji, która mię tak interesuje. Mówmy teraz o czem innem, choćby nawet o psach i koniach jak hrabia Dziunio, bo i tak dziwią się nam obecni że zbyt długo filozofujemy. Jak długa zabawisz pan we Wolicy?

— Nie wiem jeszcze. Niedawno zostałem pełnoletnim, więc prawdopodobnie opiekun każe mi objąć majątek, który został po moich rodzicach.

— Przeniesiesz się pan na Mazury ?

— Tak sądzę.

— Sam?

— Nie rozumiem... Coś pani przez to chciała powiedzieć ? — zapytał Edmund patrząc ze zdziwieniem na Herminę.
— Nic... doprawdy, myślałam o czym innym... Taniu! — zawołała głośniej — czy bez tańców dziś się nie obejdzie?
— A tobie by to przykrość sprawiło?
— Bo widzisz moja duszko, w takim razie musiałabym cię wcześniej pożegnać. Dziś do po.

Łudnia miałam nieznośną migrenę, nie wiedziałam nawet czy będę cię mogła odwiedzić a i wujaszek coś także nie zdrów.

— Hrabia Dziunio jedzie szydłem na dziku! — dał się słyszeć głos pani majorowej, która stojąc przed oknem, ciągle na drogę patrzyła.

Killa osób zaśmiało się śmiechem stłumionym, czego jednak gospodyni z powodu gwaru w salonie zauważyć nie mogła.

— Słyszała że dzwonią ale nie wie w którym kobcicle — szepnął pan Damazy w ucho panu Jakóbowi. — Gdyby hrabia Dziunio to usłyszał, uczył by się śmiertelnie obrażonym.

— Czemu?

— Bo wziął by to za aluzję do jednego ze swoich antenatów...

Pan jakób uznał za stosowne uśmiechnąć się na znak że zrozumiał.

Major wyszedł na ganek; kilka osób zbliżyło się do okna. Hrabia jechał rzeczywiście na dżigu angielskim, ciągnionym przez dwa konie, zaprzężone jeden za drugim. Zdaleka trudno było rozpoznać, czy hrabia był młodym czy starym, przystojnym lub brzydkim, gdyż zamiast twarzy było widać kapelusz głęboko na oczy zaciśnięty i rzadkich rozmiarów białe kołnierzyki, a na przodo

daie batog tkwiący w manszetach równie nieproporcjonalnych.

Pani majorowa wahała się chwilę, czy wyjść na ganek czy zostać w salonie. Zostaią jednak, a nawet..., nawet odstąpiła od okna. Dobry ton zwyciężył.

Wszedł hrabia Dziunio nie mogący mieć więcej jak dwadzieścia kilka lat, choć znacznie starzej wyglądał — krokiem posuwistym zbliżył się do pani majorowej, a pocałowałwszy wbrew etykiecie obie jej pulchne rączki, na co ona odpowiedziała najpiękniejszym swoim uśmiechem, skłonił się zdaleka i protekcyjonalnie wszystkim obecnym, a wrzuciwszy zręcznie monokl w prawe oko, z bardzo słodką miną zbliżył się do Toni, która odszedłszy od Herminy stała właśnie pod zwierciadłem, przeglądając z dwiema panienkami album myśliwskie.

Urabia był uszczęśliwionym ilekroć nadarzyła mu się sposobność rozmawiać z kim w pobliżu zwierciadła. Jakkolwiek usta jego szybko się wtedy poruszały, oczy jednak spoczywały najczęściej na własnej fizjognomji, a ręce to kołnierzyki poprawiały, to gładziły włosy, które zręcznie skroń mu zasłaniały, to uważnie układały monokl lub węzeł czarnego krawata.

— Jak mię to cieszy że panie przeglądacie takie piękne sztychy — rzekł patrząc wyjątkowo nie w zwierciadło, lecz na album. — Ten pies wyśmienicie wyrysowany... ale ten koń... ohydny! Głowa duża, szyja krótka... Takiego samego charta dostałem zeszłej jesieni od księcia Jerzego... nie wierzyłybyście panie jak mnie wczoraj ubawił. Znużony i zmęczony raportami moich oficjalistów, siadłem wczoraj nad wieczorem na moją Lady i wyjechałem w pole. Anim postrzegł że moj Speedy wybiegł za mną. Gdym przejeżdżał koło łąnu chreczki, widzę w bruździe coś na kształt lisa czy zająca. Bez szkieł nie mogłem zdaleka rozróżnić zwierzyny. Chociaż to nie pora do polowania, poszczułem jednak Seedyego, Speedy biegnie, dopada i w tej samej chwili, słyszę krzyk.

— Boże! — zawołała Tonia przestraszona

— Niech się pani nie lęka — odparł Dziunio — to był najprostszy wiejski dzieciak, którego matka pasła krowę po drugiej stronie par górka.

— I pies dziecko pokasał ? — zapytało razem kilka głosów.

— Nie, nie!... Przewrócił je tylko i na tem koniec. Ale nie uwierzyłybyście panie, jak mnie ten wypadek ubawił.

— Montesquieu powiedział — dał się słyszed niespodziewanie głos hrabiego Olpińskiego za plecyma rozmawiających — że arystokracja była zawsze sroga, tyrańska a równocześnie tchórzliwa...

— Nie rozumiem kochany sąsiedzie znaczenia tych słów powiedzianych w tej chwili — odparł Dziunio.

— Montesquieu —'ciągnął oryginał — powiedział także w innem miejscu, mianowicie w księdze VIII, rozdział V, „że największe zepsucie panuje tam, gdzie arystokracja jest dziedziczną." Dla tego to mój luby Dziuniu nie ożeniłem się i nigdy się nie ożenię.

Właściciel Lady i Speedy'go stał nie wiedząc co odpowiedzić; szczęście że z kłopotu wybawił go głos majorowej która wystąpiwszy na środek salonu, rzekła uroczyście:

— Proszę na herbatę.

Ruszyli parami: Dziunio z Tonia — Edmund z Herminą,

Wamowce leżą o dwie mile od Wolicy, tuż nad rzeką, której rwiące nurty w skalistym pokładzie istny wąwóz wyżłobiły. Do Warnowiec należy sześć folwarków, które złączone jeden klucz tworzą.

W środku wsi rozległej, właśnie gdzie rzeka Zgina się w kolano, na wzgórzu niewysokiem wznosi się okazały pałac, wystawiony u schyłku ubiegłego stulecia, z piękną od frontu kolumnadą. Budynek to obszerny i wygodny, a starannie utrzymany ogród kwiatowy od frontu, zamknięty brzegiem rzeki, drugi zaś angielski za pałacem, którego wysokie drzewa zasłaniają zabudowania gospodarskie, robią tę miejscowość bardzo miłą, cichą i już zdaleka ponętną. Dzisiejszy właściciel Warnowiec, hrabia Eustachy Olpiński mieszka tu od czasów niepamiętnych. Tu się urodził, wychował, wzrósł i posiwił. Sąsiedztwo całe się zmieniło, jedni wymarli.

drudzy przesiedlili się w dalsze strony kraju, inni znowu wywłaszczeni przez Żydów lub Niemców wynieśli się do miasta, aby w nowym zawodzie szukać szczęścia i życia łatwego, — a p. Eustachy został na dawnym stanowisku, jak rycerz średniowieczny, broniący swego zamku na skale przeciw Żywiolom nieprzyjaznym.

Sąsiedzi lubiący kontrolować się wzajemnie, niejednokrotnie usiłowali podpatrzeć życie hrabiego, ale w zupełności nie udało się im to do tej chwili. Pałac w Warnowcach pozostał dla nich zagadką, z wyjątkiem samego hrabiego, którego nareszcie o tyle poznali, że go mogli nazwać skończonym oryginałem. Pan Eustachy wiedział, że go tak nazywają, i wcale się za to nie gniewał.

Bo i jakżeż go było nie nazywać oryginałem, kiedy wszystko zdradzało w nim oryginała, począwszy od stroju, a skończywszy na całym jego życiu. ?le uczesany, rzadko ogolony, w domu nosił rodzaj długiego płaszcza, przypominającego poważną togę doktorską, a między ludźmi, co jednak zdarzało mu się bardzo rzadko, pokazywał się w nieśmiertelnym fraku granatowym, o którym nawet p. Krzysztof, nie będący bardzo biegłym w historii, poważnie utrzymywał, że należy do przedhistorycznych zabytków. W domu trzymał służby nie wiele, tyle tylko ile jej nie

zbędnie potrzebował, konie któremi wyjeżdżał, zaledwie końmi mogły się nazywać, na kontra ktach nigdy się nie pokazywał, do stolicy zaglądał zaledwie dwa lub trzy razy do roku, drogi żelaznej nienawidził, sąsiadów unikał, z wyjątkiem jednego majora Zawilskiego, z którym widywał się przynajmniej raz na miesiąc, od rana do wie, czora wertował zapyłone foliały i na pamięć uczył się Monteskjusza, a co najgłówniejsze, każdego rana kapał się w zimnej wodzie i nigdy nie jadł mięsa. Czyż zwykły śmiertelnik, mający pięć zdrowych zmysłów, może tak postępować?

To pogardzanie mięsem zrodziło nawet pogłoskę, utrzymującą się w całej okolicy, że hrabia Eustachy tylko dla tego się nie ożenił, że nie mógł znaleźć osoby, któraby się zgodziła na postawiony przezeń warunek, mianowicie jadać tylko jarzyn i owoców. Za lat młodszych, hrabia bawiąc dłuższy czas w domu swej siostry, która wyszła za mąż aż na Litwę, miał być znaleźć jakąś panienkę w dolinie kowieńskiej, która po długim namyśle postanowiła odzwyczaić się od mięsa, w zamian za rękę właściciela Warnowiec. Hrabia przygotował się już do ślubu, ale na godzinę przed cereraonją kościelną zszedł przypadkiem narzeczone przy pieczonem kurczęciu. Smutne to odkrycie tak go zirytowało, że nie poże

gnawszy się z siostrą wyjechał z jej domu i więcej do niej nie zajął.

Pan Jakób, który zna wszystkie tajemnice powiatowe, niejednokrotnie opowiadał to zdarzenie z najdrobniejszymi szczegółami, a gdy opowieść kończył, pan Krzysztof dodawał z poważnym namaszczeniem.

— Sknera panie dobrodzieju, słowo honoru, aż wstyd jaki sknera!

— Nieznośny sknera — potwierdzał pan Damazy — a nieuczynny jak żyd. Gdy przed pięciu laty spaliły mi się budynki, pojechałem do niego prosząc o pożyczkę dziesięciu tysięcy. Czy dalibyście wiarę, co mi ten oryginał odpowiedział ?

— Cóż takiego?

— Oto najpierw zacytował mi z dziesięć razy swego Monteskjusza, a gdym cierpliwie wysłuchał nagle zapytał:—Czy sąsiad dobrodziej jesteś moim przyjacielem? Rzecz naturalna, że musiałem odpowiedzieć potwierdzająco. Jeżeli tak — rzekł na to hrabia — to muszę sąsiadowi dobrodziejowi wyznać całą prawdę. Nie mówię, że nie tnam pieniędzy, bo bym skłamał, a kłamstwem zawsze się brzydziłem, ale choć mam, nie dam, bo i pieniędzy bym nie widział i przyjaciela bym

Słuchający parsknęli śmiechem, a p. Krzysztof zauważył:

— Chociaż oryginał, ale nie bity w ciemność Słowo honoru, ma rozum!

— Jak to rozumiesz? — zapytał pan Damazy, udając obrażonego.

— Bo widzisz mój Damaziu, Olpiński chociaż nigdzie nie bywa, musi jednak wiedzieć, że lubisz djabełka, bał się więc byś pieniędzy nie stracił, a w takim razie musiałby pisać do ciebie chyba na Berdyczów.

Pan Damazy wzięwszy tę uwagę za żart sąsiadki, ani się obraził, ani na nią odpowiedział.

W Warnowcach był służący, stary Grzegorz, który dopiero przed trzema fety przeniósł się do wieczności. Znał hrabiego od dziecka, bo się przy nim chował. On jeden protestował, ilekroć jego panu skąpstwo zarzucano. Gdy w mieście raz służcy z dworów sąsiednich zeszli się w piwiarni, i gdy lokaj pana Damazego zaczął mówić o skąpstwie hrabiego z Wamowiec, Grzegorz, który długo nie mieszał się do rozmowy, podniósł się nareszcie, a uderzywszy szklanką o stół, gniewnie zawołał.

— Cicho bądź trutniu, kiedy nic nie wiesz! Mój pan nie wyrzuca pieniędzy, bo pieniądze to droga rzecz; mój pan nie pożycza nierobom

graczom, bo każdy grosz byłby zmarnowanym, mój pan nie „szwenda” się jak ci co gonią ostatkami, ale mój pan wspiera biednych we wsi tak, że u nas nie ma ani jednego żebraka, mój pan ufundował trzy szkoły i każdego roku rozsyła po świecie kilka tysięcy, za które utrzymują się młodzi panowie. Gdybyś nie był taki głupi i mógł zrozumieć, tobym ci powiedział, że każdej jesieni przyjeżdża do nas kilku młodych ludzi, aby mojemu panu podziękować za opiekę. Pan hrabia nigdy nie mówi co robi, i ja też dłuższy czas nie wiedziałem, po co ci panowie przyjeżdżają. Ale gdy raz podsłuchałem ich rozmowę i przekonałem się, że to wychowañcy pana hrabiego, zacząłem ich liczyć, i do piecu łat naliczyłem sześciu doktorów, trzech adwokatów, dwóch księży, a profesorów i jakichś tam inżynierów, co to budują koleje żelazne, przeszło dwunastu. Wszyscy oni wychowali się i wyuczili za pieniądze mego pana., a ty trutniu pleciesz, że on skąpy!

Słuchający tych słów wzruszyli ramionami z powątpiewaniem; gdy potem słowa Grzegorza., swoim panom powtórzyli, ci także nie dali wiary bo któż dziś wierzy w dobre uczynki drugiego?

Lokaj, którego Grzegorz zburzał, nie dał za wygrane.

— Być może — rzekł — że to prawda

coście powiedzieli Grzegorzowi, ale mimo to musi cie przyznać, że wasz pan ma bzika.

— Jeżeli ma trutniu, to ma sobie! Taki bziki nikomu nie szkodzi tylko jemu. Hej! — dodał westchnąwszy — co ja się go naprosił, żeby tym książkom dał pokój, ale gdzie tam! wszystko daremne... Cały dzień siedzi, czyta, pisze, jakby nie był panem i hrabią ale jakimś gryziopiórkiem, który na chleb potrzebuje pracować... Jak wiadro po wierzech wodą napełnisz, to utonie, nie dziw więc że i głowa zrobi się ciężką, gdy w nią człowiek tyle mądrości wpakuje. Hej! hej! szkoda mego pana!

Takie były uwagi starego Grzegorza, i odtąd o swoim panu nigdy już nie mówił.

Przed rokiem otrzymał hrabia jakiś gruby list z poczty. Zamknąwszy się w swoim gabinecie czytał pół dnia, potem pół dnia odpisywał. Nazajutrz po odesłaniu swego listu był w złym humorze, zrzędził, każdy go niecierpliwil, i wbrew zwyczajowi nie zaglądnął nawet do gabinetu, ale cały dzień spędził w ogrodzie, przechadzając się niespokojnie po cienistych jego alejach.

W tydzień przyszedł list nowy. Tym razem hrabia całą noc nie spał, a gdy świtać zaczęło, przywołał rządcę, rozmawiał z nim przeszło godzinę, a dawszy mu sporo pieniędzy, wysłał go

do miasta. W południe kazał zaprządz, i chociaż do miasta zawsze jeździł końmi, tym razem wyjechał koleją, bo widocznie miał interes pilny.

Nie było go czternaście dni, a w tym czasie rządcą odświeżył całe pierwsze piętro pałacu, sprowadził nowe meble, kupił kilka par koni cugowych, dwa wierzchowe, powóz, karetę i faetonik, wreszcie przyjął kilka sług nowych a

między niemi dwie panny służące, z których jedna była córką pani Pędrackiej, klucznicy z Wolicy. Wiadomość o zmianach w rezydencji oryginała, rozniosła się prędko po okolicy, i odtąd nie było dnia, by nie zaglądnął tam jakiś ekonom, leśniczy lub żydek, dowiadujący się czy pan hrabia nie żeni się przypadkiem. Do rządcy nikt nie miał odwagi udać się z takim zapytaniem, a że służba sama nie umiała nic stanowczego powiedzieć, więc z początku przypuszczano, potem już wierzono, a do tygodnia wszyscy sąsiedzi ręczyli słowem honoru, że hrabia do reszty zbzikował, bo żeni się na starość.

Tymczasem hrabia ani myślał o takiej niedorzeczności.

Piętnastego dnia przyjechał w towarzystwie pięknej i młodej kobiety, którą poznaliśmy we Wolicy. Była to pani Hermina, po mężu hrabina

Trzebińska, córka siostry rodzonej hrabiego Olpińskiego, która, jak wiemy, mieszkała na Litwie.

Hrabina z początku całe dni spędzała w swoim pokoju, rzadko pokazując się nawet dworskim ludziom. Zdarzyło się nawet w owym czasie, że córka pani Pędrackiej, panna Marjanna, zastała ją raz płaczącą nad jakimś listem, co wszystkich niezmiernie zaintrygowało, bo łyzy w oczach młodej a bogatej osoby są zjawiskiem rzadkiem i dającym wiele do myślenia. Ta sama panna Marjanna, z natury osoba bardzo ciekawa, znalazłszy się pewnego wieczora przypadkiem pode drzwiami swojej pani, od niechcenia przyłożyła oko do dziurki od klucza. Na kozetce siedziała hrabina z głową w dłoniach ukrytą, a po pokoju chodził hrabia krokiem przyspieszonym. Od czasu do czasu stawał i coś mówił rękami machając, a potem do siostrzenicy obracał się prawem uchem, jakby czekał na odpowiedź, ale zawsze daremnie. Scena ta trwała przeszło pół godziny. Nareszcie hrabina powstała; twarz jej była bledszą jak zwykle, a usta drżały gdy te słowa wymawiała, które pannie Marjannie doskonale utkwily w pamięci;

— Drogi wuju, postanowienia mego nie cofnę, choćbym zginąć miała! Jeszczem tak nisko nie upadła...

Hrabia wyszedł od siostrzenicy, zamknął się n siebie i trzy dni się nie pokazał. Nawet objad kazał sobie przynosić.

Po owej rozmowie hrabina wyjechała do stolicy, gdzie kilka tygodni spędziła; z powrotem twarz miała spokojniejszą, nawet weselszą. Wkrótce też Warnowce zmieniły się do niepoznania. Zapewne z obawy, by młoda kobieta nie zginęła z nudów, hrabia zawiązał zaniedbane stosunki sąsiedzkie, dzięki czemu cała okolica zaczęła zjeżdżać się do oryginała. Nie było dnia bez gości.

Pani Hermina najczęściej odwiedzała Wolicę, bo dla Toni taką miała sympatję, że jak sama twierdziła, nie mogła się od niej oderwać. Gdybym była chłopcem, często jej to powtarzała, kochałabym się w tobie na śmierć! — Tonią rumieniąc się, serdecznym pocałunkiem odpowiadała na przyjazne słowa i nawzajem coraz silniej przywiązywała się do Herminy. Co jej przedewszystkiem imponowało w tej kobiecie, to energią charakteru, której brakowało Toni złotowłosej. Wprawdzie tej energii nie było widać w czynach, na czyny bowiem potrzeba nieraz długie lata czekać, ale Tonią odgadywała ją w słowach, ruchach, nawet spojrzaniach Herminy.

Świat nie mogący strawić żadnej tajemnicy, gniewał się niesłychanie, że mimo usilnych zabiegów, nie mógł się dowiedzieć, co właściwie skłoniło tak młodą, piękną i bogatą kobietę do zamieszkania w domu tak niezdolnego oryginała. Wprawdzie dalekie, lecz tem samem niepewne wieści niosły, że hrabina przed dwoma laty wyszedłszy za mąż z miłości, wyjechała z mężem za granicę, lecz co się z mężem stało, czy umarł, czy żyje, tego nikt nie umiał powiedzieć. Ona zaś sama nigdy się z tera nie zdradziła. O swoich stosunkach rodzinnych nie lubiła mówić, a że była osobą z wielkim taktem i z zachowaniem pełnem dystynkcji, więc nikt nie śmiał wystąpić przed nią z niedyskretnego zapytaniem. Nawet Tonia, mimo przyjaźni łączącej ją z Herminą, nie byłaby się odważyła wdziierać w jej tajemnice. Po kilku miesiącach świat dał za wygrane, i ogół przestał zajmować się jej przeszłością. W Herminie widziano odtąd tylko osobę bardzo wykształconą, której towarzystwo prawdziwą sprawiało przyjemność. Wyjątek stanowiły chyba matki, mające nieładne i nieposażne córki na wydaniu. Dla tych pałac w Warnowcach był gniazdem tajemniczym, a piękna hrabina osobą wątpliwej konduity. Ale czy mogły mówić inaczej? Wszak młodzież nie zwracając uwagi na wdzięki

ich córek, otaczała zawsze panią Herminę, gdziekolwiek ta się pojawiała. Co więcej, jak Mahometanie do Mekki, tak młodzi ciągnęli do Warnowiec, a każdy starał się pozyskać choćby jedno słowo przyjemniejsze, choćby jeden uśmiech dający cokolwiek do myślenia.

Ale daremne usiłowania! Hermina śmiała się, mówiła, czasem nawet żartowała, lecz z całego tłumu otaczających ją wielbicieli, nie obdarzyła żadnego szczególniejszymi względami. W jej oczach wszyscy byli równi. Hrabia Dziunio, wielbiciel pięknych twarzy i niezwykły pogromca serc niewieścich, założył się nawet w poufnem kółku przyjaciół, że do trzech miesięcy rozkocha Herminę, jeżeli jest mężatką, a ożeni się z nią, jeżeli jest wdową i ma tabulę czystą. Z całą zuchwałością światowca rozpoczął kroki zaczepne, ale odparty na całej linii i na głowę pobity, cofnął się w porządku aż do Wolicy, gdzie właśnie pojawiła się panna Antonina Zawilska, która w owym czasie powróciła z pensji. Córka majorostwa, dziedziczka dużego majątku a kończąca dopiero lat siedmnaście, miała być odwetem za porażkę, poniesioną w Warnowcach.

Miesiąc upłynął od przyjazdu Edmunda.

W tym czasie we Wolicy niby nic się nie zmieniło. Na pozór wszystko wyglądało jak dawniej, a jednak dla oka bystrzejszego inaczej jak dawniej.

Pani majorowa unikała dłuższych rozmów z mężem i Edmundem, lecz za to całymi godzinami konferowała z panią Pędracką i co chwila pytała o córkę, której zawsze miała coś ważnego powiedzieć. Myśli zaprzętujące jej głowę, musiały być w rzeczy samej nie małej doniosłości, bo od przyjazdu Edmunda rzadko zrzędziła a nawet zaniedbywała gospodarstwo. Za to gdy koniecznością zagniona musiała skarcić jaką służbę, organ jej głosu był donośniejszym jak dawniej, a słowa płynęły jak potoki lawy niszczącej pola i miasta.

Major był zamyślony.

Edmund spodziewał się usłyszeć coś z ust opiekuna o swojej przyszłości; tymczasem opie

kun mówił o wszystkim, tylko nie o przyszłości Edmunda. Widoczną przyjemność sprawiało panu Zawilskiemu, ilekroć młodych ludzi spotkał razem w ogrodzie lub na terasie. Wtedy do nich się przysiadł, słuchał ich rozmów, a gdy te były swobodne, wesołe, przyjacielskie, blada twarz starca okrywała się jakby radością wewnętrzną.

A Tonia i Edmund? I oni byli z sobą niby jak dawniej, a jednak nie tak, jak przed rokiem. Wprawdzie Edmund nie zmienił się, zawsze był wesoły, swobodny, braterski, ale za to Tonia dziwnie jakoś spoważniała. Niby szukała towarzysza pierwszej swojej młodości, a bała się z nim zejść; niby pragnęła rozmawiać z nim długo, bardzo długo, a jednak gdy mówił, odpowiadała mu urywanymi słowy, mając najczęściej oczy w dół spuszczone; — gdy wreszcie prosił figlarnie by na niego popatrzyła, czyniła to przelotnie i wtedy zawsze czuła, że krew zbiega się jej do twarzy, a potem wraca do serca.

Co się stało Toni?

W pośrodku gazonu, rósł olbrzymi kasztan, pod którego rozłożystemi gałęzmi w dni pogodne pijano herbatę, a czasem jadano także objad. Młodzi nasi przyjaciele najczęściej tu się spotykali, skąd mogli widzieć dom cały, będąc nawzajem widziani. Pani majorowa rzadko im przerywała.

za to co pięć minut pokazywała się w którym

oknie, aby bądź coś przy kwiatach poprawić, bądź muchy wypędzić, które jak zwykle na wsi natrętnie cisnęły się do pokojów.

Tonia siedząc pod kasztanem trzymała książkę w lewej ręce. Edmund uderzał prętem po liściach, które opadały do koła z gałęzi, tworzących baldachim z zieleni. Na książce był napis Eabiola, a gdyby kto był zajrzał na stronicę, na której spoczywał różowy paluszek, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, byłby się przekonał, że to ta sama, którą Tonia zaczęła czytać jeszcze przed tygodniem.

— Mundziu — pierwsza przemówiła — co tobie winne te biedne liście, że je tak nielitościwie kaleczysz?

— Tobie ich żal, Toni? Wszak to tykolicie.... bezmyślne uderzanie prętem sprawia mi pewną rozrywkę.

— A jeżeli one cierpią... jeżeli je to boli?

— O ty luba panteistko — odrzekł Edmund z uśmiechem — gdyby cię usłyszał jaki ultramontanin zagorzały, przestraszył by się twojej herezji.

— Nie wiem czy to panteizm i czy to herezja, ale ilekroć patrzę na te biedne rośliny, na te trawki i kwiatki, zawsze wyobrażam sobie, że każda z nich jest odrębną istotą, która jeśli nie

ma rozumu i woli to ma przynajmniej czucie... a czy wiesz Mundziu że czucie więcej znaczy jak rozum i wola?

— O wiem Toniu! wiem... szczególnie u was — odparł Edmund wesoło. — Ale wracając do kwiatów, co cię wprowadziło na myśl, że one mogą czuć jak my?

— Alboż to trudno odgadnąć — odrzekła, robiąc minkę bardzo poważną. — Będąc na pensji nie uczyłam się wiele botaniki, lecz tu w domu, z przyjemnością badam wszystko, co mnie otacza. Ziem się wysłowiła Mundziu — dodała lekko się rumieniając — ja nie badam, bom przecie nie uczona, tylko śledzę. Otoż ilekroć urwałam gałązkę jakiemu kwiatkowi, widziałam potem, że się biedaczek żalił zwiędłymi listkami, póki się rana nie zagoiła... Gdy było zimno i pochmurno, zwieszał główkę, gdy słońce zabłysło podnosił ją wesoło.. A powój, znasz Mundziu powój? Czemu on na noc zamyka kielichy?

— Ślicznie Toniu, ślicznie, a jak tak dłużej potrwa, gotowaś odkryć całkiem coś nowego i w dodatku napisać jakie dzieło, które zaćmi Darwina.

— Nie wspominaj mi o tym bezbożniku, Mundziu! — odrzekła Tonią poważnie. — Powtarzam ci, że uczoną nie jestem, i nigdy bym

Tak był musiało.

nią być nie chciała, bo kobieta ma inny cel przed sobą.

— A jaki jeśli wolno wiedzieć ?

Edmund przygryzł usta, gdyż w tej chwili zrozumiał, że zapytanie jego były dość niewłaściwe; słowa atoli były już rzucone.

— Jaki?... Być kobietą.

— Masz rację Toniu! — zawołał Edmund uradowany, że go ta naiwna odpowiedź z kłopotu wybawiła; — ja sam nie lubię tych kobiet, które fałszywie pojmując emancypację, chciałyby koniecznie zostać mężczyznami, Kobieta niech będzie tylko kobietą, a już tem samym spełni swoje zadanie, chociaż...

— Co chociaż?

— Chociaż nauka i kobiecie nie szkodzi... Trzeba tylko by nauka nie zawróciła jej głowy, słowem, by kobiecie była pomocą, nie celem życia.

— I ja jestem tego zdania... i przyznam ci się Mundziu, że bardzo mi przykro, iż na pensji tak mało nas uczono... Nie raz słysząc jak Hermina z panami rozmawia, wstydzę się że w dyskursię nie mogę brać udziału. Jak ci się zdaje Mundziu — zapytała po niejakiem wahaniu, — czego bym się najwięcej uczyć powinna?

— Zapytanie twoje jest zbyt szczere, moja

kochana Toniu, bym ci na nie równie szczerze mógł odpowiedzieć. O ile mnie się zdaje, wykształcenie twoje nie jest zaniedbane, a jeżeli sama uważasz że potrzeba je uzupełnić, to poradź się pani Herminy... ona taka rozumna, a tobie tak życzliwa!

— Dobra rada, dziękuję ci Mundziu, przekonasz się, że cię posłucham... Szkoda tylko że tak prędko nie zobaczę się z Herminą,

— A to czemu?

— Bo wyjechała.

— Na długo?

— Na dwa tygodnie, może i na dłużej. Dziś była tu jej panna, córka pani Pędrackiej i przywiozła bilet, w którym Hermina uwiadomiła mnie o nagłym swoim wyjeździe do miasta. Ma ciągle interesa ze swoim adwokatem, a wujaszek choćby może chciał, nie umie jej wyręczyć. Prawda Mundziu że to bardzo miła osoba?

— O, bardzo!?

— I ładna.

— Tak... przystojna...

— Przystojna? Nie mów tak Mundziu, bo mnie to martwi... Jak długo żyję nie widziałam piękniejszej osoby. Ja lubię patrzeć w nią jak w obraz.

— Który strachem przejmuje...

— Mnie nie... Jużem myślała że teraz po jej odejździe smutniej nam będzie, i boję się byś się nie znudził we Wolicy. Tyś przyzwyczajony do życia miejskiego, do towarzystwa.

— Przecież mamy tak liczne sąsiedztwo.

— Prawda, ale nie uważałam abyś się z kim bawił tak dobrze, jak z Herminą.

— Zdawało ci się Toni! Ja z nią lubię dysputować, a dysputa nie jest jeszcze zabawą... Teraźniejsza naprzykład nasza pogadanka stokrćomi miłsza niż niejedna rozmowa bardzo uczona a sucha.

— Doprawdy?

Rzuciwszy to zapytanie. Tonią podniosła oczy na Edmunda, który wpatrywał się w nią z zadowoleniem. Młody człowiek nic nie odpowiedział. Jakiś czas siedzieli milcząco z oczyma w siebie utkwionymi. I rozmowa skończyła się na ostatniem zapytaniu Toni, bo w oknie ukazała się rumiana twarz pani majorowej, wzywającej, młodych ludzi na śniadanie.

Cały ten dzień zbiegł zwyczajnie. Przy obiedzie było dość cicho, bo nikt z obecnych nie miał szczególniejszego humoru, a gdy major i Edmund wyszli na terasę aby przy czarnej kawie wypalić cygara, pani majorowa wzięła córkę za rękę i zaprowadziła do swego pokoju. Co z sobą

mówiły nikt nie wiedział; tylko Julcia dost rzęła po wyjściu Toni, że panienka miała oczy zapłakane. Panna Jukia nie lubiła ukrywać swych myśli i postrzeżeń, to też w pół godziny wiadano w oficynie, że zanosi się na coś ważnego, bo we dworze „nie tak jak bywało.” Służba zaczęła robić swoje uwagi, które nie dla wszystkich musiały być przyjemne, albowiem Grześ uznał za właściwe zawołać;

— Oho! już ja wiem, że z tego nic nie będzie!

— I mnie się tak zdaje — dodał Walenty, który mimo że starszy, był we dworze wiernym Grzesia sprzymierzeńcem. Nad wieczorem major całą godzinę chodził po alejach ogrodu. Głowę miał zwieszoną — troski na czole. Tak zamyślonym, nawet smutnym, nie widzieliśmy go, jak jeszcze za lat młodszych a o tyle nieszczęśliwszych, gdy sam jeden mieszkał w tym domu, i gdy jedna tylko córka pani Barbary, ówczesna panna Katarzyna Krzywicka uprzyjemniała mu życia monotoność.

Od czasu do czasu mojej przystawał i wtedy z piersi wyrwał mu się kaszel suchy, jakby tłumiony. Palcem wskazującym pokilkakroć uderzył w dekę piersiową, potem ręką machnął i nawrócił ku domowi, albowiem w ogrodzie dawała się |

już czuć wilgoć wieczora. Na ganku zszedł się z Edmundem, który właśnie powrócił z konnej wycieczki.

— Mój synu, — przemówił starzec, kładąc rękę na jego ramieniu — przyjdź do mnie za pół godziny... Chciałbym z tobą pomówić.

Rzekłszy to major zwrócił się na lewo i wszedł do swojej sypialni.

Był to pokój wysoki i obszerny, ale tak skromnie umeblowany, jakby tu mieszkał nie dziedzic obszernych włości, lecz człowiek niezamożny. Skórzane meble, skóry niedźwiedzie i wilcze na posadzce, a na boku łóżko pąsowym dywanikiem nakryte, oto zbytki pana Kazimierza Zawilskiego. Do sypialni, mającej wchód przez przedpokój, przytykał mały gabinecik, przez który była komunikacja z resztą mieszkania.

Major wszedł do gabinetu, zamknął na klucz drzwi prowadzące do salonu, potem drugie od sypialni, a kazawszy służącemu przynieść lampę i odejść do oficyn, przeszedł się kilka razy krokiem wymierzonym, podumał przed oknem, które na dziedziniec wychodziło, nareszcie westchnął, usiadł w starym kresle poręczowym i czekał z głową na ręce zwieszoną.

"Wszedł Edmund. I on był w poważnym nastroju. Już oddawna spodziewał się z opiekunem

rozmowy zostającej w związku z jego pełnoletnością, i chwila ta widocznie teraz nadeszła.

Starzec podał rękę młodzieńcowi, którą on ucałował.

— Jeździłeś w pole? — zapytał. — Co tam słyhać z pszenicą?

— Prawdopodobnie jutro skończą, zostały tylko dwie ryzy. Ale śliczna! Dawno nie widziałem takiego ziarna.

— Nic dziwnego, w mieście gospodarstwem rolnem nikt się nie zajmuje, a ty mój synu, tyś już mieszczech skończony.

Patrząc na ciebie, niktby nie przypuścił, żeś się na wsi urodził i wychował.

— To umie martwi mój ojciec — Edmund tak od dziecka nazywał swego opiekuna — bo mi nigdy przez myśl nie przeszło wyrzec się swobody wiejskiej dla miejskiej niewoli.

— Ja też tego nie chcę Edmundzie... uchwaj Boże! chociaż ani byś dał wiarę, ile to zgryzoty z najmniejszym nawet gospodarstwem. Gdyby nie to że znalazłem uczciwego rządcę i ekonomów pracowitych, nie dałbym sobie rady.

Major czekał chwilę, spodziewając się jakiegokolwiek odpowiedzi, gdy jednak ta nie nastąpiła, podniósł się, dwa razy przemierzył sypialnię, a potem znowu zapytał:

— Jak ci się zdaje, nie będzie jutro deszczu ?

— Deszczu? Powietrze suche, barometr idzie w górę.

— To także źle... posucha, trudne będą pokłady.

Edmund wypatrzył się na opiekuna; takich pytań nigdy mu jeszcze nie zadawał. Codziennie rozmawiali po kilka godzin, najczęs'ciej o polityce lub Napoleonie I, którego major był wielkim wielbicielem, lecz najmniej o gospodarstwie.

Major znowu chodził, znowu dumał, kilka razy potarł ręką czoło, nakoniec zebrawszy całą odwagę, stanął przed wychowankiem mówiąc:

— Usiądź Edmundzie... mamy z sobą o ważnych rzeczach do pomówienia...

Usiedli jeden naprzeciw drugiego.

— Zapewne cię to dziwiło — zaczął starzec — że już miesiąc jak jesteś, a dotąd nie porozumieliśmy się co do twojej przyszłości. Ale nie dziw się Edmundzie, temat to może wesoły dla ciebie, dla mnie jednak bardzo smutny. Tyle lat żyliśmy razem, pod jednym dachem... człowiek jak widzę przywyka... bardzo przywyka! — Tu major umilkł i głowę odwrócił a po chwili tak mówił dalej: — Wiesz że po nieszczęśliwych twoich rodzicach został piękny majątek, którego ty jedynym jesteś właścicielem.

O ile to się dało przez pełnomocnika, administrowałem go sumiennie... ziemia dzięki Bogu czysta, prócz tego masz w depozycie kilkadziesiąt tysięcy. Teraz jako pełnoletni możesz swojem mieniem dowolnie rozporządzać. Powiedz mi więc Edmundzie, ale powiedz szczerze, jakbym był twoim ojcem rodzonym, nie przybranym, co myślisz z sobą uczynić?

Starzec umilkł, i badawcze spojrzenie utkwiał w twarzy młodzieńca. Edmund miał łzy w oczach.

— Nie raz już o tem myślałem — odpowiedział po krótkim wahaniu — i przyszedłem do przekonania, że stworzony tylko do życia wiejskiego. Wprawdzie uniwersyteccy moi koledzy często mnie namawiali bym sobie obrał jald zawód publiczny, ale im głębiej zastanawiałem się nad sobą, tem silniej utwierdzałem się w postanowieniu porzucenia miasta na zawsze. Z łaski kochanego ojca, miałem cały rok podróżować, a tymczasem po kilku już miesiącach, nie tyle może znudziłem się co zmęczyłem bezustannerai wrażeniami, które na pozór niby to nowe, a w istocie swojej tak podobne do siebie jak dwie krople wody. Hotelowy zgiełk każdego większego miasta, jego namiętności i zawody — to nie dla mnie... nie dla mnie!

— Nie dziwota, chybabyś nie był synem |

szlacheckiej rodziny, żebyś myślał i czuł inaczej. To mój synu dziedziczy się już z krwią, i dlatego twój wstręt do miasta uważam za całkiem naturalny. Lecz idźmy dalej... Postanowiwszy osiąść na wsi, zamierzasz prawdopodobnie zamieszkać we własnym majątku?

— Cóż mi innego pozostaje?

— A gdybym ci naprzykład zaproponował! byś nas nie porzucal?

Major wypowiedział te słowa głosem urywanym, jakby ich znaczenia sam się lękal.

— Drogi ojcze — odrzekł Edmund ze wzruszeniem — tak długo mieszkalem w waszym domu i tyle uczyniliście dla sieroty, że wstydzilbym się nadużywać dłużej waszej dobroci.

— Czyś oszalał Edmundzie! — zawoła major, a w głosie jego przed chwilą jeszcze tak łagodnym, dał się czuć nacisk energii żołnierskiej; — pleciesz mi coś o nadużywaniu, o dobroci, jak gdyby to com uczynił było czemś nadzwyczajnem, nie prostym obowiązkiem!... Jak widzę ten gwarny świat zrobił i ciebie etykietalnym... Wstydz się Edmundzie, przecie nie zasłużyłem sobie na taką odpowiedź.

Edmund powstał, a uchwyciwszy dłoń starca, gorąco do ust ją przycisnął.

— No, no, — ciągnął major — dajmy już temu pokój... Wyrwało ci się i kwita! Za dobrze, się znamy, byśmy sobie nawzajem nie mieli przebaczać. Wiem ja, że pobyt we Wolicy j est ci czasem nieprzyjemnym, ale od czego rozum! Moja żona ma swoje narowy, zwyczajnie jak kobieta, lecz ktoby tam na to uważał. Zresztą w gruncie serca i ona dobrze ci życzy, tylko już taka jej natura... Co do mnie zaś, to przyznam ci się otwarcie, że nie mogę oswoić się zmysłą, byśmy się kiedyś rozstali. Nie dziwota, Edmundzie, wychowałem cię, przywykłem... Serce przyzwyczai się nawet do drzewa, cöz dopiero do człowieka zwłaszcza takiego jak ty!... Mnie tam nie wiecznie na tym świecie, stare blizny ciągle się odnawiają, nie długo trzeba was będzie pożegnać.

— Dlaczego te smutne myśli, drogi ojcze! — przerwał Edmund.

— Tobie one do głowy nie przychodzą, boś młody... ale ja myślę, myślę ciągle, bo muszę. Gdyby mnie tak brakło, coby się tu stało? Moja żona poczciwa kobieta, ale zwyczajnie kobieta... do reszty mogłoby się w jej głowie przewrócić, A Tonią, lo jeszcze dziecko... Tylko was dwoje mam, to też przy was chciałbym umrzeć... Edmundzie, i cöz ty na to?

Zapytany nie dał żadnej odpowiedzi; nie mógł znaleźć stosownych słów do wypowiedzenia tego, co czuł w tej chwili. Majora kochał jak najlepszego z ojców i najlepszego przyjaciela, więc nie dziw, że melancholijny nastrój jego mowy I jemu się udzielił. Nie raz już zastanawiał się nad możliwością rozstania się z rodziną, wśród której tyle lat spędził, i zawsze z największym tylko wysiłkiem ducha wmawiał w siebie że zdała od Wolicy mógłby być szczęśliwym. Że zaś z natury należał do ludzi, którzy chętnie uczucia ukrywają, więc ilekroć żądano od niego spowiedzi serca, wołał milczeć, niż najdroższe skarby swoje rzucać na marną rokosz słowa. Bezstronność nakazuje nam także wyznać, że zapytania, którym major zakończył, Edmund bądź całkiem niedosłyszał, bądź nie pojął w tem znaczeniu w jakim je major wypowiedział.

Młody człowiek siedział ciągle z oczyma przed siebie utkwionemi, a tymczasem pan Kazimierz powstał, i z gorączkowym jakimś pospiechem zaczął przechadzać się po sypialni. Ważne, bardzo ważne myśli musiały mu głowę zaprzętać, bo znowu tarł czoło, odkrzykał i od czasu do czasu na przybranego syna badawcze rzucał spojrzenie. Wreszcie zebrał całą odwagę, a sta

nął przed Edmundem, i ręką dotykając się jego ramiona, zapytał krótko a tonem stanowczym .

— Edmundzie, kochasz ty Tonie?

— Czy kocham Tonie? — powtórzył młodzieniec machinalnie, na starca oczy podnosząc.

— No mówże do krośset! boś mi się tak rozmazgał, że słowa nie można z ciebie wydobyć.

— Czy ją kocham, alboż drogi ojczu wątpisz o tem?

— Piękna odpowiedź! Ale czy ją kochasz tak jak Bóg przykazał... lo jest chciałem powiedzieć czy jakiej innej nie kochasz więcej jak ją...

— Nie drogi ojczu, to ci przysięgam.

— Ha jeżeli tak, mój Edmundzie, to ci powiem, żeń się z Tonią!

Edmund szybko powstał; w jego oczach malowało się zdziwienie z radością zmieszane. Usta do pół mu się rozwarły aby coś przemówić, lecz pierwszy dźwięk na nich zamarł.

— Moja otwartość zadziwiła cię Edmundzie, lecz wiesz że nie umiem ukrywać tego co myślę... ożeniłem się po żołniersku i po żołniersku oddaje ci jedyne dziecko. Na świecie tak nie postępują, ale co mnie len świat obchodzi!... Byle wyście byli szczęśliwi! Gdyście dziećmi byli, przyszły wasz związek był najpiękniejszym moim marze

miem, a dziś gdyście dorośli, powiedziałem sobie że czas urzeczywistnić to marzenie. Może powinnienem był czekać, póki ty sam nie zażadasz jej ręki, jednakże znałem ja młodych ludzi, którzy dlatego tylko zostali starymi kawalerami, że nie mieli nigdy odwagi oświadczyć się o rękę panny. Mogłeś mieć skrupuły, że ona bogatsza, że matka nie okazuje ci zbytnej czułości... i tego się bałem znając twoją ambicję. Teraz jednak, wszystko skończone. Mów, chcesz Tonie? Młody człowiek powoli odzyskiwał przytomność, tak, że przynajmniej w głównych zarysach mógł zrozumieć znaczenie słów, które właśnie usłyszał.

— Czy ją chce? Ależ ja bym raczej powinien zapytać czy ona mnie chce?

— Co do tego, bądź spokojnym! Już ja wiem co mówię. Gdybym nie wiedział, że Tonia kocha ciebie, nie jak brata, ale jak mężczyznę, z którym chce całe życie dzielić, pewnie byś odemnie słowa nie usłyszał.

— O mój drogi ojcze! — zawołał Edmund schylając się do kolan starca. — Tyś tak dobry, tak szlachetny, że nie mam słów by ci podziękować. Całem życiem mojem radbym ci się wywdzięczyc.

— Tylko ją kochaj, a najpiękniej się wywdzięczysz !

— Będę, przysięgam!...

Major nie mógł dłużej mówić; wzruszenie przemogło; objąwszy Edmunda za szyję rozplakał się jak dziecko. Chwilę stali jednym uściskiem złączeni, a gdy się uspokoił pierwszy wybuch uczucia, rzekł starzec:

— Zostaw mnie teraz samego Edmundzie. Młody człowiek odszedł odurzony — jakby

bezprzytomny.

Major czas jakiś siedział bez ruchu, aby odzyskać dawny spokój. Potem udał się do gabinetu, otworzył drzwi od salonu, i minawszy kilka pokojów, wszedł do pracowni swojej córki. Na kozetce siedziała Tonia sama, obok lampy zieloną ombrą przysłoniętej, a tak zamyślona, że nie postrzegła ojca, ani usłyszała cichych jego kroków na dywanie.

— Toniu!

Podniósłszy się na wpół ze strachem przybiegła do ojca.

— Toniu! — powtórzył biorąc jej rękę i silnie ściskając w swojej, która drżała — Edmund... Edmund oświadczył się o ciebie.

— A ty ojcze? — szybko zapytała.

— Przyjąłem go.

Cofnęła głowę, wpatrzyła się w starca, piękna twarzyczka pobladła jej ze wzruszenia i zsunęła się mu w objęcia szepcząc: — O mój dobry ojcze!

VII.

Dziwnym był stan duszy Edmunda po rozmowie z opiekunem, i nie łatwym do ujęcia. Opuściwszy sypialnię nie poszedł do swego pokoju; mimowoli skierował kroki ku aleji ogrodowej. Chłód nocy sierpniowej orzeźwił głowę, po której myśli chaotycznie wirowały, przywołując ją do zupełnej przytomności.

To co się stało przed chwilą, było dlań jakby snem tylko. I nie mogło być inaczej. Wypadki następowały po sobie tak szybko, a zaskoczyły go tak nieprzygotowanym, że dopiero teraz mógł zrozumieć, co się stało, i zastanowić się nad tem, czy dobrze się stało.

— Oświadczyłem się... Tonia będzie moją żoną!

Oto co mu w duszy brzmiało. Oto postanowienie do którego tak nagle skłonił go major, a skłonił po swojemu, czego Edmund nigdy się nie spodziewał. Edmund mając zaledwie lat dwa

dziesięć cztery, nie był jeszcze we wieku, w którym mężczyzna zastanawia się zimno nad swoją przyszłością. Jeżeli o czym dotąd myślał, pewnie najmniej o małżeństwie. Świat miał dlań tyle jeszcze powabów, tyle tajemnic, z których nie zerwał zasłony ręką zuchwałą, że w sprawie małżeństwa nie mógł szczerze zimno rozważyć, jak ten, który widząc się u kresu marzeń, pragnie spokojnego życia w kole rodzinnem. Z Tonia wychował się, kochał ją szczerze — ale do dziś... tylko jak siostrę. Lecz może właśnie dlatego, że wiecznie miał ją przy sobie, uczucie inne, potężniejsze, nie obudziło się w jego sercu...

Ale Tonia była piękną, młodą, dobrą jak anioł... cóż więc do szczęścia brakowało? Czy można sobie życzyć lepszej żony? Bądź co bądź, małżeństwo nie jest zabawką, kością stanowczą, rzuconą w grze hazardowej, i dlatego nieraz boleśnie ci się zawodzą, którzy wybierając towarzyszkę na cały bieg życia, pełnego walki a zawodów, idą li za popędem serca, nie radząc się równocześnie zdrowego rozumu. Edmund wiedział, że małżeństwa pobrane z szalonej miłości, często są najniezszczęśliwsze. W tym zaś wypadku rozum mu powtarzał, że lepszej żony nawet by sobie nie mógł życzyć.

Ale małżeństwo jeśli ma być prawdziwie szczęśliwym, prócz warunków, które rozum za dobre uważa, potrzebuje także miłości. Edmund nie okłamywał siebie, i w głębi duszy wyznał, że do Toni był tylko... przywiązany. Lecz przywiązanie szczerze, czy nie zaważy więcej na szali życia jak miłość wulkaniczna?

Aby się uspokoić co do wątpliwości, które w nim powstały po tem zapytaniu, zaczął w pamięci przypominać sobie wszystkie kobiety, które znał kiedykolwiek. Szereg był nie długi, jak dla człowieka w jego wieku nawet zbyt nieliczny, i nie znalazł w nim ani jednej, któraby na nim zrobiła większe wrażenie, jak ta dobra, cicha, Tonią złotowłosa. Wprawdzie jak meteor stanęła przed nim piękna postać Herminy, ale Edmund ze zgrozą odwrócił się od tego obrazu. Przecież świat utrzymywał, że hrabina nie była wolną... Jeżeli jaki niepokój drażnił jeszcze Edmunda, wszystko pierzchnęło na myśl, że był kochanym. Dopiero teraz zaczął sobie przypominać owe pytania, odpowiedzi i spojrzenia tej lubej dziewczynki, na które dawniej nie zwracał uwagi, — dopiero teraz zrozumiał, dlaczego pani Hermina zapytała go w dniu jego powrotu z zagranicy, czy z Wolicy „sam” wyjedzie. Więc Tonią pokochała go, chociaż o to się nie starał, więc ojciec i przyja

ciółka wiedzieli o fem, a tylko on jeden nie domyślał się jej uczucia! Miło usłyszeć, że się jest kochanym, że jest ktoś, kto dla nas żyć pragnie, że jest istota, która z całego tłumu otaczających ją wielbicieli tylko nas wybrała. A takie zadowolenie jestże samolubstwem, czy szlachetną wdzięcznością

Edmund im dłużej chodził, i głębiej rozważał, czuł się tem szczęśliwszym i tem bardziej, zaniepokojonym. Ach! czemu już dziś nie kochał tak Toni, jakby ją kochać chciał i powinien! Gdyby nie to jedno, na świecie nie pragnąłby więcej. Gdy wracał do domu, widział w jadalni okna oświetlone. Tak był odurzony tem co się siało, i tak mało panował nad sobą, że postanowił pójść do swego pokoju.

Pani majorowa, która tego dnia wcześniej nad wieczorem, uskarżając się na silne uderzenie krwi do głowy, położyła się do łóżka, ani przypuszczała, co się stało w jej domu; mąż przyszedł powiedzieć „dobranoc” lecz najmniejszym nie zdradził się słowem; Tonią zaś wiedząc, że pierwsza wiadomość powinna pochodzić od ojca nie od niej, ukryła tego wieczora tajemnicę na dnie dziewiętego serduszka. Pani majorowa spała wprawdzie niespokojnie, bo śniło jej się, że się

„ścięła” z hrabią Dziuniem, dla którego z tak wielką była zawsze atencją — ale przykre sny złożyła na karb kongestji i o szóstej rano zbudziła się znacznie zdrowszą, nawet weselszą.

Zaledwie przywdziała strój domowy i nieodstępny czepeczek z pąsowemi wstążkami, major wszedł do jej pokoju. Pani Katarzyna ze zdziwieniem spojrzała na męża, bo zwyczajem jego było mówić „dzień dobry” żonie dopiero przy śniadaniu.

— Jak się masz duszko — przemówił pan Kazimierz całując ją w czoło; — zapewne ci już lepiej, skoro wstałaś tak wcześnie.

— E gdzie tam! Głowa ciągle mnie boli, ale musiałam wstać, bo jak te darmożady mnie nie widzą, wszystko idzie marnie. Mój kochany Kaziu — dodała czule — od nowego roku musisz koniecznie odprawić Grzeška i Walentego, bo oni psują mi wszystką czeladź. Wyobraź sobie wczoraj...

— Dobrze, dobrze Kasiu, będziemy jeszcze mieli czas nad tem się zastanowić., teraz chciałbym z tobą pomówić o rzeczy nierównie ważniejszej...

— Ciekawam.

— Zapewne uważałaś, że nasza Tonią od niejakiego czasu była zamyślona, prawie smutna...

— o uważałam... ale mam nadzieję, że to się skończy, niech tylko wyjdzie za mąż.

— I ja jestem tego zdania. Śledząc ją uważnie, nabrałem nawet przekonania, że jej serce, jakkolwiek młode, już oddawna zajęte...

— Oddawna.? Przecie...

— Nie wiem kogo (y masz na myśli Kasiu, ale wiem, że Tonią kocha Edmunda i nawzajem jest kochaną.

Pani majorowa zrobiła się jeszcze czerwieńszą, jeżeli w ogóle było to możebnem.

— Edmunda? — powtórzyła — fiu! fiu! co tobie place się po głowie!... Ze Edmund ma się do niej, to bardzo wierzę, bo panicz radby złowić bogatą jedynaczkę, ale moja córka...

— Bardzo cię proszę Kasiu, tylko bez tych złośliwych wycieczek. Wiem, że Edmunda nie lubisz, wiem także, że masz w projekcie tego gagatka, Dziunia, ale wierz mi, z tego nic nie będzie...

Ton mowy majora był tak stanowczym, że pani Katarzyna bojąc się dorywczem wystąpieniem popsuć sprawę, uznała za stosowne usiąść i podeprzeć twarz ręką. Tak wyzywającą postawę przybierała zawsze, ilekroć mąż uwiadomił ją o rzeczy ważnej a dla niej nie milej.

— No proszę, proszę, mów dalej, — rzekła z przekąsem.

— Otoż rozważywszy wszystko, — ciągnął major spokojnie — postanowiłem ich pobrać.

Pani Katarzynie było tego za wiele.

— Kazimierzu! — zawołała porywając się z krzesła — córka należy do matki, nie do ojca. Bardzo cię proszę nie mieszaj się do niej! Już ja sama rozporządzę jej ręką.

— I popelnisz jakąś niedorzeczność. Nie moja Kasiu, ja jako ojciec i głowa rodziny nie mógłbym na to przystać, a że było zawsze gorącym mojem życzeniem, by ani ja, ani ty, lecz Tonią sama rozporządzała swoją ręką, i gdy jej wybór padł szczęśliwie na człowieka, którego i my powinniśmy kochać, więc nie widząc żadnej przeszkody, postanowiłem ich pobłogosławić, a mam nadzieję, że ty także chętnie to samo uczynisz.

— Nigdy, jak Boga kocham, nigdy! Moja córka może pójść za księcia, a taki chłystek zawsze się znajdzie, choćby jeszcze dwadzieścia lat czekała.

— Wielki tytuł — to nic szczęście... niech o nim marzą ludzie próżni... Toni tego nie potrzeba. Edmund jest człowiekiem zacnym, rozum

nym, synem uczciwej rodziny i kocha Tonię, b to mi wystarcza.

— Na rany boskie — Kazimierzu co ty mówisz?! Ten chłopak ma zaledwie jakąś tam nędzną wioszczykę, a Tonią będzie miała przeszło półmilion. Co by świat na to powiedział?... jabyłm nigdzie oczu nie śmiała pokazać... toby był mezialians!

— Do kroćset! — zawołał major z oburzeniem nogą o posadzkę uderzając, — a waćpanj z jakiego pochodzisz gniazda, że aż prawisz o mezialiansie. Edmund oświadczył mi się o rękę Toni, przyjąłem go, do czternastu dni będą zaręczyny, do dwóch miesięcy ślub i basta!

Rzekłszy to pan Kazimierz Zawilski opuścił apartament żony, która tym razem nie tyle już oburzona, co przestraszona rozkazującym głosem męża, upadła na sofę, oburącz twarz sobie zasłaniając.

Niema jej rozpacz nie długo trwała. Przyskoczywszy do okna otworzyła je z taką gwałtownością, że aż dwie szyby pękły i trzy wazoniki z kwiatami wypadły do ogrodu, a orzeźwiwszy się chłodnem powietrzem, które szeroką wpłynęło strugą, zaczęła dzwonić, ciągnąc taśmę nad łóżkiem, i biegać po pokoju wołając:

— o mój Boże! mój Boże!

Tonią, której sypialnia znajdowała się w pobliżu, słysząc niezwykle alarm w pokoju matki wybiegła przestraszona w negliżu porannym. Zaledwie jednak drzwi otworzyła, usłyszała głos, który zawołał:

— Nie pokazuj mi się na oczy wyrodna córko! Precz! precz!

Przerażone dziewczę cofnęło się ode drzwi i drżąc jak liść, ukryło się w swoim pokoiku.

Tymczasem nadeszła Julia wezwana z garderoby gorączkowym brzękiem dzwonka.

— Idź do matki niech tu zaraz przyjdzie! — zawołała pani Katarzyna do wchodzącej — Idź, spiesz się! O mój Boże!

W kilka minut w sypialni pani majorowej pojawiła się pani Pędracka, klucznica z zawodu, a matka dwóch córek, z których starsza, Marynia, była panną służąca w Warnowcach, a druga Julja sprawowała takie same obowiązki przy Toni i jej matce, która z oszczędności nie trzymała dla siebie osobnej garderobiany.

Pani Pędracka była także wzrostu niskiego, także okrągła, także rumiana. Jeżeli przysłowie „swój swego znajdzie” zawiodło kiedy, to we Wolicy znalazło ono najobszerniejsze potwierdzenie. Chociaż pani majorowa bacznie unikała

wszelkich rozmów odnoszących się do jej przeszłości, chociaż za żadne skarby świata nie byłaby się przed nikim przyznała do stanu, z którego pochodziła; chociaż nawet z córką nigdy nie mówiła o latach spędzonych w panieństwie — mimo to do własnej klucznicy przylgnęła całą duszą, uważając ją za najszczerszą swoją przyjaciółkę. Nie raz późnym wieczorem, gdy już wszyscy spad się pokładli, pani domu zarzuciwszy dużą chustkę na głowę, wymykała się ze dworu i ukradkiem zachodziła do oficyny, gdzie pani Pędracka zajmowała te same dwa pokoje, które ongi do niej należały. Tu usiadłszy na łóżku swojej klucznicy, rozmawiała z nią o przeszłości i przyszłości, zwierzała się z tajemnic, zasięgała rady i układała plany. Tu niechce do Edmunda nabierała świeżego pokarmu, tu urodził się projekt wydania Toni za hrabiego Dziunia, tu wreszcie rozlewały się skargi na majora, który na pozór łagodny i słodki, w gruncie był „tylko despotą i nieszczęśliwą żonę tyranizował!” Pani Pędracka chwalać zawsze swoją chlebobawczynię, tym jedynym środkiem tak znakomicie utrzymywała z nią stosunki poufnej przyjaźni, że tylko dla niej jednej majorowa nawet skąpą nie była. Ilekroć Julcia lub Marynia miała jaką potrzebę, klucznicą potrzebowała tylko wspo

mnieć o tem majorowej, a pewnie wszystko uzyskała. Co więcej, nawet dalsi krewni Pędrackiej doświadczali łaskawości dziedziczki z Wolicy. Na drugiej wsi nauczycielem ludowym był jakiś stryjeczny czy wujeczny brat pani Pędrackiej. Najregularniej co miesiąc odchodził doń z Wolicy wóz naładowany drzewem i różnemi wiktuałami. — Pędrasiul moja droga Pędrasiu, ach ja nieszczęśliwa! — zawołała pani Katarzyna rzucając się na szyję nowoprzybyłej i wybuchając płaczem, na który aż do tej chwili nie mogło się jej zebrać. — Chryste! a cóż to się stało jasnej pani? Uchowaj Boże może doprawdy jakie nieszczęście— odparła klucznica usiłując tłustym swoim policzkom i małym a bystrym oczkom nadać wyrazu rzetelnego współczucia. — Wyobraź sobie Pędrasiu, że tu prawdziwa Sodomia i Gomora, tu ogień siarczysty kiedyś ten dwór spali! Wyobraź sobie mąż knuje przeciw żonie, córka przeciw własnej matce, a ta... ta gadzina... — Pewnie pan Edmund. — Tak, tak, ten Edmund wkradł się jak złodziej do mego domu i zbałamucił mi córkę... — W imię Ojca i Syna! — szepnęła klucznica robiąc znak krzyża — a to do prawdy

wielkie nieszczęście. Ktoby się tego był spodziewał, chociaż ja nieraz jaśnie panie przestrzegałam, że młodzi państwo za dęugo rozmawiali z sobą w ogrodzie.

— Prawda, prawda, ale cóż było począć, kiedy ten stary zawsze ich bronił. Strzegłam, patrzyłam, a jednak nic nie pomogło! I czy dałabyś wiarę, że on sam ich łączy, sam żeni, mnie o to nie zapytawszy, nawet wbrew mojej woli! Widzisz, ludzie mówią, że ja go trzymam pod pantoflem, a tymczasem to nieprawda. Gdy idzie o jakie głupstwo, to mi ustępuje, ale gdy ma zrobić co ważnego, zawsze sam zrobi! Dobrze ja miałam przeczucie, że tej małej gadziny nie chciałam wziąć do siebie, ale staruch uparł się, postawił na swoim i teraz masz...!

— Już to ja zawsze mówiłam, że jaśnie pani jest ofiarą — pocieszała Pędracka.

— Skończoną ofiarą, od lat trzydziestu! Poświęciłam mu moją młodość, moje życie, a teraz piękną mam nagrodę: zbuntował mi córkę jedyną, i zmówił się z tą gadziną Edmundem, który będzie gwoździem do mojej trumny...

— Co teraz jaśnie pani powie hrabiemu?

— O to mi też najwięcej idzie! Nie raz dawałam mu do zrozumienia, że odemnie wszy

stko zależy, że może być spokojnym, a tymczasem patrz, patrz jak oni mnie wykierowali.

— Szkoda, wielka szkoda, taki piękny pan, taki hrabia!"

— Gdyby moja córka została była jego żoną, cała nasza rodzina byłaby się podniosła w znaczeniu, najpierwsi panowie byliby się starali o moje względy... teraz wszyscy mnie wyśmiejają, a hrabia będzie nawet śmiertelnie obrażony. Jak mię gdzie spotka, gotów się nawet nie uklonić. Moja droga Pędrasiu, kazałam cię tu przywołać by się ciebie poradzić. Może się da jeszcze co zrobić, zapobiedz...

— Niech jaśnie pani opowie mi łaskawie wszystko, jak było, a może coś na to poradzimy.

Majorowa powtórzyła niemal dosłownie rozmowę swoją z mężem. Pędracka słuchając od czasu do czasu potrząsała głową, potem rzekła;

— Kiedy pan major ośmielił się jaśnie panie nazwać aż „waćpanią," to źle, bardzo źle., widać, że wziął na kiel. A twardy, wiem że twardy, nie łatwo ustąpi. Lecz pomyślę ja dziś, może się jeszcze da zaradzić. Najtrudniej zwlec, potem to się już zrobi... Mam w Bogu nadzieję że do wieczora przyjdzie mi dobry concept.

r Pamiętaj Pędrasiu, pamiętaj! ja ci tego

mie zapomnę! Wieczorem przyjdę do ciebie, ko

niecznie musimy coś uradzić...

Klucznica pocałowała majorowe w rękę, a majorowa pocałowała ją w głowę. Po wyjściu zaś powiernicy, nieszczęśliwa pani Katarzyna zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na sofę, aby odpocząć po gwałtownym wzruszeniu. Biedny Edmund nie przeczuwał, jak mu teraz złorzeczyła jego matka przybrana, i jaką mu zemstę przysięgała.

Gdybyście mię zapytali, jak wyglądali nasi młodzi przyjaciele, gdy tego dnia rano zeszli się pierwszy raz na ganku, nie mógłbym wam odpowiedzieć. Są chwile, które można tylko czuć; spojrzenia, których opisywać nie wolno ; uśmiechy, które zimnem opowiedziane słowem, straciłyby cały swój urok; — rumieńce, które podpatrzone przez oko obojętne, przestałyby być dziewczęcimi; zakłopotania, które rozumieją tylko narzeczeni. Ja wiem zaledwie tyle, że młodzi nasi znajomi tego poranku zeszli się o całą godzinę później jak zwykle, chociaż przypadkiem widzieli się kilka razy z daleka, i że na ganku byliby może wcale nie nawiązali rozmowy, gdyby nie major, który w sam czas się zjawił, aby im przyjść w pomoc.

VIII.

Pracownia hrabiego Olpińskiego ciekawo przedstawiała widok. Był to pokój przestronny, wysoki, sklepiony, którego dwa gotyckie okna silnemi opatrzone kratami wychodziły na boczną stronę pałacu. Gdyby nie to, budynek, postawiony w stylu włoskim, z tą przyczepką gotycką byłby od frontu pocieszenie wyglądał. Hrabia zapatrując się na wszystko po swojemu, był zdania, że gotyk przyczynia się najwięcej do skupienia ducha, dla tego kazał przerobić okna w swojej pracowni; ale że mimo całej oryginalności p. Olpiński nie był pozbawionym dobrego smaku, więc na pracownię wybrał pokój boczny, którego od frontu nikt nie widział.

Prócz hrabiego i Michałka, rzadko kto zaglądał do tego przybytku nauki i dziwactw. Olpiński spędzał tu sam długie godziny i tylko w ważnych wypadkach pozwalał wchodzić obcym.

Do tych nie należały osoby z lepszej sfery społecznej, bo jakkolwiek na pozór hrabia nie trzymał się form towarzyskich, nie przestał być grzecznym i gościnnym. Sąsiadów i dalszych znajomych przyjmował zawsze w salonie — a w pracowni chyba jakiego wieśniaka lub oficjalistę, dla których etykieta byłaby zbyt ciężką. Umebłowanie gabinetu składało się z dębowego sekretarza, który stał w rogu pod oknem, tak by światło piszącemu od lewej strony padało, trzech, czy czterech krzeseł poręczowych, niegdyś karmazynowa skórą obitych, i sofki niewiadomego koloru. Resztę miejsca wypełniały olbrzymie czworoboczne szafy, zasypane książkami i papierami, jak w jakiejś antykwarii. W dodatku po kątach, na sofie, dokoła sekretarza i pod nim leżały także stosy książek i dzienników. Między książkami widziałeś najrozmaitsze, od najmniejszych i wytwornie oprawnych, do najgrubszych w okładkach z oślej skóry; od najpoważniejszych do banalnych, od greckich i łacińskich do rumuńskich i bółgarskich — a między dziennikami można było dostrzedz poważne Atheneum angielskie obok mizernego Pfennig Magazin,, który niegdyś Niemcy wydawali. Czy hrabia rozumiał wszystkie te języki, trudno by na to odpowiedzieć, w powiecie bowiem nie było znakomitych lingwistów

i kochani sąsiedzi najchętniej po polsku mówili — ale z tych świstków powkładanych do rozmaitych książek, z tych kart pozałamywanych, i z tych notatek na marginesach, które wyglądały jak hieroglify egipskie, możnaby wnosić, że hrabia prócz ojczystego i francuskiego umiał jeszcze inne języki.

W pokoju panowała ciężka atmosfera, albowiem pod żadnym warunkiem nie było wolno okien otwierać, aby wiatr nie strącił jakiej ważnej kartki, która raz upadłszy, mogłaby się łatwo pomieszać z innymi papierami i na wieki zginąć. Obawa przed takim wypadkiem była także powodem, że hrabia pozwalał strzepywać prochy tylko raz do roku. Wtedy zamykał się z Michałkiem, i wespół z nim zmiatał kurz na ziemię, aby go potem wymieść do sieni; ale że czyniąc to nie

pozwalając drzwi otwierać, bo znowu mógłby się ulotnić jakiś ważny dokument, więc kurz wracał odpoczywać na dawne miejsca, z posadzki zaś nawet to nie dostawało się na wolne powietrze, co dawniej na niej leżało, gdyż ciągle chodzenie i trzepanie, wypędzało i z tamtąd nowe tumany w wyższe rejony pracowni. Zawsze po dokonaniu tej pracy, hrabia był weselszym, i tego dnia zapraszał kogoś na pogadankę do pracowni: dawniej rządce, teraz panią Hermine.

Powszechnie wiadomo, że hrabia pisze „Kronikę świata,” ale nikt sobie nie wystawiał, choćby tylko w przybliżeniu, co to była za kronika. Ponieważ przypadek pozwolił nam raz zajrzeć do foljałów autora, przeto w tej ważnej sprawie możemy dać niejaki wyjaśnienie.

Przed dwudziestu jeszcze laty hrabia głośno powtarzał, że każdy człowiek powinien dla społeczeństwa coś uczynić, a że już wtedy miał zamiar zostać starym kawalerem, więc pewnego dnia chodząc po pustych pokojach, stanął na środku salonu, palec do czoła przyłożył i rzekł do siebie;

— Gdybym się był ożenił i miał dzieci, byłbym przynajmniej to zwrócił, co sam otrzymałem na świat przychodząc; ale gdy się inaczej stało, więc będę się uczył, i napiszę takie dzieło, z którego ludzkość prawdziwą odniesie pożytek. Jak powiedział, tak uczynił. Kilka lat czytał i uczył się pilnie, i powoli utwierdził się w przekonaniu, że dla ludzkości najpożyteczniejszym dziełem, byłaby taka „kronika świata,” w której by się znajdowały spisane w porządku chronologicznym dzień po dniu, wszystkie zdarzenia; że zaś hrabia nie chciał być suchym opowiadaczem faktów, przeto powiedział sobie równocześnie, że kronikę należy pisać z pewną myślą

przewodnią, a gdy już przedtem był tak wielkim zwolennikiem Montesqujusza, że jego *Esprit des lois* umiał prawie na pamięć, więc myśliciel francuski miał służyć za komentatora całego dzieła: słowem, hrabia postanowił udowodnić, że Montesquieu miał zawsze rację.

Z namaszczeniem prawdziwie kapłańskim przystąpił do pracy; zaledwie jednak kazał sobie porobić spore kajety i na każdym z osobna umieścił nazwę jednego z ludów najstarożytniejszych, przekonał się ku wielkiemu swemu umartwieniu, że z narodami głębokiego Wschodu sprawa nie pójdzie łatwo. Nie tylko nie mógł spisać historii Indjan, Persów, Egipcjan i tyłu, tyłu innych dzień po dniu, lecz brak mu było całych lat, nawet stuleć całych. Zgryziony niesłychanie, odłożył Wschód, pocieszając się nadzieją rychłego doń powrotu, gdy specjaliści badacze rozjaśnią jego historię, a tymczasem zajął się Grecją, jako więcej już znaną. Wprawdzie i tu spotkały go te same trudności co przy Wschodzie, lecz postanowiwszy tym razem nie ustąpić, szedł wytrwale naprzód, i po ośmioletniej pracy, zapisawszy sześć tysięcy arkuszy papieru, doszedł nareszcie do Platona, o czym we Wolicy dowiedzieliśmy się z jego ust własnych, a nie wątpił, że za życia

skończy całe dzieło, odda je do druku i korektęsam przeczyta.

Oto widzimy go przy sekretarzu w todze poważnej, ze złotymi okularami na nosie i w okrągłej aksamitnej czapeczce. Na dworze ciepło — pogodnie — wesoło. Hrabia jest atoli nieczułym na takie przyjemności, obojętnym na takie drobnostki. Przejęty ważnością swojej pracy, pisze aż. pióro trzeszczy, radząc się od czasu do czasu leżących na boku notatek, lub rozrzuconych książek i papierów, a resztę snując z własnej wyobraźni. Dwa opylone portrety familijne wiszące pod sklepieniem, z których jeden przedstawia karmazyna z wąsem zawieszistym, drugi poważną matronę w sukniach klasztornych, patrzą z politowaniem na ostatniego przedstawiciela rodu Olpińskich. Już długo pisał głowy od papieru nie podnosząc, gdy do pokoju wszedł Michałek na palcach, i stanął w tyle za krzesłem. Chwilę się wahał, a potem nachylając się przez zapomnienie do lewego ucha swego pana, na które hrabia źle słyszał, rzekł dość cicho:

— Proszę jaśnie pana!

Piszący machnął piórem koło głowy w mniemaniu, że nadleciała mucha natrętna.

— Proszę jaśnie pana!— powtórzył Michałek głośniej.

— He? — zapyta! hrabia, wykrzywiając twarz w kierunku mówiącego, ale głowy nie podnosząc.

— Przyszedł Marcin Zajac, ten co go nazywają Mazurem, i prosi czyby nie mógł widzieć pana hrabiego.

— He? — odparł znowu autor „Kroniki świata" i pisał dalej z zapalem prawdziwie młodzieńczym.

Michałek powtórzył zapytanie.

— Niech poczeka! — zakonkludował hrabia. Michałek poskrobał się w głowę.

— On już czeka od południa, a do wsi musi wrócić dziś jeszcze, bo u niego stało się nieszczęście.

— Nieszczęście? — powtórzył hrabia zwracając się do mówiącego. — Czemu ty mi trutniu przeszkadzasz? Ile to razy powtarzałem ci, żebyś mi nie przeszkadzał kiedy ja piszę!... A wiesz ty co ja piszę, he? Nieszczęście... jakie znowu nieszczęście?

— Ja nie wiem proszę jaśnie pana. Mazur sam powie.

— Nie mam czasu, nie mam czasu.

— Biedny człowiek zgryzie się... on już i bez tego płakał.

— Nieszczęście?... płakał?... to idźże trutniu

I zaraz mi go tu przywołaj! Tylko niech sobie bufy wyczyści, żeby mi prochu nie naniósł.

Uradowany Michałek wybiegł i po chwili wrócił z wieśniakiem, siwym jak gołąb', który zbliżywszy się do hrabiego, pochylił się aby go w tołano pocałować.

— Dajże mi pokój, Marcinie! A to co znowu? Tam, w kościele całuj Boga po nogach, nie mnie. Co chcesz, mów prędzej, bo nie mam czasu.

— Ta proszę jaśnie pana hrabiego ja się wczoraj popalił,

— To źle, bardzo źle... A co się spaliło?

— Ta wszystko, proszę jaśnie pana hrabiego. I chata i stodoła i chudoba.

— To bardzo źle... A byłeś ubezpieczony?

— Ta nie proszę jaśnie pana hrabiego — odrzekł kłaniając się pokornie. — Asekuracja dużo kosztuje, a człowiek taki biedny, co może zaledwie zebrać na podatek, ta na topkę soli.

— To źle, bardzo źle... Bo widzisz Montesquieu powiedział...

Hrabia urwał, zmarszczył brwi i głowę podniósł do góry. Widocznie myślał, czy Montesquieu pisał co o asekuracji; nie znalazłszy w nim atoli Stosownego cytatu, co mu od kilku lat dopiero pierwszy raz się zdarzyło, zwrócił się do wieśniaka oznakami wewnętrznego niezadowolenia.

— To źle Marcinie, ale ja temu nie winien. Wieśniak milczał.

— A jakim lo sposobem przyszło do pożaru? — zapytał znowu pan Olpiński.

— Ta Bóg to wie, proszę jaśnie pana hrabiego! — odrzekł Marcin z nowym ukłonem. — Wieczorem położyliśmy się spać, i ja i córka i zięć i wnuki, i spaliśmy sobie dobre dwie godziny, aż tu naraz w sieni zaczynają kury gdakać, i bryś wyje na dworze, jakby broń Boże na złodzieja. Zbudziłem się, patrzę przez okno, a tu jasno... wychodzę z chaty, a tu stodoła gore! Ledwieśmy z duszą uciekli.

— A nie wynosił kto z chaty śmiecia po zachodzie słońca?

Zapytany podumał chwilę, potem odpowiedział :

— Ta wynosiła moja córka.

— A ty nie wiesz Marcinie, że to grzech z chaty śmiecie wynosić po zachodzie słońca?

— Ta coś Iak gadają.

— Gadają? A ty czemu nie słuchał kiedy gadają, he? — zawołał hrabia porywczo. — Widzisz, tyś ciemny chłop, więc powinieś wierzyć, kiedy nic nie rozumiesz. Gdyby ci był kto powiedział, że dla tego nie należy wynosić śmiecia wieczorem, że w śmieciu może być jaki węgiel.

z którego gotów potem pożar wybuchnąć, to mógłbyś nie usłuchać, boś ciemny chłop... ale kiedy słyszałeś że to grzech, toś powinien był wierzyć, bo takiego ciemnego chłopca tylko wiara trzyma... Ale ty jak widzisz nic sobie z wiary nie robisz, ty nie katolik, nie asekurujesz chaty i pozwalasz wynosić śmiecie po zachodzie słońca... idźże teraz z Bogiem i daj mi święty pokój i Skruszony wieśniak w głos się rozplakał.

— Tylko nie płacz! Ja tego znieść nie mogę... No mów, mów prędzej, czego chcesz ?

— Ta proszę jaśnie pana hrabiego my zostali bez chaty, bez chudoby, zarobku już niema, bo żniwa pokończone, dzieci nie mają łyżki mleka.

— Dzieci ? A czemu nic pilnowałeś chaty i śmiecia? No mów, mów, czego chcesz!

— Ta żeby jaśnie pan hrabia kazał wydać drzewa, ta byśmy się pobudowali, a na wiosnę ta byśmy odrobili.

Hrabia szybko napisał kilkanaście słów na kartce, którą wręczył wieśniakowi ze słowami:

— Idź z tem do pana rządcy... On ci wyda drzewo. Tylko pamiętaj odrobić na wiosnę.

Marcin chciał znów upaść do nóg hrabiemu, lecz ten zatrzymał go, sam się cofając. Gdy wieśniak był już przy drzwiach, pan Olpiński jakby sobie coś przypomniał, głośno zawołał:

— Wróć się Marcinie! Mówiłeś że ci się chudoba spaliła, że dzieci nie mają łyżki mleka, a przecię z drzewa mleka nie utoczysz... Widzisz jaki ty ciemny chłop! Ja ci nie dam krowy z mojej stajni, bo koło takiej krowy nie umiałbyś chodzić, ale weź to jako pożyczkę i pamiętaj odrobić.

Z temi słowy sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek banknotów, i nie licząc, wręczył biedakowi.

— Idź teraz z Bogiem, tam pewnie na ciebie czekają, tylko nikomu nic niemów, bo jakby się tu zlecieli, toby mnie obdarli do koszuli. A pamiętaj o asekuracji i nie pozwalaj wynosić śmiecia po zachodzie słońca, bo to grzech !

Zaledwie Marcin wyszedł błogosławiąc w duszy swemu dobroczyńcy, cicho jak kot wsunął się do pokoju jakiś żydek i pokornie przy drzwiach się zatrzymał. Hrabia długo go nie widział, ani się nawet domyślał, tak był zajęty pisaniem swego dzieła: dopiero gdy zmęczony powstał, aby przejść się po świeżem powietrzu, potracił prawie o gościa natrętnego.

— Icek! A ty tu co robisz? Kto ciebie wpuścił, he?

Zapytany zdjął jarmułkę, po trzykroć skłonił się do ziemi i rzekł bojaźliwie:

— Ja proszę Jaśnie pana hrabiego sam przyszedł, bo ja mam wielką zgryzotę.

— A mnie co obchodzi twoja zgryzota, he ?

— Ja mam dziś płacić ratę.

— To idź z nią do pana rządcy. Wszak wiesz, że waszych brudnych pieniędzy nigdy sam nie odbieram.

— Wiem, jaśnie panie hrabio, i dla tego ja tu przyszedł, że jaśnie pan hrabia nie odbierze.

— Icek! Czyś oszalał? Czy ty myślisz że ja tobie propinację darowałem, he? Montesquieu powiedział w księdze XXI, rozdział XXII, że Hiszpanja dla tego zbankrutowała, ponieważ nie pracując przysłała do wielkich pieniędzy po odkryciu Ameryki. A ja nie chcę żebyś ty zbankrutował, nie! Dla tego pracuj i płac.

— Ale ja nie mam z czego płacić... teraz laka bieda, chłopcy nie piją, a te co piją, to na kredyt... to takie gałgany! Ale ja bym był i bez tego zapłacił, tylko że mnie spotkało wielkie nieszczęście.. Tego lata umarła mi zona i dziecko, to ja się tak zagryzł, że ja nie mógł pilnować karczmy i każdy mnie kraść.

— Cóż im było?

— Pan Bóg to wie! Zona zjadła wieczór kawałek chleba z masłem, które było w miedzianej ryneczce, dała dziecku i oboje pomarli.

Hrabia głęboko się zamyślił; potem zapytał .

— A rabin nie ogłasza! wam wtedy, że ponieważ będzie „czerwona nitka,” więc powinniście wyrzucić wszystkie tłuszcze z domu?

— Ogłaszał proszę jaśnie pana hrabiego.

— A czemu nie usłuchałeś rozkazu?

— Bo ja zapomniał.

— Tak, to ty nie słuchasz rabina... a jaki to żyd z ciebie? A wiesz ty dla czego on podczas upałów ogłasza, że będzie „nitka czerwona? Jakby on powiedział, że w gorące dni tłustość łatwo się psuje, zwłaszcza taka, którą trzymacie w miedzianych naczyniach, i że ten, kto ją zje, może polem zachorować, nawet umrzeć, jak twoja zona i dziecko, to może niejeden z was śmiałyby się z tego — ale jak on ogłosi że będzie „nitka czerwona,” to ciemny a zabobonny żyd nie rozumiejąc co znaczy ta symbolika, boi się i słucha. Ale ty Icku nie jesteś nawet dobrym żydem, bo nie słuchasz swego rabina. Idź więc do licha i daj mi pokój! Jak do jutra raty nie zapłacisz, każę cię wyrzucić z karczmy.

Z temi słowy hrabia wyszedł popychając żyda przed sobą; zamknął drzwi od pracowni, schował klucz do kieszeni i udał się do ogrodu.

Icek jednakże nie dał za wygrane. Trzymając od' dwudziestu lat propinację w jednej z li

cznych wsi hrabiego, znał swego pana na wskrós, bo kogóż sprytny żyd nie pozna gdy zechce. Z futrzaną czapką w ręce stał koło bramy ogrodowej całą godzinę, laską psom się opędzając, a gdy pan Olpiński wracał, drugi raz zbliżył się do niego i znowu zaczął prosić. Hrabia z początku mężnie się opierał, ale w miarę jak się wzmagala natarczywość propinatora, słabł opór dziedzica Warnowiec, i nareszcie na tem się skończyło, że Icek nie tylko został zwolnionym z raty, lecz w dodatku dostał jeszcze kilka reńskich dla dzieci na gule.

— Idźże teraz do licha— zakończył hrabia,— i słuchaj rabina, bo żyd, który rabina nie słucha, wart djabła. A nie zapominaj także o przyszłej racie, bo Filip II dla tego zbankrutował, że Karol V dostawał pieniądze za darmo, i nikomu nic nie mów, bo jakby się tu zlecieli, to by mię do koszuli obdarli.

Icek skłonił się do kolan, przysięgając na wszystkie swoje świętości, że nic nie powie, wyszedł za bramę gdzie stał wózek jednokonny, siadł, cmoknął kilka razy i kłusem popędził do domu.

Prawdę powiedział pan Damazy: hrabia Olpiński to skończony egoista!

IX.

Niech to nie dziwi czytelnika, że przy panu Olpińskim, mimo że w naszym opowiadaniu nie odgrywa on głównej roli, zatrzymaliśmy się tak długo, przytaczając epizody nie zostające z dalszym biegiem rzeczy w związku bezpośrednim. Postacie jak ta, zaczynają już należeć do historii. Chociaż gdzie niegdzie pojawi się jeszcze jaki oryginał, ogół nie podpatruje go, nie bada, często nawet nie wierzy że istnieje. Wskutek coraz większego rozrostu jednolitej cywilizacji, świat przybiera formy tak ogólne, że cokolwiek do nich się nie nagina, jest w jego oczach dziwactwem, które na uwagę nie zasługuje. Jak feudalna szlachta i francuska podczas wielkiej Rewolucji dawała się zabijać chłopom dla tego tylko, że dobry łon nie pozwalał jej zniżyć się do obrony przeciwko zgrai pospólstwa, tak kupieckie społeczeństwo naszych czasów uważałoby za marną stratę czasu przypatrywać się jednostkom mającym inny po

gląd na Judzi i rzeczy, a za niedorzeczność cenić je chociażby nawet na to zasługiwały. Dziś każdy oryginał jest tylko śmiesznym i to wystarcza. Na sąd więcej szczegółowy żaden z nich nie zasługuje.

Zresztą nie da się i to zaprzeczyć, że figur jak hrabia Olpiński już coraz mniej. Było ich dużo u schyłku ubiegłego i na początku bieżącego stulecia, bo największe dziwactwa psychiczne pojawiają się tylko wśród wielkich fermentów psychicznych — ale dziś gdy duch ludzki na pozór dość spokojnym płynie korytem, charaktery wyrabiają się mniej więcej na jedne modłę, i ztąd [ocho(lzi, że rozglądnąwszy się dokoła nie widzimy ani wielkich potęg ducha, ani wielkich jego aberacyj.

Ferment z r. wydał u nas ostatnich oryginałów i do nich należał hr. Eustachy Olpiński.

Hermina bawiła kilka dni w mieście, co hrabiego zaczęło już niecierpliwić, bo mając czas przywyknąć do pięknej siostrzenicy potrzebował jej towarzystwa. Nareszcie ósmego dnia po południu zajechał powóz, z którego wysiadła pani Hermina w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Nowoprzybyły był niskiego wzrostu, okrągły, o rysach przypominających jeden z ludów małoazjatyckich, lecz nie Izraelski, z głową do

kuli podobną. Trzymał się sztywnie, usiłując okazać się bardzo poważnym, i chodził prędko, rozstawiając nogi szeroko, co świadczyło o pewnych wadliwościach w jego organizmie.

Hrabia poznał go od pierwszego wejrzenia. Był to pan Marceł Tarczuk, nie tyle sławny, co głośny mecenas stolicy, który najchętniej zajmował się sprawami pupilarnymi i rozwodami. Głowę miał nie tęgą, ale spryt niepospolity. Dzięki temu umiał się wkręcić do kilku instytucyj publicznych i zaskarbić sobie ogólne zaufanie. Płaszcząc się przed panami, a kokietując z ulicą, z której najpożywniejsze soki wyssysał, służył pierwszym, udając że się poświęca dla drugich, i tak trzymał się na powierzchni, chociaż oddawna powinien był utonąć.

Wprawdzie ten i ów coś przebąkiwał, roztropniejsi odsuwali się nawet od niego, ogół jednak milczał, a mniej obznajomieni ze stosunkami miejskimi ufali mu nawet z zamkniętymi oczyma. Do ostatnich należała także pani Hermina, która dopiero od roku mieszkając w tej części kraju, zawierzywszy komuś na słowo, że p. Tarczuk jest bardzo zacnym obywatelem, oddała mu wszystkie swoje interesa. — Szanowny mecenas miał w swoim charakterze jeden rys, po którym można go było najłatwiej poznać. W oczy wszystkich

chwalił, po za oczy wszystkich czernił. Ze szczególnem upodobaniem rzucał się na ludzi prawych, aby tem dać do myślenia, że na nim samym najmniejsza nie ciąży plama. Człowiek uczciwy jest pobłażliwy dla wszystkich — zły potępia najuczciwszych. Ilekroć spotkacie takiego, który przybierając minę katońską i z góry prosząc o tajemnicę, zaczyna potem robić zarzuty komuś z nieobecnych, spojrzycie tylko na twarz mówiącemu, a dowiecie się niewątpliwie, kto właściwie jest godnym pogardy — oskarżający czy oskarżany. Garbus śmieje się nawet z prostych i nazywa ich garbusami, myśląc że tem odwróci uwagę od swojej ułomności...

Hrabia musiał nie być zadowolonym z wizyty szanownego mecenasa, bo przywitawszy go bardzo zimno, i zamieniwszy z Herminą zaledwie kilka słów etykietalnych, natychmiast udał się do swojej pracowni. Tu zamknął się na dwa spusty, ale nie zasiadł do pisania. Z miną bardzo poważną zaczął chodzić po pokoju, mruczając coś do siebie. Długo trwał ten monolog zanim hrabia stanął i niezważając, że go nikt nie słucha, głośno zawołał; — Zobaczmy... zobaczmy! Czy on z nią czy ja sam! Tymczasem pani Hermina zaprosiwszy mece

nasa do swego gabinetu konferowała z nim całą godzinę, pokazując stosy najróżnorodniejszych papierów, które obrońca prawa uważnie przeglądał. Sprawa o której rozmawiali była widocznie bardzo ważna, bo ilekroć hrabina zapytała o zdanie swego doradcy, ten wpiersz zwieszał głowę, marszczył brwi, długo myślał, poczem zwykle cedził przez zęby:

— Da się zrobić pani hrabino, da się zrobić, ale wydatki, wielkie wydatki!

— Mniejsza o wydatki — odpowiadała Hermina — byle się raz skończyło.

Po wyczerpaniu wszystkich szczegółów, mecenas znowu się zamyślił, a potem wydał dolną wargę, poważnie oczy przymknął i rzekł spokojnie :

— Jak to dobrze pani hrabino, że sam tu przyjechałem... wszystkie te konferencje w mojem biurze na nic się nie przydały. Dopiero te listy przekonały mnie ostatecznie, co zresztą dawniej już przypuszczałem, jak to zapewne pani hrabina łaskawie pamięta, że koniecznie trzeba będzie pojechać do Wiednia, a może i do Rzymu. Sprawa zawiła, bardzo zawiła, trzeba mieć za sobą nie tylko władzę świecką lecz i duchowną... Przez te sądy i konsystorze włokłoby się niesłychanie

g

Tak być musiało.

długo, a pani hrabinie zależy na szybkim rozstrzygnięciu. Czy tak.?

— I bardzo nawet! Wyczekiwanie jest dla mnie zabójczem.

— Pojmuję to, pani hrabino, bardzo pojmuję, i sam na jej miejscu nie postąpiłbym inaczej. Żądanie słuszne, arcsprawiedliwe, i dla tego należy upierać się by jak najprędzej było wysłuchane. U wielkich ołtarzy da się załatwić, ale będzie kosztować, o będzie!

— A ile, jeżeli wolno wiedzieć ?

Mecenas zaczął liczyć na palcach, przyczem machinalnie ustami poruszał.

— Najmniej pięć tysięcy — odrzekł po chwili; rzucając ukośne spojrzenie na klientkę, która siedziała z oczyma w stół utkwionemi.

— Pięć tysięcy? — powtórzyła Hermina — to w rzeczy samej suma bardzo poważna... Ale jeżeli ma się raz skończyć, chętnie ją ofiaruję.

— Skończy się pani hrabino, nie wątpię że się skończy... jeszcze w tym tygodniu pojedę. Pani hrabina raczy tylko łaskawie napisać na kartce, ot tak dla pamięci, że honorarjum za podróż w ilości pięciutysięcy będzie mi uiszczone w swoim czasie. Niech za panią hrabinę nie obraża, nie jest to brak ufności, broń Boże! Jąbym pani hra

binie nawet życie własne powierzył, ale tak dla pamięci. My sumienni stróże prawa...

— Dobrze, dobrze, panie mecenasie — odpowiedziała żywo młoda kobieta — dam ci zapewnienie, jakie zechcesz byleś raz skończył.

— Mam nadzieję, pani hrabino, mam nieplonną nadzieję.

Po otrzymaniu rewersu, który w mgnieniu oka był napisany, mecenas spojrzął na zegarek.

— Już szósta, jak to czas leci w tak miłym towarzystwie — rzekł z uśmiechem — za pół godziny odchodzi pociąg pospieszny.

— Jak to? pan się wybierasz? Przecie u nas przenocujesz? Z polskiego domu gość nigdy pod noc nie wyjeżdżał.

— Pani hrabina bardzo łaskawa — odrzekł mecenas po kilkakroć się kłaniając — i z największą przyjemnością korzystałbym z uprzejmego zaproszenia, gdyby nie okoliczność, że jutro rano o dziewiątej mam ważny termin w sądzie. Zastępuję pewną wdowę, matkę sześciorga dzieci, której mąż zginął w usługach pewnej fabryki. Nie uwierzyłaby pani hrabina jacy ci ludzie bezduszni! Fabrykant ma miliony, a biednej kobiecie nie chce dać grosza.

— Rzeczywiście, to niegodnie! Mecenas je

dnak masz nadzieję, że sąd przyzna słusność nieszczęśliwej ?

— Jestem prawie pewny, że dostanie dziesięć tysięcy.

— Życzę więc powodzenia z całego serca i dłużej nie zatrzymuję — rzekła pani Hermina, gościowi rękę podając.—

Gdy idzie o sprawę tak ważną, prawie świętą, wypada mi wyrzec się przyjemności widzenia kochanego mecenasa dłużej w Warnowcach. A więc do miłego widzenia! — dodała z uśmiechem czarującym.

— Czy pana hrabiego mógłbym pożegnać?

— Zapewne będzie u siebie. Mój wuj najchętniej przysiaduje w swojej pracowni. Do zobaczenia kochany mecenasie!

Pan Tarczuk skłoniwszy się kilkakrotnie wyszedł poważnie udając się do hrabiego. To co powiedział pani Herminie było prawdą. Proces nieszczęśliwej wdowy w rzeczy samej prowadził, i dzięki usilnym zabiegom osób wpływowych, których umiał użyć w tym celu, otrzymał od fabrykanta dziesięć tysięcy. Wprawdzie wdowie dostały się z tego tylko trzy tysiące, siedm bowiem zatrzymał adwokat przy sobie, jako wynagrodzenie za pracę i zwrot kosztów procesów — ale czy p. Tarczuk był winien, że tak wypadło

Przecie żaden adwokat nie prowadzi procesów za darmo.

Hrabia usłyszawszy w przedpokoju kroki wymierzone i ciężkie, tak odmienne od szybkich a lekkich kroków Michałka, jakby się spodziewał odwiedzin mecenasa szybko drzwi otworzył. Gdy wszedł pan Tarczuk, gospodarz natychmiast drzwi na klucz za nim zamknął, i nie prosząc go by usiadł, przyjął gościa w stojącej postawie. W pierwszej chwili, niezwykle to postępowanie tak zdziwiło, nawet zmieszało adwokata, że jakiś czas nie mógł słowa przemówić.

Wreszcie odzyskując spokój rzekł:

— Przyszedłem pożegnać pana hrabiego, bo zaraz wracam do miasta.

— Bardzo mi miło, panie dobrodzieju, bardzo mi miło... Ale jakże tam interesa — he?

Mecenas wahał się z odpowiedzią.

— Proszę, mów pan otwarcie, bardzo proszę. Przecie nie przypuścisz by moja siostrzenica robiła cokolwiek bez mojej wiedzy. Wiem wszystko, ale że ta sprawa przykość jej sprawia, więc sam nigdy jej nie wypyuję. Jakże?... Na ukończeniu?...

— Prawie.

— To źle, bardzo źle, Montestjuieu powiedział, w księdze XVI, rozdział XV, że nieszczę

śliwa ta kobieta, która... Ale prawda, panu spieszno... zaraz skończę. Nic ma też jakiego środka aby wszystko zniweczyć?

— Trudno.

— To choćby zwlec.

— Możeby się znalazł jakiś środek, odparł adwokat po krótkim namyśle — lecz musiałyby być robione w wielkiej tajemnicy, i mogłoby kosztować... Pan hrabia wie, że kto smaruje, ten jedzie...

— Mylisz się pan, kto smaruje ten stoi, a jedzie dopiero gdy posmaruje. Przypuśćmy atoli że chcę posmarować i że hrabinie słowa nie powiem. Cóżbyś pan żądał w takim razie?

Oczy mecenasa błysły radością.

— Sześć tysięcy.

— Za zupełne rozbicie przyrzekam dwanaście, za dłuższą zwłokę, choćby tylko dwuroczną, sześć tysięcy. I abyś pan nie potrzebował ufać mi na słowo, bo to wy panowie prawnicy ponoś nikomu nie ufacie, wystawię zaraz rewers, a pan kontrrewers na kwotę podwójną z odsetkami w razie niedotrzymania umowy. Zgoda?

— Zgoda, panie hrabio.

Pan Olpiński napisał prędko dwa rewery, z których jeden po podpisaniu stał się jego wła

snością, drugi zaś przeszedł do bocznej kieszeni pana Tarczuka.

— A teraz — rzekł hrabia szybko ku drzwiom zmierzając — miło mi pożegnać pana mecenasa, bardzo miło,

— Polecam się łaskawym względom pana hrabiego dobrodzieja! — odpowiedział adwokat rękę wyciągając.

Oryginał udał jednak że ręki nie widzi. Szybko nad swój wiek zbliżył się do drzwi, otworzył, i suwając nogami, z daleka ukłonił się jeszcze kilka razy gościowi.

Pan Tarczuk był tak odu rzony świetnym interesem, który zrobił w ciągu kilku minut, że nawet nie miał czasu, a może i nie chciał myśleć o przyjęciu jakie go spotkało ze strony hrabiego Olpińskiego. W najgorszym razie tylko zwlekając sprawę miał pewnych jedenaście tysięcy, a przecież hrabinie nie dał zapewnienia, że w ciągu dwóch lat wszystko ukończy.

Po wyjściu mecenasa, Olpiński mruknął: canaille! — przytoczył sobie jakiś cytat z Monteskjusza i poszedł do siostrzenicy.

Hermina po rozmowie z adwokatem była jakby przerażona. Już w ciągu samej konferencji, patrzący na nią gdzieś z za portjery mógłby być zauważać, że sprawa, o której rychło ukończenie

tak się dopominała, nie sprawiała jej przyjemności. Wprawdzie z gorączkowym pospiechem wyjmowała papiery, lecz przerzucała je prawie z przykrością. Gdy wyjęła plik listów, czarną wstążeczką związanych, oparła się jedną ręką o biurko, w którym papiery były zamknięte, drugą zaś z listami przycisnęła do piersi, jakby jej oddechu brakło. Chwilę stała bez ruchu, a w tym czasie mecenas udawał jakby nie dostrzegł jej wahania. Potem westchnęła, energiczne spojrzenie rzuciła na listy i drobnymi paluszkami rozerwała wstążeczkę. Gdy usiadła przy swoim doradcy, sposób wyrażania się, nawet głosu intonacja zdradzały walkę wewnętrzną. Twarz jej była bledszą, oczy ponure, usta blade. Temu też nastrojowi należy przypisać pospiech, z jakim zgodziła się na wysokie honorarium, za podróż do Wiednia i Rzymu, którego żądał adwokat. Hermina mówiła, naradzała się, ale dusza była gdzieś indziej.

Po odejściu adwokata, jakby od ciężkich więzów uwolniona westchnęła głęboko, z kieszeni wyjęła chustkę batystową i przycisnąwszy ją do oczu, oparła głowę o poręcz fotelu. Czy płakała? Łkania nikt nie słyszał, łez nikt nie widział. Nawet panna Marjanna, która przypadkiem znalazła się znowu pode drzwiami, i mimowoli oko do

dziurki od klucza przyłożyła, nie mogłaby tego zaręczyć. Jej się tylko zdawało...

Zanim hrabia otworzył drzwi od buduaru, zaczął głośno kaszlać, chociaż nie miał ani suchot ani kataru, i nogą zawadził tak nieszczęśliwie o taboret stojący pod ścianą, że ten z łoskotem upadł na posadzkę; dopiero gdy go podniósł i postawił na dawnym miejscu, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Hermina biegła już naprzeciw z uśmiechem na ustach i radością w oku. Uśmiech jednak był wymuszony, radość żalosna, jak przez łzy.

— Nie dobry wujaszku — rzekła biorąc go za rękę — tak mnie dziś przywitałeś, żem się gniewać powinna.

— Tak ci się zdawało, Hermińciu, tak ci się zdawało — odrzekł hrabia w czoło ją całując. — Chociaż masz rację... dziś miałem tyle interesów, tyle nieprzyjemności.

— Może co ważnego? — zapytała niespokojnie młoda kobieta.

— Nie... nie... zwyczajne kłopoty z ludźmi... ciebie to nie obchodzi. Ale dobrze żeś przyjechała Hermińciu, bo byłbym jutro sam po ciebie pojechał. Obecność twoja jest teraz niezbędną. Czytaj, czytaj Z temi słowy wręczył jej dwa listy.

— Od Toni i majora? To mnie intryguje.

Rozerwawszy kopertę szybko oba przebiegła, poczem wyrwał się jej z piersi okrzyk prawdziwego zadowolenia:

— Jak to pięknie! Oddawna tego pragnęłam, chociaż po ostatniej mojej bytności we Wolicy nie wiele już miałam nadziei.

— Dlaczego? dlaczego? — podchwyci! hrabia.

— Bo zdawało mi się że Edmund nie był wcale Tonia zajęty. Widocznie jednak panicz się maskował, aby całej okolicy zrobić niespodziankę.

— E, wy kobiety zawsze posądzacie mężczyzn o udawanie i maskowanie się — przerwał hrabia niecierpliwie — jak gdybyśmy byli stworzeni na podobieństwo wasze... Edmund nie potrzebował udawać, bo major będąc u mnie przedwczoraj otwarcie mi wyznał, że on sam to małżeństwo kojarzy, więc gdzież tu udawanie — he?

— Jakto? łączy ich nie zapytawszy czy Edmund się zgadza, bo że Tonia pragnęła tego, o tem wiem oddawna.

— Pewnie że się zgadza kiedy się żeni, jednak mojej pierwszej mu tę myśl podsunął.

— I ty wuju uważasz to za dobre ?

— Moja Hermińciu, Montescjuieu powiedział w księdze XVIII rozdział VII że w warunkach zwyczajnych ojcowie powinni łączyć swoje dzieci.

— Ale to mój wuju są warunki nadzwyczajne, bo kiedy Edmund nie czuł sam potrzeby...
— Za pozwoleniem, Hermińciu, za pozwoleniem — przerwał hrabia; — Montesquieu powiedział także, że wszędzie gdzie się znajdzie miejsce na dwie osoby, powinno utworzyć się małżeństwo.
— Cha! cha! cha! Ślicznie! Ciekawam w którym to miejscu popisał się takim frazesem ten wielki Montesquieu.
— Co, nie wierzysz? W księdze XXVIII rozdział XIII, jak chcesz zaraz ci tu całe dzieło przyniosę. To nie frazes Hermińciu, nie, to filozofja!
Oryginał mówił szybciej jak zwykle i jeszcze dobitniej, a przy słowie ostatnim głowę i palec podniósł do góry.
— Wierzę, wierzę wujaszku i nie sprzeczam się dłużej, chcę nawet wierzyć że to filozofja. Wszelako pozwolisz mi wujaszku mieć w tej sprawie także własne zdanie. Otoż mnie się zdaje, że pan major postąpił sobie nadto dorywczo, może nawet po wojskowemu, łącząc młodych ludzi jak niegdyś za błogosławionych czasów patryarchalnych. My niestety żyjemy w warunkach odmiennych... Nie zawsze to, co się rodzicom podoba, jest dziś dobrem dla dzieci.

— A czy zawsze to dobre, co się dzieciom podoba, he?
— Czasem i one się zawodzą przez brak doświadczenia—odpowiedziała Hermina w dół oczy spuszczać — ale w takim razie przynajmniej na nikogo nie mogą narzekać... Wracając do Edmunda muszę teraz wujowi powiedzieć, co mnie u niego najbardziej niepokoi. Oto na swój wiek jest on nadto — nie powiem poważnym, bo chłopiec to dosyć wesół, nawet trzpiot czasem, — lecz jest nadto porządnym człowiekiem.
— Doprawdy Hermińciu— przerwał pan Olpiński — zarzut szczególny, jedyny w swoim rodzaju.
— Który jednak ma bardzo realną podstawę, przysłowie mówi, że młode piwo musi wyszumieć, a Edmund dotąd nie szumiał. Może wuj powie, że nie ma reguły bez wyjątków, lecz ja odeprę, że wyjątek stanowią tylko natury spokojne, nie tak gorące jak Edmund. Tacy młodzi ludzie muszą choć raz szaleć.
— A któż ci powiedział Hermińciu, że on już nie szalał, he?
— Nie wygląda na to...
— To może będzie kochał żonę do szaleństwa.
— Wątpię... Tonia jest osobą dobrą, kto

wie jednak czy nie nadto dobrą. Taka dobroć gotowa go zniecierpliwic..

— Ej! ej! ej! — zawołał hrabia — ty moje dziecko w śmiałych swoich wnioskach za daleko zachodzisz. Zona dobra i uległa zawsze lepsza jak zbyt energiczna. Przecie wiesz sama... Tył hrabia urwał, bo Hermina z oznakami niecierpliwości głowę odwróciła. — No, no — dodał — nie robię żadnej wymówki, chciałem tylko powiedzieć, że słodyczą można ugłaskać nawet dzikie zwierzę, a cóż dopiero człowieka! Zresztą Edmund nie jest niczem nadzwyczajnym, żadnym tworem, do którego by aż innych praw potrzeba. Będzie siał, orał i zostanie porządnym szlachcicem.

— Być może...

— Ale ja ci ręczę, że Iak będzie. Major mówił że pojutrze odbędą się zaręczyny we Wolicy. Pojedziemy.

— Przecie to nie ulega wątpliwości mój wujaszku.

x.

Pierwsze zakłopotanie szczęśliwie minęło i Edmund z Tonią byli jak dawniej na stopie poufałej. Wprawdzie rzadziej teraz żartowali, o psotach mowy więcej nie było, za to między narzeczonymi zapanowała owa słodka poufałość, która dla dwojga młodych ludzi niezłączonych jeszcze pierścieniem małżeństwa jest skarbem największym, roskoszą prawdziwą. Chwile spędzone wśród takiej poufałości wystarczają na długi bieg życia, nawet w latach późnych są jeszcze najmilszym wspomnieniem.

Edmund z dniem każdym przywiązywał się bardziej do Toni, i szczerze robił sobie wymówki, że sam nie prosił o jej rękę i jakiś czas niepokoił się przyszłością. Każdego dnia, niemal każdej godziny odkrywał w niej nowe zalety, których dawniej nie dostrzegł, a im sumiennie zastanawiał się nad sobą, tem silniej utwierdzał się w prze

konaniu, że sam będzie szczęśliwym i ją uszczęśliwi.

Tonią nie pragnęła więcej — ona już teraz i była najszczęśliwszą. Dla niej wystarczyło widzieć i Edmunda, rozmawiać z nim, i wspólnie plany układać, które miały się urzeczywistnić w przyszłości tak niedalekiej. A plany to nie były zuchwałe, bynajmniej! Oto major postanowił, że Edmund z żoną zamieszkają w Romanówce, gdzie na ich przyjęcie urządzono dom, opuszczony od lat kilkunastu. Tam Tonią obiecywała sobie mieć piękny ogród kwiatowy, drugi warzywny, ładne bydelko, i altankę nad małą rzeczulką, która nieopodal domu przepływała, tam miała żyć z Edmudem i tam być szczęśliwą według swego wyobrażenia, szczęśliwą spokojnie, jak kobieta na wsi żyjąca, która po za domowym ogniskiem nic nie widzi, bo w czterech ścianach zamknięte wszystkie jej pragnienie i marzenia.

— A i to mnie cieszy — mawiała do Edmunda — że z Romanówki będziemy mieli do Warnowiec jeszcze bliżej jak ztąd. Ile razy znudzę cię moją miłością, pozwolę ci pojechać do pana Olpińskiego aby swoją nauką jeszcze bardziej cię wynudził.

— O ty luba figlarko! — odpowiadał Edmund, całując jej paluszki różowe.

Jaka szkoda, że na tem pogodnem niebie była chmurka, która od czasu do czasu niepokoiła naszych przyjaciół. Tą chmurką była matka Toni.

Podrażniona w swojej miłości własnej, usiłowała z początku wpłynąć na córkę, by ona sama jeżeli już nie zerwała, to przynajmniej zwlekła projektowane małżeństwo. Zjawisko atoli godne zastanowienia, że Tonią, która od dziecka była słodką, zawsze uległą, nigdy upartą, tym razem nie usłuchała woli matki. Gdy pani Katarzyna przemawiała do uczucia, córka siedząc z głową zwieszoną, cicho płakała, a gdy nie mogąc powstrzymać dłużej irytacji, wylewała potoki oskarżeń, nazywając ją dzieckiem wyrodnem, — Tonią ze zdziwieniem podnosiła na matkę oczy spokojnie, a w ich lazurze można było wyczytać zapytanie: czy dla tego że kocham, jestem córką wyrodną? Każda taka rozmowa kończyła się ucałowaniem ręki matki i słowami:

— Przepraszam cię mateczko, ja wszystko uczynię by cię przebłagać.

Daleką jednak była od uczynienia tego, co pani majorowa uważałaby za jedyne przebłaganie swego gniewu. Nie tylko bowiem nie unikała Edmunda, lecz po każdej rozmowie z matką natychmiast szukała bądź jego, bądź ojca, by przy nich nabrać nowych sił i otuchy. Skarżyć, nie

skarżyła się przed nimi, nawet nigdy słowem nie wspomniała jakie sceny przechodzi z własną matką. Edmund jednak bez trudności domyślał się wszystkiego, a chcąc wedle siły przyczynić się do stworzenia innych stosunków, był dla przybranej matki jeszcze grzeczniejszym jak dawniej i gdyby mógł, byłby dla niej nawet czułym. Do udawania jednak nie mógł się nagiąć, co widząc pani majorowa często powtarzała przed ukochaną Pędracką.

— Jak się przymila ta gadzina, ale zawsze chytra i zimna jak wąż. już on mię nie oszuka!

Mając takie przekonanie o usposobieniu Edmunda, była dlań zawsze zimną i o ile to było w jej mocy, usiłowała okazać mu swoją wyższość i lekceważenie. Edmund połykał gorzkie pigułki, lecz także ani się skarżył, ani nawet o nich wspominał.

Major wiedział co się do koła niego działo.

Przez kilka wieczorów z rzędu, pani Katarzyna konferowała z Pędracką i nareszcie musiały ułożyć jakiś plan bardzo ważny, bo pewnego ranka klucznicą wybrała się przed wschodem słońca do swego brata, który jak wiemy, był nauczycielem ludowym, wioząc mu różne wiktuały; wró

ciła zaś tajemniczo dopiero późnym wieczorem. Pani majorowa była tego dnia niespokojną i roztargnioną. W kilka dni przyszedł do majora list ze stolicy. P. Zawilski siedział właśnie na terasie sam jeden i palił fajkę czytając gazetę z dnia poprzedniego. Otworzywszy list spojrzął jak według zwyczaju na podpis. Kilka minut przypatrywał mu się uważnie, obracając papier z różnych stron do światła, lecz nie mógł nic odczytać. Był to bowiem nie podpis, ale jakiś hieroglif, podobny chyba do podpisu sultana na monetach tureckich. Dając za wygrane, rzucił okiem na pierwszą stronicę i zaczął czytać, ale już z pewnym niedowierzaniem.

I cóż znalazł w tym liście, którego autor otaczał się taką tajemniczością? Oto jakiś nieproszony przyjaciel uwiadamił majora, że pan Edmund Krzemieński, narobiwszy we Wiedniu długów bez miary i uwiódłszy pewną dziewczynę, nagle ztamtąd wyjechał i ukrył się we Wolicy, gdzie zapewne tak prędko oświadczył się o rękę panny Zawilskiej, że jej posagiem chce swoje długi popłacić. Piszący ostrzegał majora, któremu dobrze życzy, by nie wydawał jedynaczki za takiego lekkomyślnika, a jeżeli nie wierzy tym słowom, by wpięty starał się przekonać o prawdziwości zarzutów.

w miarę jak pan Zawilski czytał, twarz jego stawała się coraz czerwienią, żyły mu nabrzmiały na skroniach, i fajka z ręki wypadła. Gdy skończył, zmiął list i z pospiechem gorączkowym udał się do pokoju żony, którą samą zastał. — Moja pani! — zawołał głosem drżącym od gniewu i list jej pokazując — moja pani, tego już za wiele! Maltretujesz córkę, ja milczę, maltretujesz Edmunda, ja milczę, ale gdy się rzucasz na taką drogę, przestaję milczeć! Czy mnie pani rozumiesz? Takie postępowanie nie jest godne mojej żony! Zanadto głupio zrobiłaś wadpani, bym się dał złapać! Edmund ma długi... Edmund uwiódł biedną dziewczynę! Trzeba by chyba takiego rozumu jak twój aby w to uwierzyć! Edmund oświadczył się o Tonie, aby swoje długi popłacić!... Oszalała kobieta! Jeszcze raz ci powtarzam, moja pani, że tego za wiele! Edmundowi daję Tonie, słowa mego nie cofnę, a jeżeli ty nie zmienisz swego postępowania, jeżeli dalej będziesz intrygowała ze swoją kochaną Pędracką, jak mię tu widzisz, wyprowadzę się z dziećmi do Romanówki, a ciebie tu zostawię! Jeżeli chcesz skandalu, będziesz go miała!

Major mówił tak dobitnie, że pani Katarzyna nie miała odwagi przerwać; całej reprimendy wy

słuchała z niepokojem w oczach, a bledością na rumianych zwykle policzkach. Widząc się odkrytą, bała się usprawiedliwiać, a znając swego męża, wiedziała, że dotrzyma groźby; milczenie było zatem najlepszą polityką. Widząc zerwane za sobą wszystkie mosty, zmieniła się od tego dnia przynajmniej o tyle, że od córki już nie żądała rzeczy przechodzącej jej siły, dla Edmunda była tylko obojętną, mężowi okazywała dawną tkliwość, a co najważniejsze, brała nawet udział w naradach rodzinnych nad przyszłością młodych ludzi. Między nią a resztą mieszkańców dworu we Wolicy, przyszło zatem do zawieszania broni, po którym miał nastąpić bądź pokój trwały, bądź nowa wojna.

Co się działo z hrabią Dziuniem? Ten bardzo rychło dowiedziawszy się o wszystkim, wyjechał na jesienne wyścigi do stolicy, gdzie spodziewał się znaleźć jeszcze piękniejszą, młodszą i posażniejszą jedynaczkę niż Tonię.

Nadszedł dzień w którym miał nastąpić uroczysty obrzęd zaręczyn.

Sąsiędztwo zjechało się całe, stary dwór, chociaż obszerny, ledwie pomieścił tyle gości. Sama ceremonia zamiany pierścionków, poświęconych przez proboszcza z Romanówki, nie zajęła wiele czasu; zato długo trwały życzenia skła

dane narzeczonym i błogosławieństwa rodziców. Major spłakał się jak dziecko, — pani Katarzyna miała także łzy w oczach... nareszcie matka i w niej zwyciężyła.

— Panno Antonino, — zawołał pan Krzysztof rozpoczynając swoje gratulacje. — Słowo honoru, niktby nie uwierzył jak mnie to cieszy, że pani tak prędko za mąż wychodzi. Jeszcze ten nie pożałował kto się wcześniej ożenił, słowo honoru panno Antonino! Moja Kostusia nie wielka, ma dopiero dziesięć lat, ale słowo honoru dałbym pięć... nie, dałbym pięćdziesiąt, sto reńskich, Żeby się jak najprędzej wydała. Bo to widzi panna Antonina, jak córka za mąż wyjdzie, rodzice mają zaraz głowę wolniejszą, a jej także lepiej, słowo honoru lepiej, bo ma już swojego męża. O panno Antonino! ja już nie od dziś wiedział, że to się tak skończy! Nie raz mówiłem do mojej starej: Zobaczysz że oni się pobiorą, słowo honoru, mówiłem. Ej toż to pohulamy na weselu!

Pan Krzysztof nie mógł wynurzyć wszystkich swoich życzeń, bo do Toni zbliżyło się kilka innych osób, między niemi dwie damy, którym szanowny właściciel Dąbrówki z przyległościami, musiał przez grzeczność miejsca ustąpić. Po herbacie znalazła się gdzieś muzyka, i w salonie ozwały się tony poważnego poloneza.

Ruszyli starzy, ruszyła młodzież, wszyscy złączyli się w jeden wieniec żywy. Potem zagrzmiął mazur ochoczy, a tak był ochoczy, że aż stare ściany drżały z radości.

W jednym z dalszych pokojów gospodarz siedział z hrabią Olpińskim.

— Jakże kochany Kazimierzu zarządzasz?— zapytał hrabia, — Młodzi zapewne tu zostaną?

— Oddaję im Romanówkę — odpowiedział major; — majątek Edmunda nie wielki, przytem piaszczysty, chłopiec miałby z nim dużo kłopotów zwłaszcza w początkach; a tu zasianie ziemię dobrą i gospodarstwo urządzone. Zresztą jabym bez nich żyd nie umiał, a mam ja się przenieść na Mazury, to przecie lepiej aby oni tu zostali.

— Masz rację kochany sąsiędzie, masz rację, nie zaszkodzi także, że chłopca będziesz miał pod okiem. To jeszcze młode, niedoświadczone, a młode piwo, jak powiada Hermina, lubi czasem szumieć.

— Więc zamiast Monteskjusza cytujesz teraz panią Herminę? — podchwycił major wesoło.

— E! Montesquieu swoją drogą, a Hermina swoją... Bo to widzisz mój Kazimierzu, kilka dni temu rozmawiając z Hermina, przekonałem się, że i kobiety miewają czasem rozum.

— Ja o tem nigdy nie wątpiłem.

— A ja wątpiłem, bo tylko historia i filo

zofja uczą rozumu, kobiety zaś uciekają od historii a jeszcze bardziej od fdozolji, jak czart od wody święconej. Hermina jednak powiedziała mi coś takiego, nad czym już trzeci dzień myślę, nawet zaczynam się niepokoić...

— Cóż to być może?

— Oto zrobiła uwagę, że Edmund jeszcze nie wyszumiał.

— Więc?

— Więc broń Hoże gotów później szumie...

— Mój kochany Eustachy — odrzekł major poważnie — na to chyba nie ma rady. Kto przewidzi co będzie!? O ile mnie się zdaje, Edmund nie ma złych skłonności, przynajmniej dotąd żadnej w nim nie odkryłem, a gdyby z czasem strzeliło mu co do głowy, nie zostanie w niej długo, bo chłopiec ma dobre zasady. Zresztą muszę ci i to powiedzieć, że Tonia nie jest tak potulną, jak na oko wygląda. Widziałem ją teraz w cichej walce z matką i dalipan poznaję w niej moją krew! Już ona da sobie radę z mężem, choćby się znarowił kiedy.

— Cieszy mię twoja ufność Kazimierzu bardzo mię cieszy, i szczerze ci winszuję — odpowiedział hrabia ściskając rękę przyjaciela.

— Lecz czy dałbyś wiarę Eustachy, że po

ostatniem widzeniu się naszym otrzymałem list bezimienny ostrzegający mię przed Edmundem.

— List bezimienny? — powtórzył hrabia i ręką machnął wzgardliwie. — Montesquieu powiedział... gdzie to on powiedział?... Aha! w księdze XII rozdział XXw, że dla anonima najmniejszą jest karą gdy mu się nie wierzy.

W saloniku, przez którego drzwi otwarte widać było liczne pary tańczące, stała Tonia z Herminą. Pierwsza była rozpromieniona, — druga poważna.

— Wierz mi Tonia — mówiła hrabina — według mego przekonania nie mogłaś zrobić lepszego wyboru.

— Dziękuję ci moja droga! — odpowiedziała Tonia całując ją z uniesieniem.

— Z tem wszystkim muszę ci dać ważną przestrożę...

— Jaka?

— Nie bądź zbyt dobrą dla męża.

— Chyba żartujesz Hermino! Alboż można być nadto dobrą?

— O można, moje dziecko, a właśnie ty należysz do istot, które dobrocią mogą nawet zgrzeszyć.

— Doprawdy? Ja cię nie rozumiem.

— Pozwól, a zaraz się wytłumaczę. Ogólnie

utrzymują, że my, kobiety, jesteśmy wrażliwe, zmienne, płochy i Bóg wie jakie... Ja jednak miałam czas przekonać się, że mężczyźni są stokroć wrażliwsi, ale że oni piszą dzieła i wyrokują więc ich sąd o nas utrzymał się bez trudności, nam zaś pozostało tylko życie z jego doświadczeniami. Otoż sądząc z tego życia, muszę wyznać, że mężczyźni broją nie raz bez miary...

— Ty mnie przestraszasz Hermino!

— Nie lękaj się Toniu, moje przypuszczenie nie jest jeszcze wyrocznią. Wcale nie myślałam powiedzieć, by Edmund, którego poznałam z najlepszej strony, miał kiedyś broić... bynajmniej! Chciałam cię tylko ostzedz, byś panicza krótko trzymała, a zobaczywszy cokolwiek natychmiast wypowiedziała swoje „nie pozwalałam!” Energją w kobiecie mężczyznom imponuje, a chociaż z początku zzymają się, w końcu stają się potulnymi jak baranki.

— Mnie się natomiast zdaje — przerwała Tonia — że to raczej my powinneśmy być potulnymi... Na wiosnę tego roku, na tydzień przed powrotem do domu poszłam na odczyt, na którym była mowa o obowiązkach kobiety. Prelegentka bardzo pięknie rozwijała swój lemat, a zakończyła uwagę, że Zona powinna zawsze słodczą zwycięzać.

— Ależ lo teorja Toniu! Odczyt i książka to jedno, a życie to nie książka... ono z teorją książkową kłóci się na każdym kroku... Powinnaś także wiedzieć moja Toniu droga, że każdy mężczyzna jest jak dziecko... Nie zbroidy go pilnują, ale gdy oczy przymkną i sposobność się nadarzy, szal bierze nad nim przewagę. Zły broi dobrowolnie, dobry bo się nie może oprzeć pokusie. — Mówiąca przerwała, bo do saloniku wbiegł Edmund z panem Damazym.

— Toniu! — zawołał — pan Damazy szuka cię, a znaleźć nie może. Przecie mu przyrzekłaś najbliższego kadryła.

Tonia podała rękę panu Damazemu, i odeszła z czołem zamyślonem. Słowa Herminy padły u dna jej duszy.

— A pani, — dodał Edmund obracając się do Herminy — zapewne sobie nie przypominasz, że w tym kadrylu ja jestem jej danserem?

— Prawda, żem panu przyrzekła, chociaż żałuję...

— Wolno wiedzieć dlaczego?

— Bo zdaniem mojem powinnieś pan tańczyć tylko z narzeczoną...

— Ależ toby Tonie zdudzić mogło.

— Czy i pana?

Edmund spojrział bystro na Herminę.

— Do tej chwili nie wiedziałem — rzekł Z odzieniem ironji — że pani hrabina umie ranić.

— Ale że umiem także leczyć, więc powiem, że Tonia kocha pana więcej niżli na to zasługujesz.

— Nowa strzała!

— Panie Edmundzie, nie wiedziałam, żeś Iak zarozumiał! Więc we własnem przekonaniu na miłość tak zasługujesz, że za wiele nie możesz być kochanym? A mnie się zdaje przeciwnie...

— Dołożę starań pani hrabino, by cię z błędu wyprowadzić.

— Zrób to panie Edmundzie a sprawisz mi prawdziwą przyjemność. Tonia jest aniołem, któremu nie wolno najmniejszej zrobić przykrości, każda jej łza... Ale dosyć tego... My tu rozmawiamy, a tam czekają.

— Służę pani.

I weszli do salonu; hrabina z uśmiechem— Edmund w poważnym nastroju.

Koniec części pierwszej.

Część druga.

I.

Już dwa lata upłynęły od ślubu Toni z Edmundem.

Pięknie było w Romanówce! Tonią miała wszystko: drób i śliczne bydelko, ogród i kwiaty, altanę i Edmunda, a co najważniejsze... dziecko, które tak kochała! chłopczyk właśnie rok skończył, a nazywał się EdmundKazimierz, po ojcu i dziadku. Matka nazywała go najchętniej Mundziem, ojciec z początku Kaziem, lecz że dzieciak gdy go po imieniu wołano, wystrzeszczał duże niebieskie oczy, które po matce odziedziczył, bo zresztą jak jedna kropla wody do drugiej, do ojca był podobnym, i widocznie myślał jak się właściwie nazywa, więc matka z obawy, by to głębokie myślenie nie zaszkodziło dziecku, wymogła na mężu, że jedynek został tylko Mundziem.

Życie naszych przyjaciół biegło spokojnie, powiedzielibyśmy nawet jednostajnie, jak woda

w poważnym strumieniu, który na wiosnę nie wylewa, a w lecie nie wysycha — i było jasne jak jego powierzchnia. Tonią zajmowała się domem, najwięcej dzieckiem, Edmund zaś doglądał gospodarstwa, a wieczorami bądź słuchał gdy żona grała, bądź jej czytał jaką książkę zajmującą. W pierwszym roku, ilekroć czas pozwolił, odwiedzali rodziców, lub kogoś w sąsiedztwie, najczęściej mieszkańców Warnowiec — lecz odkąd Tonią matką została, nie chcąc ani na chwilę dziecka opuścić, zostawała zawsze w domu, a wysyłała samego Edmunda, by nie zerwać stosunków sąsiedzkich. Z początku Edmund nie chciał wyjeżdżać bez żony — potem uległ jej namowom.

— Jedź, jedź Mundziu, rozerwij się trochę tylko nie baw się długo, bo będę niespokojną.

Temi słowy zawsze go z domu wyprawiała. Edmund wyjeżdżał i wracał zaraz po słońca zachodzie. Kilka jednak razy zdarzyło się, że zabawiwszy się w Warnowcach, przyjechał o godzinie dość późnionej. W takich wypadkach Tonia zawsze czekała, choćby do północy i później, często wyglądając przez okno i wysyłając dworskich na zwiady, czy pan nie jedzie. Z każdą upływającą minutą zwiększał się jej niepokój, gdyż jadąc do Warnowiec trzeba się było przeprawiać_

przez rzekę, na której sąsiad, p. Krzysztof, nigdy dobrego promu nie utrzymywał. Niepokój jednak przemieniał się w radość najwyższą, gdy w bramie usłyszała rzenie koni, którym towarzysze w stajni zaraz odpowiadały. Wtedy z otwartymi ramionami biegła na spotkanie męża, a gdy ten całował ją w czoło, tuliła się do jego piersi mówiąc .

— Zabawiłeś się Mundziu, a mnie tak tu było smutno! Bałam się czy nie miałeś jakiego wypadku.

— Dziecko z ciebie — odpowiadał mąż — przecie jestem mężczyzną! Hrabia nie chciał mnie puścić i zatrzymał na herbatę — trudno było odmówić, a z powrotem nie mogłem dowołać się przewoźników, tak wszyscy byli pijani. Jużto nasz kochany pan Krzysztof znakomity ma u siebie porządek.

— Dlatego też jabym była zdania, żebyś ile możliwości starał się wcześniej wyjeżdżać, bo na wodzie doprawdy nie trudno o jaki wypadek... konie masz teraz niespokojne.

— Dobrze moje dziecię, dobrze, na drugi raz wrócę za dnia.

Tonia uspokojona przyrzeczeniem, prowadziła Edmunda do dziecka, aby jeszcze chwilę nacieszyć się widokiem śpiącego anioła.

Tonia w tych dwóch latach prawie nic się nie zmieniła; nawet na jej twarzy został jeszcze ten delikatny puszek brzoskwiniowy, który jest najpiękniejszą ozdobą dziewczyc; rysy tylko były teraz ostrzejsze, spojrzenie pewniejsze, a wszystkie kształty pełniejsze. Nie był to już pączek róży zaledwie pękający — była to róża w pierwszym swoim rozkwicie. Młodzi ludzie z sąsiedztwa podziwiali w niej tę zmianę, a hrabia Dziunio często powtarzał:

— Jak mamę kocham, ani bym był przypuścił żeby ta blondyneczka miała taką rasę! Szkoda tylko, że brak jej temperamentu. Edmund był skończonym mężczyzną. Major nierównie więcej czasu spędzał u dzieci w Romanówce, niż u siebie we Wolicy. Przyjechawszy, bawił nieraz kilka tygodni, a zagniony sprawami gospodarskimi, wyjeżdżał, by za dzień lub dwa znowu powrócić. Jeżeli w życiu był kiedy szczęśliwym, to teraz najwięcej, bo odtąd żył już nie dla jednej tylko córki, lecz dla całego pokolenia.

W lecie major wyjeżdżał do wód zagranicznych, których domagało się jego zdrowie skołatane; wtedy w Romanówce było mniej ludno Pani Katarzyna rzadko do dzieci zaglądała, a Jeśli kiedy zdecydowała się na tę podróż trwającą

zaledwie godzinę, najchętniej wybierała takie dni, w których Edmunda w domu nie było, a wiedziała zawsze kiedy zięć wyjeżdżał do miasta w sprawach własnych lub powiatu. W domu swoim przyjmowała zięcia bardzo zimno, a że sama nigdy go nie zapraszała, więc Edmund nie spieszył się do świekry. Tonia chciała naprawić stosunki, których naprężenie zbyt już długo trwało, lecz najusilniejsze próby i perswazje rozbiły się

o opór pani Katarzyny, która córce zawsze powtarzała; „ja twego męża bardzo cenie,” — a przed panią Pędracką zwierzała się sekretnie: „Ja się nie mogę przekonać do tej gadziny.” Lecz nie bierzmy za złe pani majorowej. Wszak od wyjścia za mąż Toni, hrabia Dziunio zjawiał się we Wolicy zaledwie raz do roku, a chociaż przyjeżdżał w południe, nie zostawał na objedzie,

nie całował jej pulchnych rączek. Dawniej całował obie, teraz ani jednej! Czyż pani Zawilska nie mogła mieć za to słusznej urazy do Edmunda?

Był lipiec z całym swoim ciepłem — światłem i wonią.

Przed gankiem obok gazonu siedziała na murawie Tonia, a tuż przy niej niańka z dzieckiem. Tonia bawiła się małymi kaczetami, które puszczała na wodę znajdującą się w płytkim naczyniu; dziecko przypatrywało się ciekawie

gałązce, którą niańka odpędzała od jego twarzyczki muchy natrętne. Wkrótce dziecko znudzone monotonnością poruszeń, usnęło na ramieniu niańki, co widząc matka, kazała dziewczynie odejść do pokoju i złożyć Mundzia do kolebki. Sama została, patrząc dalej z upodobaniem na małe ptaszęta, jak przez nikogo nieuczzone, swobodnie pływały po wodzie, od czasu do czasu zanurzając w niej swoje szerokie i żółte dzióbki. Od pola nadjechał Edmund na koniu; wracał z codziennej objazdżki. Obok biegły dwa śliczne charty: Panicz i Lotka

— Mundziu! Mundziu! — zawołała Tonia, — popatrz na te lube stworzeńka. Dopiero wczoraj się wykłuty, a już tak ślicznie pływają.

— Piękne — rzekł Edmund obojętnie zsiadłszy z konia, którego chłopak odprowadził.

— Weź tylko jedno do ręki, jakie to delikatne! Puszek jak pela!

— Zwyczajnie jak u małych kacząt.

— Ale weź Mundziu, weź! — napierała Tonia.

— Wezmę, wezmę, jeśli ci to sprawi przyjemność — odpowiedział biorąc jedno do ręki, — chociaż szczerze ci wyznam, że na takiej sielance nic się nie rozumiem.

— A mnie to tak bawi!

— Szczęśliwaś, Toniu.

— A ty?

— Ja?... No jam także szczęśliwy,.. Przecie nigdy nie słyszałaś bym się uskarżał.

— Toby już smutno było, Mundziu, gdybyś się uskarżad potrzebował — odpowiedziała Tonią jakby bezmyślnie, bawiąc się ciągle ptaszętami.— Precz! pójdziesz! — zawołała nagle na charty, które zbliżyły się do naczynia, pożądliwie ku kaczkom nosy wyciągając. Edmund krzyknął energiczniej i oba psy cofnęły się natychmiast, zatrzymując się w przyzwoitem oddaleniu.

W tej samej chwili przez drzwi otwarte na ganek, dał się słyszeć głośny krzyk dziecka. Tonią puściła ostatnie kaczę na wodę i w mgnieniu oka znalazła się obok kolebki; Edmund pospieszył za żoną. Przestрах rodziców był zbyt czyny, albowiem malec tylko dlatego zapłakał, że zbudziwszy się nie zobaczył przy sobie niańki ukochanej, która korzystając ze snu dziecka, wybiegła do kredensu na gawędkę. Matka ukoivszy płacz jedynaka, dała go ojcu; ten usiadł i jak według zwyczaju, bawił się z nim, pozwalając się szarpać za włosy i wąsy, które mówiąc między nami wcale jeszcze nie byty długie. Tonią wróciła na ganek, ale zaledwie rzuciła okiem na

naczynie z wodą, okrzyk nie trwogi, lecz prawdziwej rozpacz y wyrwał się jej z piersi.

— Boże! Mundziu!

— Co ci jest Toniu? — zawołał mąż z dzieckiem nadbiegając.

— Moje kaczęta Mundziu, moje kaczęta! Charty zjadły kaczęta!

I łzy puściły się jej z oczu.

W istocie Panicz i Lotka korzystając z nieobecności swoich panów, spożyły na śniadanie ośmioro kacząt, i właśnie gdy Tonią pojawiła się na ganku, ostatnie wpadło jak w otchłań w szeroką paszczę :otki.

— Przykry wypadek — perswadował Edmund — ale nie płacz Toniu, szkoda twoich oczu. Już tego nikt nie naprawi.

— Nie płacz... szkoda oczu... dobrze ci mówie Mundziu, ale moje biedne kaczęta... Widziałam jeszcze jedne łapkę...

Moje biedne kaczęta, co one im zawiniły!

— Prawda że im nie zawiniły, lecz od zwierzęcia trudno żądać rozumu.

— Już nie raz prosiłam byś komu darował te charty... spodziewałam się nieszczęścia!

— Nieszczęścia, nieszczęścia! — powtórzył Edmund niecierpliwie oddając dziecko niańce, która, nadbiegła z kredensu. — Doprawdy moja Toniu

nie wiedziałem, że z ciebie takie dziecko. Rzecz, o której zaledwie mówie warto, porusza cię do głębi, mazgaisz się i płaczesz jak gdyby w rzeczy samej wydarzyło się jakie nieszczęście. Wierz mi Toniu, mnie lo już nudzi!

Zona podniosła na męża zwilżone spojrzenie. Nigdy nie przemawiał tak cierpko, z ust jego nie słyszała jeszcze aby go nudziła. Łzy szczer e, które biegły jej z oczu, zatrzymały się jak zaklęte, a usta wyszeptaly po chwili:

— Daruj mi Mundziu, nie wiedziałam, że ciebie to znudzi.

Mąż zaczął ją przeproszać za słowo, o którym twierdził, że wyrwało mu się wbrew woli, a chociaż Tonia przyjęła przeproszenie, tego dnia nie mogła już odzyskać naturalnej swobody.

Po południu przyjechała pani Hermina konno, w ślicznym stroju amazonki, a za nią groom z plikiem papierów, które miał w tece na piersiach. Piękna siostrzenica hrabiego przepadała za konną jazdą, to też bardzo często robiła takie wycieczki do Romanówki. Edmund był uszczęśliwiony, ale Tonia widocznie tak się zmartwiła wypadkiem porannym, że nawet obecność przyjaciółki nie mogła na jej twarzy wesolego wywołać uśmiechu.

Pani Hermina miała teraz lat dwadzieścia

cztery i była jeszcze piękniejszą niżeli przed dwoma laty, gdyśmy ją pierwszy raz poznali we Wolicy. Wprawdzie rys twarzy stał się ostrzejszym i cera bledszą, lecz za to spojrzenie nabrało lej sity pociągającej i odtrącającej zarazem, która demoniczny wpływ wywiera na całe otoczenie. Słabi lękają się takiego wzroku,— silniejsi chcieliby zbadali jego tajemniczość — silni wyzywają go do walki pragnąc pokonać...

— Droga Tonia, — przemówiła hrabina —. przywiozłam ci umyślnie te nuty, o których mówiłam ci przedwczoraj.

Spróbujemy zaraz na cztery ręce. Przekonasz się jakie piękne,

— Dziękuję ci Hermińciu, ale doprawdy nie wiem, czy będę mogła grać... coś mnie głowa boli.

— Cóż ci się stało moje dziecko? Czy tylko nie pan mąż!

Mówiąc to pogroziła Edmundowi paluszką wskazującą w jasnej rękawiczce jelonkowej.

— Jeżeli to on powodem — dodała z uśmiechem figlarnym patrząc na Edmunda — powiedz mi otwarcie, a sprzymierzę się z tobą i weźmiemy panicza na surową konfessatę.

— Jakkolwiek taka kara — wtrącił Edmund — mogłaby mi tylko przyjemność sprawić, mimo to muszę zaprotestować przeciw łaskawym_

pani zamiarom. Jeżeli Tonia smutna, doprawdy nie jam temu winien.

— A któż?

— Niech Tonia sama powie.

— No powiedz, Tonia, powiedz, bo doprawdy masz minę jak na pogrzebie.

Podczas gdy Hermina pytała, jasne spojrzenie Toni spoczywało na Edmundzie; a jakieś dziwne byc musiało, kiedy on aż wzrok odwrócił i prędko odrzekł hrabinie.

— Rzeczywiście, dziś mieliśmy tu pogrzeb ośmiu, czy nawet dziesięciu ofiar, które równocześnie wstąpiły do grobu.

— Co pan mówisz ?

Edmund szybko opowiedział wypadek.

— Nie prawdaż — dodał kończąc — że Tonia ma powód byc smutną.

Tonia spojrzała na męża jak dawniej, a on znowu wzrok odwrócił.

— Mój panie Edmundzie — przemówiła hrabina poważnie,—myślałam że pan jeden jesteś innym, a tymczasem widzę, żeś tylko mężczyzną Panowie nie rozumiejąc serca kobiety, nie wiecie, że najmniejsza na pozór drobnostka porusza je i rozstraja.

— Jeżeli tak, — odparł Edmund — to niechże to serce będzie przynajmniej konsekwentnem, ale

panie płaczecie, gdy chart lub jastrząb porwie kaczę albo kurczę, a z zimną krwią wydajecie rozkazy zabicia tyle a tyle drobiu na objad lub do herbaty.

— Ja jeszcze nie kazałam zabić ani jednego ptaszka! — zaprotestowała Tonią.

— I ja nie! — potwierdziła Hermina.

— Bo na szczęście obie panie macie klucznice, od których zawisł wyrok śmierci. Lecz to winy bynajmniej nie zmniejsza. Zresztą wspominał mi raz hrabia, że pani nawet lubisz polowanie z chartami, jak więc pogodzić jej protest z tem zamięłowaniem barbarzyńskiem ?

— Ja też nie bronię siebie, tylko Tonie, i to com mówiła o drobnostkach zajmujących kobietę, odnosiło się do niej wyłącznie. Co do mnie, nie jestem tak tkliwą, i rozumiem nawet owe kobiety rzymskie, które spokojnie przypatrywały się walce gladiatorów. Łowy z chartami w rzeczy samej lubię, a chociaż od trzech lat nie używałam' tej przyjemności, tej jesieni zaproszę się kiedyś do was na polowanie.

— Prawdziwą mi to sprawi przyjemność — odrzekł gospodarz.

— I tobie nie żal Hermino biednego zająca? — zapytała Tonią.

— W chwili gdy go psy dopadają, odwracam

oczy... za to z przyjemnością lubią patrzeć gdy biorą lisa, bo to drapieżnik, zdrajca! Ale czy dalibyście państwo wiarę, że przed pięciu laty, jeszcze za lat panieńskich, o mało życiem nie przepłaciłam mojej pasji.

— Cóż takiego? — zapytali małżonkowie równocześnie.

— Napadły mnie wilki.

— Wilki?

— Najprawdziwsze w świecie i sama jedna musiałam się bronić... Nieboszczyk mój ojciec był zapalonym myśliwym i bardzo często, gdym jeszcze była dzieckiem, brał mię z so ba na polowanie. Przyzwyczajenie tak głęboko we mnie się zakorzeniło, a emocja podczas polowania z chartami, taką stało się dla mnie potrzebą, że po jego śmierci towarzyszyłam zawsze braciom, ilekroć przyjechawszy do domu wybierali się na lisa. Pewnego razu w zimie zostawszy się sama, gdyż mama wyjechała w sąsiedztwo, a bracia byli w szkołach, i nudząc się niesłychanie po południu, kazałam zaprzędz do sanek, wzięłam sforę chartów, chłopca ze strzelbą i wyjechałam w pole pod las, który ciągnął się o dobrą milę od naszego dworu. W godzinę miałam dwa lisy, W chwili gdym kazała nawrócić, zerwał się wichur tak gwałtowny, że nie podobieństwem było

panie płaczecie, gdy chart lub jastrząb porwie kaczę albo kurczę, a z zimną krwią wydajecie rozkazy zabicia tyle a tyle drobiu na objad lub do herbaty.

— Ja jeszcze nie kazałam zabić ani jednego ptaszka! — zaprotestowała Tonia.

— I ja nie! — potwierdziła Hermina.

— Bo na szczęście obie panie macie klucznicę, od których zawiśł wyrok śmierci. Lecz to winy bynajmniej nie zmniejsza. Zresztą wspominał mi raz hrabia, że pani nawet lubisz polowanie z chartami, jak więc pogodzić jej protest z tem zamięłowaniem barbarzyńskim ?

— Ja też nie bronię siebie, tylko Tonie, i to com mówiła o drobnostkach zajmujących kobietę, odnosiło się do niej wyłącznie. Co do mnie, nie jestem tak tkliwą, i rozumiem nawet owe kobiety rzymskie, które spokojnie przypatrywały się walce gladiatorów. Łowy z chartami w rzeczy samej lubię, a chociaż od trzech lat nie używałam tej przyjemności, tej jesieni zaproszę się kiedyś do was na polowanie.

— Prawdziwą mi to sprawi przyjemność — odrzekł gospodarz.

— I tobie nie żal Hermino biednego zająca? — zapytała Tonia.

— W chwili gdy go psy dopadają, odwracam

oczy... za to z przyjemnością lubię patrzeć gdy biorą lisa, bo to drapieżnik, zdrajca! Ale czy dalibyście państwo wiarę, że przed pięciu laty, jeszcze za lat panieńskich, o matę życiem nie przepłaciłam mojej pasji.

— Cóż takiego? — zapytali małżonkowie równocześnie.

— Napadły mnie wilki.

— Wilki?

— Najprawdziwsze w świecie i sama jedna musiałam się bronić... Nieboszczyk mój ojciec był zapalonym myśliwym i bardzo często, gdym jeszcze była dzieckiem, brał mię z sobą na polowanie. Przyzwyczajenie tak głęboko we mnie się zakorzeniło, a emocja podczas polowania z chartami, taką stało się dla mnie potrzebą, że po jego śmierci towarzyszyłam zawsze braciom, ilekroć przyjechawszy do domu wybierali się na lisa. Pewnego razu w zimie zostawszy się sama, gdyż mama wyjechała w sąsiedztwo, a bracia byli w szkołach, i nudząc się niesłychanie po południu, kazałam zaprzędz do sanek, wzięłam sforę chartów, chłopca ze strzelbą i wyjechałam w pole pod las, który ciągnął się o dobrą milę od naszego dworu. W godzinę miałam dwa lisy, W chwili gdym kazała nawrócić, zerwał się wichur tak gwałtowny, że nie podobieństwem było

oczu otworzyć. Śnieg zmarznięty a jak pył drobny, porywany z otwartej przestrzeni, otaczał nas jak obłokiem. Znajdywaliśmy się pod lasem, na polu zasianem z rzadka drobnymi krzakami. Mój Maciej szukał drogi, lecz nie mógł znaleźć; tymczasem szybko się zciemniało. Widząc że źle, kazałam mu się trzymać prawej krawędzi lasu, aby bądź co bądź dostać się do szosy, która zaczynała się o dobre pół mili. Jużemy minęli znaczną część drogi, gdy nagle konie stają, zdradzając największy niepokój. Maciej zacina, konie skaczą w bok, i z całych sił pędzą na wskos do jakiejś wsi, widnej na prawo. Chłopiec, który w jednej ręce trzymał strzelbę, a psy w drugiej, zawołał z przestachem: — wilki! Maciej jego okrzyk zaraz potwierdził, wskazując batogiem kilka plam czarniejących na śniegu. W rzeczy samej cztery wilki pędziły z boku zabiegając nam drogę.

— Ach to okropne! — przerwała Tonia.

— Niemiłe spotkanie — potwierdził Edmund.

— W każdym jednak razie nie tak straszne, jak się dziś wydaje — ciągnęła piękna hrabina. — Już wtedy przekonałam się, że niebezpieczeństwo jest nierównie większem, gdy się go niewidzi, a tylko domyśla, lub przeczuwa; zmierzone na dwa

kroki, traci natychmiast na swych rozmiarach. Konie parskały i pędziły jak szalone, grożąc ciągle saniom wywrotem, bo pod śniegiem na polu było mnóstwo pni, pagórków i rowów. Widząc że mój Jasiak, który wtedy miał najwięcej lat czternaście, traci przytomność, kazałam mu psy oburącz trzymać, sama zaś chwyciłam strzelbę do ręki.

— Strzelbę?! — przerwała Tonia.

— Pani? — zapytał Edmund ze zdziwieniem wpatrując się w opowiadającą.

— Ja, bo też na razie nie mogłam nic lepszego uczynić. Zaledwie wzięłam broń do ręki i kurki odwiodłam, sanki oparłszy się o krzak stanęły. Napróżno konie szamotały się rozpaczliwie; krzak nic ustąpił z drogi, upręż nie pękła, i tak wszyscy znaleźliśmy się na czystym polu, od wilków zaledwie na kroków pięćdziesiąt. Widząc że nie ma chwili do stracenia, zmierzylam się do największego, który biegł przodem, strzelam i wilk pada nieżywy. Po drugim strzale drugi położył się na śniegu. Moje charty tymczasem, a byty niesłychanie silne i rosłe, usłyszawszy strzały wyrwały się Jaškowi i z sani wyskoczyły. Pozostałe wilki, które musiały być młode, bo po pierwszym zaraz strzale skoczywszy w bok stanęły, widząc dwa psy tak duże, puściły się z po

wrotem do lasu, a charty za niemi. Maciej i Jasiak ochłoniwszy z przestachu, wydobyli sanie, wzięli z pobojuwiska moje trofea, a w godzinę byliśmy już w domu jeszcze przed powrotem matki.

— Winszuję pani takiej odwagi, szczerze winszuję — rzekł Edmund podając hrabinie rękę, którą ona z wdziękiem uścisnęła. — Tonia nie okazałaby tyle siły i przytomności.

— Jabym wprawdzie umarła! — szepnęła Tonia naiwnie.

— Tak ci się zdaje, moja duszko — rzekła Hermina. — My kobiety nigdy nie możemy być pewne, jak daleko sięga nasza odwaga, a poznajemy ją dopiero wśród okoliczności... I mnie przedtem nawet przez myśl nie przeszło, bym sama jedna mogła stawie czoło aż czterem napastnikom, a przecież obroniłam się gdy tego konieczność wymagała. Była to więc odwaga z konieczności, do której moja Tonia i ty byłabyś zdolną.

— O nie Hermińciu, nie! — zaprotestowała Tonią.

— Zobaczymy... kto wie co się jeszcze stad może... i abyś nie uważała tylko mnie za osobę ekscentryczną, lub istotę krwiozerczą, więc tej

jesieni musisz z nami polować. Cóż pan na to, panie Edmundzie?

— O, bardzo ci będę wdzięczny hrabino, jeśli Tonie trochę rozerwiesz.

— Rozerwiesz? Edmundzie, ja się nudzę...

— Ach!... przepraszam cię mój aniele, chciałem powiedzieć, jeżeli cię pani Hermina rozrusza.

— Bardzo cię kocham Hermińciu, — odpowiedziała Tonią z uśmiechem melancholijnym — lecz w każdym razie psoty mego Mundzia większą mi sprawiają przyjemność, niż polowanie, które znam tylko z opisów.

— Prawda... zapomniałam... tyś matką! — szepnęła hrabina w dół oczy spuszczać.

Całą godzinę grały panie prześliczne sonaty i nokturny, a gdy nad wieczorem piękna hrabina dosiadała wierzchowca, Edmund, który z wielką przyjemnością słuchał muzyki, zwrócił się do niej, prosząc by przywiezione nuty zostawiła Toni, dopóki się ich na pamięć nie nauczy.

— Chętnie — odrzekła — ale za trzy dni muszę je mieć koniecznie, bo jeszcze sama nie umiem na pamięć, a wujaszek jest także wielkim miłośnikiem muzyki. Adieu!

I to rzekłszy, przyłożyła rękę do ust, a posławszy pocałunek stojącym na ganku małżon

kom, uderzyła konia szpicruzgą po szyi i w pełnym galopie ruszyła przez bramę. Z daleka widać było jej białą woalkę, unoszącą się jak obłok nad czarnym kapeluszem.

— Dzielna kobieta! — rzekł Edmund patrząc za odjeżdżającą.

— Czy ty jej nuty sam odwieziesz? — zapytała Tonią.

— Sam? nie wiem... — odrzekł wahając się Edmund — chociaż może wypada, bo jeżeli była tyle grzeczną, że sama przywiozła, to słusznie mogłaby się obrazić, gdybym je odesłał przez służącego.

— W takim razie może najlepiej będzie jeżeli ja pojedę do Warnowiec... O ile mi się zdaje, winnam Herminie dwie czy trzy wizyty.

— To mi się podoba! — Zawołał Edmund całując żonę w czoło. — Już nie raz chciałem ci zrobić uwagę, że dla Herminy jesteś zbyt obojętną, prawie zimną, a bez przyczyny, bo przecie wiesz, że nie masz szerszej przyjaciółki... — Tonią zamiast odpowiedzi lekko westchnęła, a wzięwszy męża za rękę poprowadziła go do kolebki śpiącego dziecka.

II.

Mimo że dwa lata ubiegły, hrabia Olpiński, nic się nie zmienił — nawet się nie postarzał. Już to powiedziawszy prawdę, hrabia znajdował się w owym wieku, w którym czasem cały lat dziesiątek prawie żadnych śladów nie zostawia po sobie. Osobom w jego wieku, zwłaszcza jeżeli mają twarz jak on pomiętą, można dać tak dobrze lat pięćdziesiąt, jak siedemdziesiąt.

Montesauiem był ciągle jego ideałem, „Kronika świata” głównym zajęciem, od którego chyba wtedy się odrywał, gdy miał napisać jaki list ważny. Ostatnimi czasy korespondencja hrabiego bardzo się wzmogła, i listy w rzeczy samej musiały być ważne, bo pisał je czasem późno w noc, co u niego było zjawiskiem nadzwyczajnym, a napisawszy, bądź nazajutrz sam odwoził na pocztę, bądź wkładał w osobną kuwertę, którą dopiero urzędnik pocztowy otwierał.

w pałacu nikt nie wiedział, z kim hrabia koresponduje; służbę to nie obchodziło, a Hermina była osobą zbyt dobrze wychowaną, by się zniżać do wypytywań.

Trzeciego dnia rano po wycieczce Herminy do Romanówki, przyjechał do Warnowic pan Marceł Tarczuk, i prosto udał się do hrabiny, z którą miał całogodzinną konferencję. Hermina po rozmowie z adwokatem, kazała założyć konie do faetonu, a mecenas udał się tymczasem do pracowni hrabiego.

— Bardzo mi miło — odpowiedział hrabia na powitanie — pan dobrodziej jak widzę częściej teraz do nas zagłada.

— Obowiązek panie hrabio, obowiązek przedewszystkiem! Sprawa tak ważna, jak pani hrabiny wymaga pilności i czujnego oka.

— Wierzę, wierzę... o ile się domyślam szanowny mecenas umiesz być pilnym za trzech, a czujnym za dziesięciu....

— Łaskawe żarty panie hrabio, chociaż w czasach dzisiejszych istotnie żelaznej pracy potrzeba, by jako tako wyżyć i z głodu nie umrzeć.

— Doprawdy szanowny mecenasie? A mnie niedawno ktoś mówił, że przed tygodniem kupiłeś majątek za dwakroć i świetny zrobiłeś interes.

— Zazdrość panie hrabio, zazdrość ludzka! O interesie nie ma nawet mowy. Wieś zaniedbana, bez budynków, długów na niej bez liku, w dodatku przepłaciłem co najmniej czterdzieści tysięcy — ale że to majątek sierociński, więc sumienie kazało mi przyjść w pomoc opuszczonym.

. — Zapewne pan sam opiekowałeś się tem, sierotami ?

— Rzeczywiście, panie hrabio, sąd narzucił mi opiekę, nie mogłem się wymówić, bo obowiązek przedewszystkiem....

Pan hrabia daruje — ciągnął dalej adwokat — jeżeli ośmielę się przypomnieć nasz interes, wczoraj upłynęły dwa lata.

— O pamiętam panie dobrodzieju, pamiętam .. proszę tylko o reskrypt.

Pan Tarczuk wyjął dokument, który przez ten czas musiał w dobrym spoczywać schowku, gdyż nawet nie był pomięty i podał go hrabiemu. Ten otworzywszy dolną szufladę w sekretarzu, wyjął z niej sześć banknotów, każdy po tysiąc reńskich, położył wszystkie na książce i rzekł:

— Proszę szanowny mecenasię, bardzo proszę.

Pan Tarczuk nie dał sobie tego powtórzyć.

— Muszę panu wynurzyć moje zadowolenie — ciągnął hrabia — bo nie wiem czy w całym

kraju jest drugi adwokat, któryby umiał zwlekać tak znakomicie.

— Stokrotne dzięki, panie hrabio, lecz niktby nie uwierzył, ile to pracy kosztowało. Pani hrabina molestowała mnie po kilka razy na miesiąc, i gdyby to nie dla pana hrabiego...

— Bardzo wierzę panie dobrodzieju, bardzo wierzę — przerwał pan Olpiński wykrzywiając twarz do uśmiechu. — Ale jak tam sprawa, na ukończeniu?

— Najzupełniej. W konsystorzu i sądzie wszystko załatwione, a gdy stroną przeciwną iakże się zgadza, więc zaledwie kilka tygodni dzieli nas od ukończenia de jure i de facto. Chyba żeby pan hrabia życzył sobie...

— Zwlekać? Nie! nie! nie! Takie zwłoki zjadłyby mi Warnowce z przyległościami... zresztą widzę, że wszystko na nic się nie przyda — niech zatem stanie się co się ma stać; a im prędzej tem lepiej. Jeszcze słówko mecenasię. Czy hrabina poleciła wnieść ostateczne podanie?

— Nie... kazała mi się wstrzymać.

— Aha...

Adwokat zawiedziony w nadziejach, bąknął jeszcze słów kilka, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, pokręcił się po pokoju i wyszedł po kilku głębokich ukłonach z miną bardzo rzadką.

w pół godziny dało się słyszeć trzaskanie z batoga, a potem turkot odjeżdżającego po j wozu.

— Kto pojechał? — zapytał hrabia wchodzącego Michałka, na którego zadzwonił.

— To ten mały pan z miasta.

— Dobrze, dobrze, czego jeszcze stoisz trutniu ?

— Myślałem że jaśnie pan miał mi co rozkazać.

— Nic... a pani hrabina gdzie, nie wiesz?

— Zdaje mi się, że poszła do szkoły.

— Dobrze, a teraz idź mi z oczu, bo nie mam czasu.

Michalek odszedł śmiejąc się do siebie, a hrabia zasiadł do pisania.

Tym razem jednak „Kronika świata" nie była przedmiotem jego zajęcia. Wyjąwszy duży arkusz papieru listowego, zaczął pisać bardzo szybko, i jakby z obawy, by go kto nie podpatrzył, przesuwając ćwiartkę papieru białego na każdy wiersz świeżo napisany. Hrabia tak był zatopiony, że mu nawet przez myśl nie przeszło czy papier, którym pismo zasłaniał nie zamaże słów, robiąc cały list nieczytelnym.

Gdy zapisał pierwszą stronicę, obracając kartkę zapomniał o czystym papierze, który

skutkiem tego został na dawnym miejscu, włożony teraz w środek arkusza. Gdyby panna Marjanna znajdowała się była w pracowni hrabiego, korzystając z tej jego nieuwagi, byłaby może przez ramię piszącego rzuciła okiem na hieroglify, i niepostrzeżona przez oryginała, byłaby odczytała co pan Olpiński z gorączkowym pospiechem kreślił na drugiej stronicy:

„Przykro mi, że przeciw niej, którą tak kocham, działam potajemnie, nawet podstępnie, ale jeżeli kiedy, to teraz widzę, że Pascal miał rację gdy powiedział: Cest l'intention, qui regie la qualite ede l'action. Zamiar mój jest dobry, więc i środki, których używam nie powinna być potępione. Zresztą kobieta jest jak dziecko, gdy się uprze, drogą otwartą nie trafisz do jej przekonania; rad nie rad musisz więc użyć niewinnego podstępu. Jej adwokat przyszedł mi w pomoc — dwa lata zwlekałem. Teraz atoli piszesz mi, co.. z drugiej strony Tarczuk także potwierdził, że zmęczony postanowiłeś na wszystko przystać... Mój kochany Henryku, dotąd znałem cię jako lekkomyślnika, który jednak z czasem mógł zostać człowiekiem porządnym; dziś widzę żeś baba, a na to nie ma lekarstwa. Straciłeś majątek, miałeś być moim spadkobiercą... cofnę zapis, jeżeli ty nie cofniesz swego postanowienia. Chyba że jej nie kochasz..t

Hal w takim razie daję ci zupełną absulucję. Codo niej... ale dajmy temu pokój'. Pomówimy osobiście... Tymczasem nie proszę, lecz żądam, byś najpóźniej do dwóch miesięcy wrócił do kraju a przyjechawszy, zaraz mnie o tem uwiadomił. Obecność twoja może będzie bardzo potrzebną..."

Skończyła się druga stronica, hrabia przechodząc na trzecią, przypomniał sobie ćwiartkę białego papieru, wyjął ją ze środka i dalszy ciąg zasłonił...

Podczas gdy hrabia był tak zajęty, na pięknym koniu arabskim nadszedł Edmund, a za nim Grześ, który z chłopca kredensowego we Wolicy, awansował w Romanówce na dzokieja. Michałek, który po całych dniach próżnował, znalazł się natychmiast aby konia przytrzymać.

— Są państwo? — zapytał Edmund, biorąc od Grzesia te same nuty, które trzy dni temu pani Hermina w Romanówce zostawiła.

— Są proszę jaśnie pana, jeno ich nie ma.

— Jakto są i nie ma?

— A tak proszę jaśnie pana, pan hrabia zamknął się i pisze, a pani hrabina poszła do szkoły.

— Do szkoły?

— Aha, do szkoły... Prawda, jaśnie pan nie wie, że my tu mamy szkołę od wiosny... tego

nikt nie wie... pani hrabina zakazała o tem mówić, ale kiedy mi się wyrwało...

— Nic to nie szkodzi mój Michałku, poproszę panią hrabinę żeby się na ciebie nie gniewała; tymczasem pokaż mi którądy droga do tej szkoły.

— Prosto przez aleję... w murze jest tam teraz furтка. Ale niech jaśnie pan nie mówi pani hrabinie, że to ja pokazał.

— Bądź spokojny Michałku.

Edmund wszedł w cieniastą aleję kasztanową. W miejscu wskazanem przez Michałka, o kroków kilkadziesiąt za murem ogrodowym, wznosił się w stylu szwajcarskim nowy domek parterowy wśród ogródka świeżo założonego. Dom miał trzy pokoje i jedną salę przestronną, której okna były otwarte. Edmund zbliżywszy się do furty, chciał otworzyć, lecz gdy rękę na klamce położył, zawahał się i po krótkim namyśle stanął pod drzewem, z kąd mógł siedzieć co się w szkole działo, nie będąc sam widzianym. W sali znajdowało się kilkadziesiąt dziewcząt wiejskich, schludnie ubranych i pani Hermina, która opowiadała im bardzo coś ciekawego, bo uczennice słuchały pilnie wpatrzone w twarz nauczycielki. Skończywszy, hrabina zaczęła coś kreślić na tablicy, a po

tem pokazywała książkę z rycinami i jakąś kulę podobną do globusa.

Chociaż nic nie słyszał i bardzo mało widział, albowiem słońca promienie padały mu prosto w oczy, Edmund pół godziny stał na jednym miejscu, a przyłożywszy rękę do czoła, patrzył ciągle na piękną nauczycielkę. Na uśmiechniętej jego twarzy widać było coś, co się równało uwielbieniu...

Skończyła się lekcja, wyszła hrabina, posypały się za nią dzieci, i już na dworze każde ucałowało jej rękę. Ona kolejno pogłaskała ich twarzyczki, a zapowiedziawszy głośno, by nazajutrz wszystkie się zeszły, zwróciła się do furty. Wesołe dzieci pobiegły do wsi polnemi ścieżkami.

— Podpatrzyłem jedne z tajemnic pani — przemówił Edmund, witając hrabinę w chwili gdy do ogrodu wchodziła — i przyznam się, że jestem oczarowany.

— Pan tu?! — odparta ze zdziwieniem, poczem szybko dodała: — Żałuję cię panie Edmundzie, jeżeli tak łatwo można cię oczarować.

— Mylisz się hrabino, mnie czarują tylko rzeczy nadzwyczajne.

— A cóż pan tu znalazłeś tak nadzwyczajnego ?

— w każdym razie taka nauczycielka w takiej szkole nie jest zjawiskiem powszedniem.

— Być może, że nie jest powszedniem, lecz za to bardzo prozaiczniem. Trzeba panu wiedzieć, że nudzę się niesłychanie, więc aby czemkolwiek czas zabić, czemkolwiek zapełnić próżnię, która mnie otacza, wpadłam na ten pomysł oryginalny. Kazałam postawić domek, w którym kiedyś zainstaluję nauczycielkę z powołania, a tymczasem uczyć sama biedne dzieci, co mnie w wysokim stopniu rozrywa.

— Teraz masz pan tylko rozrywkę, z czasem jednak przyjdzie zadowolenie, gdy owoce pracy będą widoczne.

— Owoce pracy!... bardzo wątpię... w takich iluzjach ja nie żyję! Nasz ludek kochany, jak go zwykli nazywać ci panowie teoretycy, którzy siedząc w mieście, z bliska nigdy go nie poznali, ten ludek, to grunt jeszcze bardzo jałowy i długiej a mozolnej pracy potrzeba zanim on wyda owoce. Ja zaś nie należę do istot, które mogą umrzeć dla jakiejś idei filantropijnej. Przedewszystkiem jestem egoistką i myślę o sobie.

— Słowa pani są w sprzeczności z jej postępowaniem.

— Bynajmniej! Wszak panu powiedziałam, że mnie to bawi, rozrywa, a ja rozrywki tak po

trzebuję! Szczególnie komicznym był zawiązek mojej szkoły. Na kilka dni przed jej otwarciem, prosiłam naszego księdza i wójta, by ogłosili we wsi zamożniejszym gospodarzom, których dziewczęta mogą codzień oderwać się choćby na godzinę od pracy, ażeby przysyłały swoje córki do szkoły. Obadwa uczynili o co prosiłam, lecz napróżno czekałam cały tydzień. Chociaż mię tu lubią, nie pokazała się żywa dusza.

— I jakżeś pani ten opór złamała?

— Podarunkami! Prawda, że to środek arcyzabawny? Widząc że prośbą nic nie wskóram, przyrzekłam każdemu dziewczęciu, które przyjdzie do szkoły dać piękną wstążkę. Plan udał się wyśmienicie, bo już nazajutrz przyszło ich kilkadziesiąt. Co tydzień ponawiałam podarunki, ale po jakimś czasie i to przestało skutkować. Rodzice widząc, że zamiast spodziewanych wołów lub koni, córki dostają błahostki, nie pozwolili im więcej chodzić, i tak z kilkudziesięciu zrobiło się zaledwie czternaście, które może zostaną, bo objawiają pewną chęć do nauki.

— A więc są owoce i praca pani zasługuje w każdym razie na uwielbienie, bo jest poświęceniem.

— To nie poświęcenie, to kaprys, czysty

kaprys kobiecy! — dał się słyszeć za plecyma rozmawiających głos hrabiego Olpińskiego.

Oryginał skończywszy list i posławszy go na pocztę, wyszedł jak według zwyczaju na przechadzkę do ogrodu. Będąc już w połowie alei postrzegł na jej końcu dwie postaci, a chociaż miał wzrok krótki, domyślił się, że jedną była Hermina. Co do drugiej miał jeszcze pewne wątpliwości. Może przez ciekawość, a może by rozmawiającym zrobić niespodziankę, zbliżył się do nich tak cicho, że o jego obecności dowiedzieli się dopiero ze słów wymówionych.

— Być może, że to kaprys, i za sąd twój kochany wujaszku wcale się nie gniewam — zawołała pani Hermina, śmiejąc się wesoło.

— A jabym śmiał twierdzić, że to sąd zbyt surowy — dodał Edmund kłaniając się hrabiemu.

— A to pan, panie Edmundzie? Dzień dobry panu, dzień dobry... dahpan, nie poznałem... zdawało mi się, że to Dziunio.

Hrabia Dziunio był od Edmunda o głowę niższy, szczuplejszy, i nosił ryże bokobrody, których mąż Toni nawet chcąc nie mógłby zapuścić, bo był brunetem.

— Musiałem się bardzo zmienić, kiedy pan hrabia nie raczył mnie poznać?—odparł Edmund,

a po różowych jego ustach, przebiegł uśmiech ironiczny.

— Wujaszek ma wzrok krótki — tłumaczyła Hermina.

— Istotnie, istotnie... prócz tego nie spodziewałem się zobaczyć pana tak prędko w naszym domu. Teraz gospodarstwo, musi pan mieć zajęcie....

— Nie więcej jak zwykle... żniwa idą dobrze... Dziś przyjechałem na chwilę, aby pani hrabinie zwrócić nuty, które łaskawie pożyczyła mojej żonie.

Edmund usiłował mówić spokojnie, chociaż w sobie gniew tłumił.

Hermina niespokojnie spoglądała na wuja. I

— A jak tam zdrowie pani dobrodziejki? Nie łaskawa na nas, nie łaskawa.

— Właśnie dziś chciała służyć państwu, lecz wczoraj wieczór dziecko dostało gorączki, a rano pokazała się wysypka.

— Święta kobieta, bardzo zacna kobieta! — chwalił pan Olpiński kręcąc głową na znak potwierdzenia— ona dziecka pewnieby nie opuściła... ona ma obowiązki, święte obowiązki, większe niż ta szkoła... Ale nie przeszkadzam państwu... bawcie się, do miłego widzenia.

Skłonił się z daleka i odszedł w boczną

aleję Hermina z Edmundem ruszyli ku patacowia Kilka minut szli obok siebie nic nie mówiąc; oboje byli podrażnieni. Nareszcie Hermina pierwsza przerwała milczenie.

— Mój wujaszek z każdym dniem staje się większym dziwakiem. Jeżeli tak dłużej potrwa, będę musiała wyemigrować z jego domu.

— O ile mogłem zrozumieć, niechęć była skierowaną tylko przeciw mojej osobie.

— Przeciw panu? Za co?

— Nie wiem, ale że tak było, ani chwili nie wątpię.

— Zdawało ci się panie Edmundzie — odrzekła Hermina z uśmiechem czarodziejskim. — Mój poczciwy wujaszek jest już od dłuższego czasu zirygowany. Ręczę, że mu się nie wiedzie z „kroniką" i dla tego zły na cały świat. Gościom ednak był zawsze rad, zwłaszcza moim... bo przecie pan dzisiaj do mnie przyjechałeś, nieprawdaż?

Pytaniu temu towarzyszyło spojrzenie długie a tak zagadkowe, że nie tylko Edmund, do którego było zwrócone, lecz w ogóle nikt ze śmiertelnych nie byłby go zrozumiał.

— Rzeczywiście hrabino... przyjechałem w zastępstwie mojej żony.

— Biedna Tonia! Więc dziecko ma odrę?

- Wysypka pokazała się dziś rano.
- Biedna Tonią! jak ją to musi niepokoić... Jutro odwiedzę was, by ją pocieszyć.
- Pani jesteście dobrą nad wszelką pochwałę,
- Cóż w tem tak dobrego? Czyż takiej drobnostki pan byś dla mnie nie uczynił?...
- Pozwolisz hrabino, że nie odpowiem na to pytanie.

Edmund rzekłszy to spuścił wzrok ku ziemi, a twarz jego była bledszą jak przed chwilą. Hermina śledziła go okiem bystrem, przenikającym głębię duszy i na drobnych jej ustach pojawił się uśmiech na pół anielski, na pół szatański. W chwili gdy gospodyni domu ze swoim gościem zbliżyła się do pałacu, panna Marjanna kończyła na dziedzińcu rozmowę z Grzesiem, który pomny na swój ubiór dzokiejcki, odpowiadał na zapytania krótko a poważnie, przy czem jak koń głową poruszał. Panna Marjanna była z natury bardzo ciekawą, to też dowiadywała się szczegółowo jak młodzi państwo z sobą żyją, czy się bardzo kochają i o czem rozmawiają panią hrabiną, gdy do nich przyjedzie. Przedewszystkiem starała się wybadać Grzesia, czy jego pan nie skarży się kiedy przed żoną na brak rozrywki, lub czy od niej nie żąda, by częściej Warnowce odwiedzała.

Grześ odpowiadał wymijająco, często powtarzając, że panna Marjanna najlepiej zrobi, jeżeli jego pana sama o to zapyta, a gdy garderobiana nie mogąc nic wskórać odeszła w złym humorze, Grześ mruknął sobie tylko dwa słowa: — Nie głupim!

W pół godziny Edmund wracał klusem do Romanówki.

III.

Przyjechawszy tego dnia do domu, Edmund przelotnie pocałował żonę w czoło, a gdy spytał o dziecko i otrzymał zapewnienie, że Mundziowi znacznie lepiej, udał się natychmiast w pole, chociaż o tej godzinie nie zwykł był zajmować się gospodarstwem. Tonią odprowadziła go wzrokiem do drzwi, ale słowa nie wyrzekła. Tylko koło serca zrobiło jej się tak jakoś dziwnie, tak boleśnie, jak do tej chwili nigdy jeszcze... Więc Edmund nie poszedł nawet do dziecka!... Co jemu się stało? Czemu taki błąd... niby pomieszany?... Może on chory? Chciała za nim pobeżnąć, zatrzymać, wypytać — ale wstrzymało ją wrodzone uczucie delikatności. Może mnie się tylko zdawało — może miał jaką przykrość z ludźmi, gdy przez wies przejeżdżał. Wszak ci włościanie tyle na wiosnę wzięli zapomogi, a teraz nie odrabiają, chociaż żniwa rozpoczęte. Tak tłumaczyła sobie niezwykle męża postępowanie;

gdy wrócił, powitała go uśmiechem, udając, że jest spokojną.

Przy obiedzie Edmund mówił mało, od czasu do czasu rzucił jaką skargę na oficjalistów, a zaledwie wypił czarną kawę, poszedł na chwilę do syna, pocałował go w czoło, na które czerwone plamy wystąpiły, i zaraz kazał zaprządź do faetonu.

— Mundziu ty znowu jedziesz? — ośmieliła się Tonia zapytać.

— Jadę do pana Krzysztofa, aby wymódtz na nim naprawienie promu. Teraźniejszy taki zły, że nie trudno kiedy o nieszczęście.

— Dziwi mię, że inni sąsiedzi o to się nie upomnieli... my tak rzadko odwiedzamy kogo po tamtej stronie wody.

— To też źle moja Tonia i gdyby nie takie nasze postępowanie, hrabia Olpiński byłby mnie dziś przyjął nierównie grzeczniej. Widocznie gniewa się, że od tak dawna nie byłaś w Warnowcach.

— Przecie wiesz, że wybierałam się i gdyby nie dziecko...

— Dobrze, dobrze Tonia, musimy to naprawić jak najprędzej, a teraz bądź zdrowa, bo chciałbym prędko wrócić. Pojechał na lewo do Dąbrówki... Tonia.

wolniej odetchnęła. Więc on dla tego zirytowany, że go hrabia zimno przyjął?... Ach, to najmniejsze !

W pół godziny po odjeździe Edmunda, zjawił się na swoim dżigu hrabia Dziunio, który dotąd był kawalerem pełnym nadziei. U państwa Krzemieńskich pojawiał się on teraz dosyć często, a chociaż w Romanówce nie było bogatej panny na wydaniu, spędzał nieraz po kilka godzin w towarzystwie Edmunda i jego małżonki, i bawił się wyśmienicie. Zabawa jego była jeszcze większą, jeżeli przyjechawszy nie zastał gospodarza domu. Wtedy rozmawiając z samą panią dobierał słów najwyszukańszych, często dyskurs przeplatał francuskimi frazesami, chwalił malutkiego Mundzia i brał go na ręce, dawał rady co do pielęgnowania kwiatów i przyrzekał przywieść najpiękniejsze nasiona, a gdy mu Tonia opowiedziała smutny wypadek z kaczętami, oburzenie jego było tak wielkie, że natychmiast chciał się podjąć zastrzelenia obu chartów, choćby za to miał się narazić na największy gniew ich właściciela. Zaledwie powiodło się Toni powstrzymać bohaterskie jego zapędy uroczystem zapewnieniem, że jakkolwiek ten wypadek w pierwszej chwili bardzo ją zmartwił, teraz puściła go w niepamięć, i więcej o nim nie myśli. Dziś hrabia Dziunio był jeszcze we

selszym, jeszcze mowniejszym, chociaż pani domu słuchała go z roztargnieniem, prawie niechęcią. Opowiadał o ostatnich wyścigach w stolicy, i oswoim „biegu, który miał być najbardziej zajmującym, o „towarzystwie," a w końcu przeszedł na politykę, która według jego przekonania tak długo nie wejdzie na lepsze tory, dopóki u jej steru nie staną sami dobrze urodzeni. Tonia słuchała udając, że ją to bawi, ale niekiedy przyłożywszy chusteczkę do ust, ukradkiem ziewała. Gdy nadeszła chwila odjazdu, elegancki UDziunio pod wpływem swego krasomostwa tak się uniósł, że zamiast uściskać podaną sobie rączkę, ucałował ją głośno, jak niegdyś pulchną rączkę pani majorowej. Młoda kobieta spłonęła na twarzy, cofnęła rękę i odjeżdżającego kawalera pożegnała lekkim głowy skinieniem. Edmund wrócił dosyć wcześnie, lecz nie w Iciiszym humorze. Pan Krzysztof przyrzekł wprawdzie prom naprawie, jednak nie upewniał, czy to prędko nastąpi, ponieważ robotnik był teraz bardzo drogi i rzadki. Nazajutrz około południa niebo się zachmurzyło, poczem nastąpiła ślota trwająca cały tydzień. Edmund zmuszony siedzieć w domu niecierpliwił się i na służbę gderał, co u niego nigdy jeszcze się nic zdarzyło, i po kilka razy na dzień spo

glądał na barometr wiszący u okna. Tonia chciała go rozerwać muzyką, nawet śpiewem, chociaż tak rzadko śpiewała— ale daremnie. Tymczasem dziecię wyzdrowiało, i wesola jego twarzyczka zajaśniała znowu w pokojach młodych rodziców. Piękny ten widok nie rozweselił ojca na długo. Ucieszył się gdy niańka weszła z dzieckiem do jego pokoju, ucałował jedynaka z uniesieniem i zapytał: jak się masz synu? ale wkrótce zwrócił go dziewczynie, powstał i zaczął przechadzać się z głową zwieszoną.

Tonia nie mogła zrozumieć stanu jego duszy. Kilkakrotnie zapytywała czy nie chory, radziła by się napił rumianku, i na dzień do łóżka położył, a raz wspomniała nawet o lekarzu. Gdy atoli Edmund zachnął się zniecierpliwiony, zaprzestała rad i badań. Biedna kobieta widziała, że mąż coś przed nią ukrywa, i głębokie westchnienie wyrwało się jej z piersi, gdy pomyślała, że to słodkie zaufanie, które przez dwa lata między nimi panowało, zaczyna znikać... Czy na długo? Czy na zawsze? Straszniemi były te myśli dla Toni.

Gdyby choć miała przy sobie ojca, tego ojca, który ich tak kochał, który ich tak znał I Przed nim jednym byłaby się odważyła zwierzyć ze swoich udęczeń, on jeden byłby dociekł

prawdy, i usunął złe jeśli było jakie. Ale major bawił w kąpielach i miał wrócić dopiero w jesieni, matka zaś nadto nie lubiła Edmunda, by Tonia choć jednym słowem mogła się zdradzić przed nią ze swemi obawami. Tak więc został jej powiernikiem tylko Bóg.

W tym samym tygodniu, we Wolicy wyglądało nie mniej tajemniczo. Pani majorowa musiała układać jakieś plany, bo długie godziny konferowała z ukochaną Pędrasią, której córka, panna ftfarjanna, częściej teraz odwiedzała swoją matkę. Ze służby nikt się nie domyślał, nad czym radzono tak poufale, i jeden tylko Walenty, którego mimo częstych proźb żony, major dotąd nie oddalił, kręcił głową z niezadowoleniem, bardzo żałując, że we Wolicy nie ma już Grzesia, przed którym dawniej lubił się zwierzać.

Po ośmiodniowej słocie zabłysło znowu słońce, a wraz z niem wypogodziło się czoło Edmunda. Zaledwie rozprószyły się chmury, nie czekając nawet aż podeschnie, kazał sobie wyprowadzić konia, dosiadł go i wyjechał. Godzina była

dziesiąta przed południem. Tonia pewna, że mąż ogląda pola, nie śledziła go wzrokiem, lecz gdyby to była uczyniła, ku wielkiemu swemu zdziwieniu byłaby postrzegła, że Edmund okrążywszy łąny na północ od dworu położone, wjechał w olszynę

na prawo, i polnemi drogami zwrócił się ku rzece. Wtedy instynkt kobiecy byłby jej może powiedział, że przeprawiwszy się przez rzekę ruszył drogą wiodącą do Wamowiec... Edmund w rzeczy samej jechał tą drogą, a jechał powoli, krok za krokiem, często przystając, jakby myślał

powrocie. Wyminął połowę przestrzeni, przypuścił konia i całym pędem wyjechał na pagórek, z kąd widać było Warnowce i pałac hrabiego Olpińskiego. Przeszło godzinę stał na jednym miejscu, z oczyma w pałac utkwionemi, a potem nawrócił konia i drogą, którą przyjechał, udał się z powrotem.

Podczas gdy on tam stał i dumał, Toitia oczyszczała kwiatki w ogrodzie, w czem jej Grześ dopomagał.

— Coś pana nie widać — rzekła około południa, spoglądając na zegar słoneczny, który stał na środku głównego klombu.

— Aha nie widać — odparł Grześ obojętnie

i szybciej jak dotąd zaczął kwiatki obsypywać ziemią urodzajną, którą ulewne deszcze splukały.

— Możebyś skoczył zobaczyć gdzie się pan zatrzymał — zapytała po chwili.

— E, nie, nie potrzeba proszę jaśnie panią, jaśnie pan zaraz wróci — odpowiedział. — Ale

mnie dziwi — dodał po chwili — że panu chce się jeździć po polach w takie błoto, jakby nie miał rządcy, ekonomów i polowych. To szkoda zdrowia proszę jaśnie pani.

— Kiedy pan lubi gospodarstwo.

— Prawda, ale zdrowie przecie pierwsze? Gdybym ja był na miejscu jaśnie pani, wiem co bym zrobił...

Tonia ze zdziwieniem podniosła oczy na mówiącego, który ciągle patrzył przed siebie, zajęty pilnie swoją robotą. Za poufalskość nie gniewała się jednak, bo Grześ wychował się od dziecka w domu jej rodziców.

— cóżbyś zrobił? — zapytała.

— Nie pozwoliłbym panu tak często z domu wyjeżdżać... Bo lo proszę jaśnie panią człowiek jak się ciągle trzęsę, to i zdrowie z siebie wytrzęsę, a jaśnie pan tylko wygląda tak zdrowo. On delikatny, bardzo delikatny!

— I ty myślisz Grzesiu, że to można zakazać ?

— O można proszę jaśnie pani, można, tylko trzeba... jak nieprzymierzając pani majorowa, a wszystko będzie inaczej. Ostatnie słowa wymówił z takim prynciskiem, że Tonia drugi raz oczy podniosła, wpatrując się tym razem w dwudziestoletniego chłopca długo

i badawczo. W jakim celu on to powiedział? Wkrótce wrócił Edmund, Gdy Grześ konia do stajni odprowadzał, spoglądając na zabłocone jego nogi i boki pokryte żółtą jak wosk gliną, której nigdzie nie było na dworskich polach, długo coś mruczał i bardzo dwuznacznie głową kręcił.

Kilka dni upłynęło bez ważniejszego zdarzenia. Edmund wyjeżdżał codzień, zawsze sam bez Grzesia, a panowie Krzysztof i Damazy jadąc raz drogą, widzieli, jak stał na koniu w tem samym miejscu, dokąd odprowadziliśmy go niedawno. Sąsiedzi ukloniwszy się z daleka poszeptali coś do siebie i dalej ruszyli.

Nareszcie po dłuższej niebytności, pani Hermina zjawiła się pewnego dnia po południu. Jak zwykle przyjechała konno ze swoim groomem. Tonia przywitała ją z wielką uprzejmością, chociaż może pocałunek był nieco chłodny, a pierwsze słowa wymuszone; piękna sąsiadka była atoli tak roztrzepana, że na te drobnostki nie zwróciła uwagi. Edmund bardzo się ożywił, mówił wiele, nawet gdy Hermina usiadła do fortepjanu, prosił ją o akonipaniament i zanucił wesołą piosenkę francuską, której każda zwrotka kończyła się słowami:

"Trmopez moi trompons nous
C est un plaisir assez doux!

Hermina żartując z pieśni figlarnej, po kilkakroć zapytywała Edmunda, czy wielka to przyjemność oszukiwać i być oszukiwanym. Młody człowiek zaśłaniał się twierdzeniem, że ponieważ nie znajdował się nigdy w takim położeniu, więc nie może zaspokoić jej ciekawości, a co do piosenki, to za jej treść powinien być odpowiedzialnym tylko jej autor. Na takiej rozmowie, w której Tonia mały brała udział, gdyż co kilka minut wybiegała do dziecka, które tego dnia bezustannie płakało, upłynął czas nadzwyczaj szybko, i bawiący się w salonie ni spostrzegli, kiedy słońce skryło się za góry oddalone.

— Ach! już tak późno! — zawołała nagle hrabina, patrząc w okno. — Jak tu u was czas przyjemnie biegnie.

— Bardzo nam to pochwlebia — odpowiedział Edmund — i żal nam tylko, że tak rzadko widzujemy panią w naszym domu.

— W każdym razie częściej niżście państwo zasłużyli. Ciebie naprzykład Tonia od wieków nie miałam u siebie... Czy uwierzyłabyś, że nawet mój pocziwy wujaszek stęsknił się za tobą i gdyby nie jego „Kronika,” którą ceni nad wszystko, byłby cię już kilka razy odwiedził.

— Wiesz Hermińciu, że nie niechęć tego powodem, ale niemożność. Mój Mundzio taki nie

cierpliwy, na chwilę nie mogę go samego zostawić.

— Wiem moja droga, wiem, a że cię najzupełniej usprawiedliwiam, masz najlepszy w tem dowód, że nie liczę się z wizytami, i przyjeżdżam ilekroć mogę. Przy najbliższej jednak sposobności musisz się do nas wybrać razem z Mundziem... świeże powietrze i ruch nie zaszkodzą dziecku.

— Najchętniej.

— Trzymam cię za słowo. A teraz bądźcie mi zdrowi, bo doprawdy czas was pożegnać.

— Jakto, jedziesz o północy?

— Przecie sama nie jestem... mam obrońcę w moim chłopaku, a chociaż z gór woda przybyła, jest nadzieja, że dziś jeszcze nie utonę wraz z promem pana Krzysztofa.

Małżonkowie spojrzeli po sobie pytająco.

— Ale przenocuj u nas Hermińciu — prosiła Tonia. — Przecie wujaszek domyśli się, żeś u nas została... w najgorszym razie możesz odesłać chłopca, aby hrabiego uspokoił.

— Nie mogę droga Toniu, jak cię kochani nie mogę. Nie idzie mi o wujaszka. bo on już pewnie spać będzie, gdy do domu wrócę, ab jutro o ósmej z rana zapowiedział się mój adwokat w nadzwyczaj ważnej sprawie, a jeszcze dziś

muszę mu przygotować papiery. Żegnam was więc moi drodzy i do rychłego zobaczenia.

Mówiąc to piękna kobieta włożyła kapelusz. Edmund spojrzął na żonę pytająco — Tonia milczała.

— Jeżeli taka wola — przemówił Edmund z niejakim wahaniem — to przynajmniej niech mi będzie wolno panią odprowadzić.

— Dziękuję ci panie Edmundzie, serdecznie dziękuję, lecz boję się, by Tonia nie nudziła się sama.

— Jedź, jedź Mundziu — rzekła Tonia półgłosem — tylko weź Grzesia, bo w nocy nie trudno o wypadek.

Edmund nieznacznie przygryzł usta, a zadzwoniwszy polecił Grzesiowi, by niezwłocznie osiodłał dwa konie.

W pół godziny ruszyli wszyscy z przed ganku. Tonia stojąc w oknie, spoglądała za odjeżdżającymi, i chociaż mrok wieczorny oddawna okrył ich swoim płaszczem, stała jeszcze na dawnym miejscu.

Piękna amazonka pomykając obok swego towarzysza, od czasu do czasu uderzała szpicrzugą wierzchowca po szyi, jakby jego bieg nie był dość rączy. A był to rumak pełnej krwi arabskiej, który mógł śmiało iść o lepsze z bie

gunami wyścigowemi. Rozumiejac wolę swojej pani, nie pędził, lecz płynął i niekiedy głośno parskał. Koń Edmunda, bojąc się by go współzawodnik nie powstydzil, wyteżał wszystkich sił i szczęśliwie tworzył jedne linje z wierzchowcem hrabiny. Chłopcy nie mogąc zdążyć za państwem, zostali znacznie w tyle.

Edmund po kilkakroć usiłował nawiązać rozmowę, lecz zaledwie mogli zamienić kilka słów luźnych. Prąd wiatru robił głos niewyraźnym.

Stanęli nad rzeką. Prom znajdował się po tej stronie, a tak był natłoczony wozami wieśniaków powracających z jakiegoś jarmarku, że o pomieszczeniu czterech koni trudno było myśleć. Zapytani przewoźnicy, czy nie możnaby usunąć jakiego wozu, odpowiedzieli przecząco. Woda wskutek przypyływu rwała niesłychanie, zwłaszcza pod

brzegiem, obrócenie zatem promu na miejscu i wycofanie choćby jednego wozu, narażało na stratę czasu i niebezpieczeństwo.

— A dwa konie pomieszczą się jeszcze? — zapytała hrabina.

— Dwa staną wygodnie — odrzekł [irzewoźnik.

— Więc jedźmy najpierw my, panie Edmundzie, a potem przewiozą się nasi chłopcy.

— Myśl wyborna! — odpowiedział Edmund Za chwilę nasi znajomi stanęli na promie. Tu zsiędlili z koni, które wzięli za cugle dwaj wieśniacy. Hermina patrzyła przed siebie. Edmund rzucał na nią wzrok z ukosa, przygryzając końce małego wąsika.

Woda była bystra i jak o tej porze niezwykle szeroka. Lina, do której prom był przypięty, dzwoniła jak struna wyciągnięta.

— Nie uważasz pan — przemówiła nareszcie pierwsza — że dzisiejsza nasza wycieczka jest niesłychanie romantyczna. O tej godzinie... przy blasku wschodzącego księżyca... na wodzie rwącej, a w dodatku na promie, który każdej chwili może zatonać, bo kochany pan Krzysztof jeszcze go ponoś nie naprawił.. Cha! cha! cha! Ciekawam co byś pan też robił, gdybyśmy się tak doprawdy topić zaczęli.

— Ratowałbym najpierw panią...

— Bardzo wątpię. Najpierw myślałbyś pan o swoim ratunku.

— Zkąd takie przypuszczenie?

— Bo wy panowie jesteście pod słońcem pierwszymi egoistami.

— Prócz mnie...

— Doprawdy? Chciałabym się przekonać.

— Rozkaż pani.

— A więc skocz pan w wodę.

— W wodę? teraz ?

— Widzisz pan, że jesteś egoistą! Gdybyś nim nie był, nie wahałbyś się ani chwili.

— Nie rozumiem cię hrabino... Czyż to egoizm, jeżeli nie chcę popełnić szaleństwa, które nikomu nie przynosząc najmniejszej korzyści, naraziłoby moje życie, potrzebne dla innych?

— Podoba mi się pańska odpowiedź, lubię szczerość.

Urwała; potem uderzywszy kilka razy szpicruzgą po amazonce, odwróciła się od Edmunda i patrząc znowu na fale pomykające, zapytała jakby od niechcienia.

— Pan musisz być bardzo szczęśliwym... czy tak?

— Rzeczywiście... bardzo...

— Dla czego pan powiedziałeś to tak dziwnie?

— Bo może chciałbym być szczęśliwszym.

— Co mówisz panie Edmundzie, więc pańskie szczęście nie jest pełne?

— Owszem, jestem szczęśliwy, bardzo nawet szczęśliwy... chociaż przyznasz pani sama, że wieczna pogoda, bez chmur i burzy, może nas w końcu znecierpliwic
— Rozumiem... jasne słońce i niebo uśmie

chnięte sprzykrzyły się panu... pan lubisz różnorodność... Wstydź się panie Edmundzie skarżyć się tak wcześnie. Wszak dopiero dwa lata jak się pobrali, cóż to później będzie!

Edmund może nie chciał, a może nie mógł odpowiedzieć, bo właśnie prom przybił do brzegu. Gdy napowrót koni dosiędli, zapomniawszy o chłopakach, ruszyli drogą, jadąc teraz krok za krokiem.

— Nic mi pan nie odpowiesz na ostatnią moją uwagę? — zapytała Hermina po dłuższym milczeniu.

Chyba tyle, że nie pragnę różnorodności, lecz pełni życia.

— To na jedno wyniesię. Nowe milczenie.

— Przypominasz pan sobie — zaczęła znowu hrabina — że w dniu pańskiego powrotu z zagranicy, dysputowaliśmy dość długo o teraźniejszych kierunkach w świecie naukowym. Wtedy broniąc krytyki zdrowego rozumu, powiedziałeś pan, że tylko w to powinniśmy wierzyć co zbadać możemy.

— Pamiętam każde słowo.

— Jeżeli tak, to powiedz mi pan teraz, czy wierzysz w uczucie?

— Wierzę, bo jakkolwiek jest niewidzialne, można je zbadać.

— Zapewne za pomocą dowodów?

— Nie inaczej.

— A jeżeli nie ma dowodów?

— W takim razie trzeba je odczuć.

— Ślicznie pan bronis swojej teorii! Odczuwając, zrywasz z rozumem, a stajesz się marzycielem. Odkąd to popadłeś w tę drugą ostateczność?

— Odkąd zrozumiałem, że są siły, które nami rządzą...

W tej chwili Hermina tak silnie uderzyła konia, że ten wspiął się, a potem w skoku szalonym naprzód się rzucił.

Przestraszony Edmund w ślad za nim popędził, lecz dość czasu minęło, zanim zrównał się z towarzyszką.

Właśnie znajdowali się wśród lasu z rzadka zarosłego majestatycznymi dębami. Droga w tym miejscu była dość wąska, tak dalece, że jadący stępo obok siebie prawie dotykali się ramionami. Księżyc ciekawy jak stary kawaler spoglądał ukradkiem na młodą parę, a chłodny wiatr rozwiewał woalkę u kapelusza Herminy i rzucał ją na twarz Edmundowi.

Na skrócie sterczał czarny pień opalony. Koń Herminy przestraszywszy się tego widoku,

skoczył gwałtownie w bok, poczem dal się słyszeć głos pełen przestachu:

— Panie Edmundzie!... Edmundzie!

Osadzić na miejscu swego wierzchowca, zarzucić mu trzęlę na szyję, zeskoczyć i pochwycić konia hrabiny u wędzidła, było dlań dziełem jednego mgnienia oka. Arab' wspinał się jeszcze, ale wnet się uspokoił.

— Smutny wypadek — przemówiła amazonka głosem lekko drżącym — zdaje mi się, że pękły popręgi... siodło się zsuwa.

— Proszę, zsiądź hrabino czempredzej! — zawołał Edmund.

— Zechciej mi pan pomódz, bo siodło się przeważy, gdy sama zechcę zeskoczyć.

Widząc, że koń stoi już spokojnie, Edmund przysunął się ostrożnie i Herminę wpół ujął. Zapewne bojąc się, by szybki ruch ponownie konia nie spłoszył, dłużej zatrzymał piękny ciężar w swoich objęciach, niż może tego konieczność wymagała... potem postawił ją na murawie, w pełnym świetle księżyca.

— Jacy my lekkomyślni panie Edmundzie i nie lepiej to było poczekać na brzegu na chłopców, a teraz Bóg wie kiedy przyjadą.

— W każdym razie byliby wypadkowi nie przeszkodzili.

— Lecz teraz przynajmniej mielibyśmy kogoś przy sobie.

— Pani się lękaasz?

— Bynajmniej! Ale — dodała patrząc na młodego człowieka i biorąc go za rękę — pan jesteś taki blady, pan drzysz... Co ci jest panie Edmundzie? Może ci zimno?

— Nic... nic... chwilowy przestach... w świetle księżyca ponoś każdy blalo wygląda... zresztą i nocy już chłodne.

— Uspokój się pan, bo doprawdy przykro mi, że mimowoli naraziłam pana na tyle nieprzyjemności.

— Przeciwnie hrabino, cała ta awanturka jest bardzo oryginalną.

— Rzeczywiście... cha! cha! cha! coby też powiedział nasz kochany Dziunio, gdyby teraz, wśród tego lasu, spotkał nas samych. Jak ci się zdaje, panie Edmundzie, coby on powiedział?

— Że sprowadził nas przypadek.

— Mylisz się pan... on by powiedział że... ale otóż i nasi chłopcy, już słyszę tętent.

Wkrótce siodło było naprawione, a w pół godziny nasi znajomi zatrzymali się przed pałacem w Warnowcach.

— Spodziewam się, że pan nie odmówi filiżanki herbaty, po takim utrudzeniu ? — zapy

tała Hermina zsiadając z konia. — Wujaszek spi, więc nie będzie pana nudził.

— Stokrotne dzięki!... muszę wracać, bo Tonia będzie niespokojną.

— Prawda... jedź pan, jedź, a zagłównijcie do nas jak najprędzej.

Podala mu rękę — on ją uściskał i długo w swojej zatrzymał, a gdy odjeżdżając raz jeszcze spojrzął na drzwi szklane, przy których stała piękna amazonka, pół twarzą ku niemu obrócona, zdawało mu się, iż go żegna uśmiechem Iak czarodziejskim, że równego we śnie nawet nie widział.

Gdyby Grzesz nie jechał był z tyłu, ale obok swego pana, byłby wyraźnie słyszał następujące słowa:

— Co ona myśli?... Rzuciła uwagami, które ściśle z sobą nie były powiązane... Dziwne pytania ! Do czego zmierzała jej rozmowa na promie ? Co to jest? Ach, jaka kobieta!

Tonia czekała na meza, który o całej przygodzie w lesie słowem nie wspomniał. Nazajutrz kilka razy chciała już zapytać Grzesia, czy nie mieli jakiego wypadku na promie, że się tak długo zabawili, lecz się przewyciężyła, aby nie ubliżyć Edmundowi i sobie...

w,

Po ostatniej wycieczce Herminy do Romanówki i jej powrocie w towarzystwie Edmunda, panna Marjanna miała w garderobie dłuższą pogadankę z groomem hrabiny. Chłopiec, który do niej napróżno od roku gorącemi płonął afektami, uszczęśliwiony nagłą poufałością swego ideału, zaczął długo i szeroko opowiadać co widział owej nocy. Zeznania pleciugi musiały być ważne, bo gdy skończył, panna Marjanna o mało go nie uściskała i zaraz nazajutrz otrzymawszy pozwolenie od swojej pani, udała się do Wolicy pod pozorem zasiągnięcia rady matki w jakiejś ważnej sprawie. Tu odbyła się najpierw krótka rozmowa między matką a córką, a gdy panna Marjanna odjechała do domu, poczciwa Pędrasia udała się natychmiast do majorowej na drugą i nierównie dłuższą konferencję.

Po wyjściu klucznicy, pani majorowa pojawiła się na ganku z twarzą nadzwyczaj rumianą

i doniosłym głosem rozkazała Walentemu, by natychmiast zaprzął do powozu. Wkrótce czwórka dzielnych szpaków wiozła panią Zawilską do Romanówki.

Młodzi byli w domu, zajęci właśnie czytaniem listu od ojca. Major donosił dzieciom kochanym, że z Cieplic wysłali go lekarze najpierw do innych wód, a potem do Ostendy, z kąd znowu na całą jesień był zmuszony wybrać się do Węgier na kurację winogradową. Chcąc ile możności zdrowie poprawić, aby jak najdłużej cieszyć się szczęściem swoich dzieci i wnuków, pan Zawilski nie sprzeciwiał się lekarzom, i dobrze zrobił, bo teraz czuje się znacznie lepiej. Jeżeli Bóg pozwoli — kończył major — w drugiej połowie września ujrzycie mnie młodszym o lat dwadzieścia. Tymczasem żegnam was drogie dziatki, niech Bóg miłosierny roztacza nad wami swoją opiekę, kochajcie się, bądźcie szczęśliwi, i pamiętajcie o waszym ojcu!

Tonia spłakała się nad listem; Edmund miał także łzy w oczach.

Gdy majorowa przyjechała. Tonia z okrzykiem: — Mateczka! ach! jaki gość rzadki! — rzuciła się jej na szyję. Mąż był mniej czułym; zabawiwszy z żoną i świekrą jakiś czas w salonie, poszedł do swego pokoju. Matka wzrokiem.

zięcia do drzwi odprowadziła — uważnie przypatrywała się córce, od czasu do czasu rzuciła nie zbyt jasne zapytanie, na które Toma wymijającą dawała odpowiedź, kręciła głową dwuznacznie, popieściła się chwilę z wnukiem i prędzej niż może wypadało, wyjechała z powrotem.

W tym samym tygodniu rozpoczynał się w miasteczku powiatowym wielki jarmark na konie. Najznakomitsi koniarze krajowi i zagraniczni, zjeżdżali się w tym czasie do ***. Przez całe dwa tygodnie powiat nie zajmował się niczem innym, tylko końmi, ich cena, zaletami i wadami. Po oberżach ścisk był niesłychany, faktorowie biegali jak opętani, obywatele starsi sprzedawali i kupowali, a młodsi przedewszystkiem pili kwaśnego szampana i grali w djabetka, który dzięki panu Damazemu został instytucją powiatową.

W pierwszych dwóch dniach, jak karnawał w początkach, jarmark był mało ożywiony; dopiero trzeciego dnia zjazd był jeneralny; w tym też dniu Edmund wybrał się do miasteczka z jednym ekonomem, który służył w całej okolicy ze znajomości koni, w celu pozbycia się dawnej czwórki, a zastąpienia jej nową. Ekonom pojechał naprzód; Edmund z Grzesiem wyruszył za nim lekkim wózkiem węgierskim.

Droga do miasteczka prowadziła przez

Warnowce Gdy zbliżyli się do miejsca, z kąd alea topolowa wiodła do pałacu, Edmund nagle zawołał, aby Grześ skręcił na lewo.

— Gdzie, proszę jaśnie pana? — zapytał chłopiec, jakby nie słyszał pierwszego wezwania.

— Na lewo, mówię.

— Do pałacu?

— Nie rozumiesz? Na lewo!

— Ale czy się nie spóźnimy, proszę jaśnie pana?

— A tobie co do tego urwisie! Jedź gdzie

każę!

Głos Edmunda był wzburzony. Grześ długo skręcał i na konie cmokał zanim powiodło mu się wjechać w aleję. Gdy stanęli przed pałacem, Michałek, który i dziś z braku zajęcia używał świeżego powietrza, przyskoczył natychmiast do wózka oznajmić, że pani hrabiny nie ma w domu.

— Pojechała? — zapytał Edmund.

— Pojechała z panem rządcą na jarmarek, bo chce sobie kupić takiego konia, co Japie zające. Ale pan hrabia jest u siebie.

Edmund zawahał się czy wysiąść, czy odjechać, i byłby może gwałcą wszelkie formy towarzyskiej przyzwoitości nie zaglądnął do hrabiego, gdyby nie okoliczność, że w tej samej

chwili na balkonie pierwszego piętra ukazał się oryginał.

— A! pan Krzemiński — zawołał bardzo mi miło, bardzo... Proszę, proszę!

Trudno było nie odpowiedzieć na takie wezwanie; Edmund poszedł jak na ścięcie.

Hrabia przyjął gościa w głównym salonie parterowym bardzo grzecznie, ale tak chłodno, że można go było posądzić o sarkazm utajony.

— Sąsiad dobrodziej łaskaw na nas, bardzo łaskaw... Gdyby nie pan, umarlibyśmy z nudów. Ale jak się tam ma pani dobrodziejka, jak synek?

— Dziękuję, zdrowi... moja pani zasyła swoje ukłony.

— Stokrotne dzięki, stokrotne... rzadka kobieta, święta kobieta I Ale że też kochany pan może tak często z domu wyjeżdżać, mając takiego anioła.

Nagły ten zwrot zmięsział Edmunda.

— Wyjeżdżam, gdy konieczność wymaga....

— Konieczność?... A jaka to konieczność jeżeli łaska — he?

Oryginał przysunął się do Edmunda, prawe ucho do niego ciekawie wytyżając, przyczem czoło zmarszczył i brwi ściągnął.

— w interesach.... Czasem także by się rozerwać.

— W interesach pół biedy jeszcze, ale żeby się rozerwać... to źle, bardzo źle! Rozrywkę powinieneś pan znaleźć w domu własnym, na łonie rodziny. Montesquieu powiedział, że absolutyzm rządzi postrachem, monarchja honorem, a republika cnotą. W czasach patryarchalnych rodzina była rządzona absolutnie, potem monarchicznie, teraz po republikańsku. Dziś głowa rodziny to prezydent, który cnotę powinien stawiać najwyżej. A jaka to cnota, kochany panie, jeśli po za domem szukasz rozrywek, jeżeli tak często porzucasz żonę i dziecko?

— Panie hrabio! — przerwał Edmund powstając i tylko z trudnością wewnętrzny gniew powstrzymując — nie od dziś uważam, że moja osoba jest panu nie miłą i gdyby nie okoliczność że chciałem zapytać panią hrabinę czy nie ma jakiego polecenia do miasta, nie byłbym teraz narażony na zniewagę.

Oryginał wysłuchał cierpliwie i ani jeden mięsień w jego twarzy nie zdradził, by słowa Edmunda zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

— Wiem ja mój łaskawco — odrzekł — wiem doskonale, że nie dla mnie tu dziś przyjechałeś, boś dla mnie nigdy nie przyjeżdżał, i właśnie to

mi się nie podoba. Ale siądź pan, proszę, bardzo proszę... i słuchaj cierpliwie, bo ja stary a pan młodziutki jeszcze... mógłbym ci być dziadkiem... znałem twoich rodziców i widziałem cię przy piersi. Ale wróćmy do rzeczy. Powiedziałeś pan, że szukasz rozrywki, więc się chyba nudzisz, he? Rozumiem, rozumiem, twoja iona zbyt dobra, zbyt szlachetna, przykrego słowa z jej ust nie słyszałeś, więc dla tego się nudzisz... ale nudząc się czeniu nie oddasz się jakiemu zajęciu, czemu nie czytasz, nie piszesz, he? Przecież skończyłeś uniwersytet, nie jesteś hreczkosiejem, a gospodarstwo samo nie wypełni ci czasu, bo masz rządce, ekonomów... Czemu się do Czego nie weźmiesz? Ale nie, panicz ożenił się z najpiękniejszą i najlepszą dziewczyną, a teraz nudząc się pędzi...

— Panie hrabio!

— Nie unos się, nie unos kochanku, to się na nic nie przyda! Wy mnie macie za oryginała, warjata, głupca. Bóg wie za co, ale ja mam oczy za was i za siebie. Wiem ja co się dzieje, ale wpierv tu na mojej dłoni włosy wyrosną, nim zrobisz jakie głupstwo!

Hrabia mówił szybko, dobitnie, mierząc ciągle młodego człowieka wzrokiem przenikliwym,

pod którego wpływem magicznym on swoje oczy w dół spuścił.

— Czy pomyślałeś ty kiedy o poczciwym waszym ojcu, he ? Coby on powiedział, gdyby zobaczył co tu się dzieje, he? Umarłby, umarł ze zgryzoty... A dowiedz się także, że tylko ty warjujesz... tak, tak, tylko ty... Ale prawda, mówiłeś coś o hrabinie, E! ona już pojechała i nigdy tu nie wróci. Wierz mi, nigdy...

Edmund podrażniony w najwyższym stopniu byłby może co odpowiedział, ale hrabia jakby uprzedzając jego zamiar, powstał szybko, przystąpił doń i ujął go za rękę.

— Nie gniewaj się mój chłopcze jeśH jaką przykreść usłyszałeś... Ja wiem, że to obłęd chwilowy, w tobie gra krew młoda. Prawdę powiedziała Hermina, że młode piwo musi wyszumieć, i tylko to mię boli, że szumi właśnie teraz i wśród takich okoliczności... Ale tyś dobry Edmundzie, ty masz honor!

Edmund stał jak skazaniec. Czuł, że zaprzeczenie byłoby śmiesznem, usprawiedliwianie się grzesznem.

— Bądź teraz zdrow panie Edmundzie, i jeśliś mężczyzna, wróc prosto do domu, jarmark odbędzie się i bez ciebie!

Młody człowiek wyszedł, siadł na wózek

i kazał zaciąć konie. "Wstyd palił mu policzki, namiętność sypała żar w żyły. Gdy dojeżdżał do końca alei topolowej zawołał na Grzesia, by wstrzymał konie. Na prawo wiodła droga do Romanówki, na lewo do miasteczka. Po kilkakroć potarł czoło, by zebrać myśli rozbite, spojrzął na obie drogi, przygryzł usta do krwi, nareszcie krzyknął:

— Na lewo!

W chwili gdy Edmund wychodził z salonu, hrabia zadzwonił na służącego, któremu polecił, by natychmiast zaprzężono do powozu. Mąż Toni nie wjechał jeszcze na drogę prowadzącą do miasteczka, gdy hrabia pędził już drogą inną, przez wieś, prosto do Romanówki.

Widok wchodzącego hrabiego ucieszył i zadziwił Tonie. Ucieszył, bo mimo całej jego oryginalności miała dlań sympatje, leć większą, że znała go od dziecka jako przyjaciela sweo ojca, a zadziwił, bo p. Olpiński bardzo rzadko z domu wyjeżdżał i od pół roku nie był w Romanówce. Oryginał przywitał ją jak córkę, popieścił malca, który zrobił duże oczy na widok gościa nieznanomego, wypytywał o gospodarstwo, o zajęcia domowe, wreszcie o Edmunda, jakby go od niepamiętnych czasów nie widział. Gdy Tonią odpowiadała, wpatrywał się uważnie w jej blade

twarzyczkę, chcąc może zgłębić, czy mówi szczerą prawdę, a gdy wspomniała, że mąż pojechał na jarmark i prawdopodobnie wkrótce powróci, hrabia przerwał jej nagle słowami:

— Bardzo mię to cieszy, bardzo! Jak widzę jesteście szczęśliwi... lecz czemu kochana, pani tak blade wygląda? Czy przypadkiem nie zmartwienie jakie?

— Nie... ale mój mały nie daje mi spad po nocach, na niańkę tak trudno się spuścić.

— To źle, bardzo źle! Kochana pani przy swoim wątleń zdrowiu powinnaś się szanować, w nocy wstawać jak najrzadziej. Jak skoro zobaczę męża, powiem mu, by panie wyręczał, kiedy na słuę nie możecie się spuścić.

— Nie czyń tego panie hrabio, bo Edmund gotów myśleć, że się skarzę... Zresztą sam pan przyznasz, że kołysanie dzieci po nocach nie jest zajęciem dla mężczyzny.

— Czemu nie? — podchwycił oryginał. — Alboż to nie jego dziecko? Może jeździe po jarmarkach i po całych dniach próżnować, to w nocy może także wstać na chwilę i nie narażać żony. Ja to rozumiem, chociaż nie jestem żonatym, a może właśnie dla tego, że nim nie jestem... Moja pani kochana jest atoh nadto dobra, nadto pobłażliwa, a to źle... bardzo źle!

Hrabia pogroził jej palcem z uśmiechem tak czułym, na jaki mógł się zdobyć, potem mówił dalej:

— Wiem ja co to słabość, wiem i dla tego ostrzegam panią, byś była energiczniejszą. Ja na przykład dla mojej siostrzenicy mam taką słabość, że przykrego słowa nie mógłbym jej powiedzieć, choćby na nie nawet zasłużyła... lecz ona nie zasługuje, nie... wierz mi kochana pani, to bardzo dobra osoba... Dla tego jeszcze raz powtarzam, więcej energii i krótko trzymać pana męża.

Tonią słuchała z oczyma w dół spuszczone. Hrabia widząc, że twarzyczka młodej kobiety bardziej pobladła, przeszedł szybko na inny przedmiot, i zaczął opowiadać rozmaite facecje, aby rozweselić piękną gosposię. Przeszło godzinę bawił oryginał w Romanówce, a chociaż dał nie jednę dobrą radę odnoszącą się do gospodarstwa domowego, ogrodu i dziecka, jednakże ani raz nie zacytował Montesiiujusa. Snać wygodniej mu dziś było w roli człowieka niż uczonego. Po wczesnym objedzie hrabia wrócił do Warnowiec.

v.

Edmund pędził do miasteczka z myślami, których by mu pewnie nikt nie pozazdrościł. Pragnął zobaczyć Herminę i bał się z nią spotkać. Gniewał się na hrabiego i w duchu przed nim się korzył; wstydził się myśleć o Toni — a przecie w myślach ciągle mu stawała. Sam czuł, że stan jego duszy nie był naturalny ale gorączkowy. Na ćwierć mili przed miastem spotkał Herminę wracającą do domu. Przed faetonem jadący dżokej prowadził pięknego konia pół krwi angielskiej.

— A, pan Edmund! — zawołała wesoło gdy się zrównali — dopiero teraz, bardzo pięknie! Nawet mi pan nie pomogłeś potargować się trochę z pełnomocnikiem księcia Romana, który zabrał mi dwieście dukatów za jednego konia.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział Edmund zbliżywszy się do faetonu, aby uściskać podaną sobie rączkę — ale nie powiedziałem, że pani będziesz na jarmarku w takim interesie.

— Alboż nie mówiłam panu, że tego roku musimy razem zapolować z chartami? Jak widzę lepszą mam pamięć. I pogroziła mu z lubym uśmiechem.

— Jam to za żart uważał.

— Bynajmniej! I aby pana przekonać, że serjo mówiłam, rozkazuję — tu głos jej brzmiał poważnie — abyś po jutrze rano był gotów i czekał mego przyjazdu.

— Z największą przyjemnością... nawet z niecierpliwością...

Oko pięknej kobiety błysło demonicznie, gdy Edmund ostatnie słowo wymówił.

— Prawda żeś pan niecierpliwy, ale mam nadzieję, że razem z Tonią nauczymy pana tej cnoty kobiecej... A teraz do widzenia panie Edmundzie. Dziś jeszcze muszę się przekonać, czy mój nowy Anglik nie skompromituje wielkiego narodu, którego krew w jego żyłach płynie: pojutrze zmierzmy się, w otwartym polu. — Podała mu rękę, czule ją uściskał, i rozjechali się w dwóch kierunkach przeciwnych.

Przypadkowym świadkiem ich spotkania był hrabia Dziunio, który wracając także z jarmarku drogą poprzeczną, zobaczył na szosie dwa stojące ekwipaże. Zdjęty ciekawością, wyjął z torby binokle, i mimo znacznego oddalenia poznał roz-

mawiających. Właścicielowi Spedygo musiało się podobać to odkrycie, bo schowawszy binokle, z zadowoleniem poprawił kołnierzyki, zdjął kapelusz, grzebykiem który miał wiecznie w bocznej kieszeni tużurka, przygłądził sobie włosy i rozkazał woźnicy by pędził do domu co konie wyskoczą. W domu przebrał się, oblał perfumami z dwóch

różnych flakonów, z których jeden miał etykietę angielską a drugi francuską, zjadł prędko objad, wydał dyspozycje, kazał zaprządź do dziga i ruszył do Romanówki.

Dla Toni dzień ten był dniem samych niespodzianek. W kwadrans po wyjeździe pana Olpińskiego, zjawił się pierwszy lew powiatowy, hrabia Dziunio. Młoda kobieta chciała go nie przyjąć, lecz dzielny młodzieniec tak szybko skoczył na ziemię, i z takim impetem rzucił się w drzwi prowadzące na ganek, które po wyjściu oryginała nie były jeszcze zamknięte, że Tonią nie miała czasu urzeczywistnić powziętego postanowienia. Za to zemściła się zaraz na wstępie, bo gdy dawny jej wielbiciel chciał ją w rękę pocałować, ona szybko ją cofnęła, mówiąc: — Witam pana.

Dziunio uśmiechnął się dziwnie słodko, poprawił kołnierzyki, przyglądził włosy, rzucił monokl w oko i jak zwykle rozpoczął dyskurs od

pogody a potem od zapytania, jak się pani bawi? Tonią odpowiadała krótko i niechętnie, uskarżając się na brak czasu i wielkie w domu zajęcie. Pełen nadziei młodzieniec nie chciał tego zrozumieć.

— Pani zanadto się maltreluje; z domem i gospodarstwem — przemówił tonem prawie protekcyjnym. — siędzenie na wsi musi wreszcie zmęczyć, znudzić... Pani potrzeba koniecznie towarzystwa, kogoś coby panią zrozumiał i ocenił... Edmund naprzykład dobrze to pojmuje, i właśnie przed południem widziałem go w bardzo miłym teteatete z naszą piękną amazonką.

Tonią słuchała z niepokojem w oczach. Gdy mówiący skończył i o krok się przybliżył, zona Edmunda szybko powstała, krew zarumieniła jej jagody, spojrzenie zrobiło się poważne, nawet surowe — a przez drobne usta wyrwały się słowa:

— Panie hrabio dosyć tego! Czy mi potrzeba towarzystwa, o tem najlepiej sama będę wiedziała, w każdym atoli razie mogę cię hrabio upewnić, że nie życzę sobie towarzystwa ludzi, którzy przyjeżdżają po to z wizytą, aby przed żonami obmawiać mężów nieobecnych!

Z temi słowy wyszła z salonu. Hrabia Dziunio spojrzał za odchodzącą i okrył się poważną

toga milczenia. Potem odzyskując dawną swobodę, zbliżył się do zwierciadła, wyjął grzebyk, przyglądził włosy, poprawił kołnierzyki, i mruknął do siebie.

— Jak mamę kocham, ma temperament, ma! Szkoda tylko, że parafianka...

Kilka minut chodził jeszcze po salonie, zaglądając ciekawie za portjery czy kto się nie zjawi, lecz gdy to nie nastąpiło, chrząknął, wziął kapelusz, wyszedł przed ganek, dostał się na kozieł dżija, który stał na dawnym miejscu, i z najlepszą w świecie fantazją wyruszył z powrotem.

Edmund przyjechawszy do miasteczka, zastał z małemi wyjątkami prawie wszystkich sąsiadów i kilkunastu znajomych z dalszych okolic. Przyjęli go z rozwartemi ramionami jakby im tylko jego brakowało.

Na głównym placu ścisk był nieznośny, a wrzask tu panujący mógł zdenerwować najsilniejszy organizm. Kilkaset chłopskich wozów mieszało się z wózkami i budkami żydowskiemi — przed domami, gdzie w oknach i w bramach stali kupcy, prezentowano konie najrozmaitsze — ten na cały głos chwalił, ów jeszcze głośniej ganił, trzeci krzyczał, inny bił natrętnych, piąty płakał, szósty ciągnął za połę uciekającego, który w czas

się opatrzył, że go chcą oszulić, podstawiając kaleki zamiast koni zdrowych — miejscami stróże publicznego porządku torowań drogę jakiemu ekwipażowi — a od czasu do czasu, gdy wrzask piekielny przycichł na chwilę, dawał się słyszeć na jednym rogu placu głośny okrzyk; Świże pricle! któremu po drugiej stronie wtórowały niemniej donośne wołania: Heisse Bobes! Pomarańcze po pięć! po pięć!

Ekonom, którego Edmund naprzód wysłał, sprzedał był już dobrze dawną czwórkę i wybrał nową, z którą czekał do przyjazdu swego pana. Edmund przelotnie spojrzawszy na konie, wypłacił cenę umówioną i ekonomowi kazał natychmiast wracać do domu. Sam zaś w towarzystwie pana Damazego, który pierwszy się znalazł i jak duch opiekuńczy na krok go nie odstępował, poszedł na objad do kasyna, gdzie się zebrali wszyscy znajomi.

— Edmundzie! Damaziu! tu, tu! — zagrzmiało kilka głosów od stołu, przy którym były jeszcze wolne dwa miejsca.

— Jak się masz Edmundzie! — zawołał znany nam pan Jakób — tak się w domu zasiadziałeś, że ani cię zobaczyć.

— Dogląda gospodarstwa — odpowiedział

za Edmunda pan Damazy z uśmiechem dwuznacznym.

— Nie dziwota, młody żonkoś! — ozwał się głos trzeci.

— Ktoby tam wierzył w jego gospodarstwo! — przemówił czwarty z obecnych — zhardział i basta.

— Prawda, żyje tylko z hrabiami, a na szlachtę z góry patrzy — potwierdzili inni.

— Dajcie mi święty pokój z hrabiami — odparł Edmund zniecierpliwiony.

— Nie wypieraj się bratku, nie wypieraj! — zawołał pan Jakób. — Przecie pani Hermina była tu przed godziną aby kupić konia i sama mi mówiła, że macie polować z chartami.

— Ale to kobietka! — zadzwonił głos jakiś młodzieniaszka od szarego końca stołu. — Szyk nielada! Cudowny szyk! Jabym sam z nią zapolował.

Edmund zmierzył młokosa, którego opiekun przedwcześnie zrobił pełnoletnim, wzrokiem zimnym i wzdardliwym.

— Nie sroż się tak bardzo — przemówił pan Damazio, uderzając go lekko po ramieniu — nikt nie zaprzeczy że to smaczny kąsek.

— Mój Damaziu — odparł Edmund — nie dziwię się młokosom, ale wam... żonatym...

— żonaci najlepiej się na tem znają, bo żonaci... — zaśmiał się pan Jakób, a podnosząc kieliszek zawołał: — Napijmy się! Kochajmy się!
Wypili, napełnili drugie, i gwar zrobił się jeszcze większy. Edmund chciał wstać i odejść; kochani sąsiedzi gwałtem go zatrzymali.
— Zostanę — rzekł siadając — ale pod warunkiem, że o damach mowy tu nie będzie.
— Dobrze, dobrze! Za zdrowie dam! — zawołano z kilku stron naraz.
Dotrzymali przyrzeczenia; o pani Herminie nikt już nie wspomniał.
W wesołym towarzystwie czas prędko zbiega i biesiadujący ani postrzegli, kiedy się wieczór zrobił. Wszak wielki jarmark odbywał się w powiecie tylko raz do roku, wszak wszyscy kochali się tak szczerze, mimo że sąsiad z sąsiadem bezustannie procesował się o miedzę, krzaki, wodę i łąki — wszak jeden drugiemu miał tyle do powiedzenia! Właśnie gdy chciano wstać od stołu, jak bomba wpadł do sali okrągły pan Krzysztof, a rozglądając się w około przybiegł natychmiast do stołu naszych znajomych.
— Chwała Bogu że was jeszcze zastałem! — krzyknął na cały głos, ściskając kolejno każdego za rękę. — Słowo honoru, panie dobrodzieju, bałem się czyście się już nie rozjechali. Tożto dziś

byłem w opałach! Dopiero przed kwadransem wróciłem sznelleuqiem z miasta, gdzie zostawiłem żonę z dziećmi. Wyobrażcie sobie, moja stara uparła się bym Kostusię oddał do „sakraker”, czy jał się tam do licha nazywają, a mego Jaśka do pensjonatu. Cały dzień targowałem się, słowo honoru panie dobrodzieju. Strach jak drogo!
— A dobiłeś targu? — ktoś zapytał.
— Jużci dobiłem, bo się stara uparła... ale słowo honoru, dałbym pięć reńskich żeby było taniej. Lecz nie koniec, gdzie tam! Moja stara uparła się znowu, że przy dzieciach tydzień zostanie, i rad nie rad musiałem ją zostawić. Strach co mnie ten tydzień będzie kosztował. Najmniej pięćdziesiąt reńskich, strach! Ale taka już moja natura, ja dla dzieci panie dobrodzieju wszystko, słowo honoru, wszystko!
— Więc tyś teraz wdowcem słomianym! — zawołał pan Damazy. — Witaj nam wdowczyku witaj! I aby ci ulżyć w twojej samotności, wybierzemy się zaraz wszyscy do ciebie na herbatę i kolacyjkę.
— Na herbatę? Na kolacyjkę? — powtórzył pan Krzysztof tonem nierównie niższym, wpatrując się niespokojnie w Damazia.
— Mieszkasz przecię najbliżej, a dobry szlachcic był zawsze gościnnym.

— Prawda, Damaziu, słowo honoru prawda Jakem szlachcic tak was proszę na herbatę i kolacyjkę, ho taka już moja natura, że dla kochanych sąsiadów wszystko, słowo honoru wszystko choćby krwi z pod serca! A jakie mara winko Tokaj ośnidziesięcioletni... mój dziadek przecho wywał go w swojej piwnicy.

— Mówi o dziadku, a tymczasem jeszcze jego ojciec brał harapem na łanie — szepnęła pan Damazy do jednego z najbliższych stojących.

Zaczęły się prośby i wymawiania. Pan Krzysztof błagał każdego z osobna, ręcząc słowem ho noru, że największą sprawi mu przyjemność, jeżeli zajrzy do jego domu. Jedni oświadczyli gotowość wyjechania natychmiast, drudzy chcieli uniknąć pana Krzysztofa i jego tokaja. Do tych należał Edmund. Po krótkim oporze, powiodło się jednak panu Damazemu przełamać opór młodego człowieka, a gdy szanowny właściciel Dąbrówki z przyległościami w dodatku zaręczył słowem honoru, że do czternastu dni będzie nowy prom na wodzie, jeżeli kochany sąsiad nie pogardzi jego kolacyjką, Edmund usunął ostatnie skrupuły i wkrótce znalazł się na wózku pana Damazego. Grzesz wiozł dwóch innych sąsiadów, z których jeden przechylał się na prawo gdy

drugi grawitował ku lewej stronie, bo już od godziny obydwoj byli pod dobrą datą.

Edmund był poniekąd rad temu projektowi. W tym jednym dniu tyle doznał wrażeń, że jakiś czas potrzebował być jeszcze zdala od domu. Jeżeli hrabia wszystkiego się domyślił — to kto wie czy się i Tonią nie domyślała... Przed nią jedną nie miałby teraz odwagi stanąć, jej tylko jednej nie umiałby spokojnie spojrzeć w oczy...

VI.

Pan Krzysztof należał do wybitniejszych osób w powiecie, a nawet w całym dawniejszym obwodzie. Wprawdzie stanowiska swego nie zawdzięczał wielkiemu rozwojowi siatki mózgowej, bo jeżeli hr. Olpiński utrzymywał, że kobiety uciekają od historii i filozofji jak czart od wody święconej, to o panu Krzysztofie możnaby powiedzieć, że tak samo unikał każdej książki, skutkiem czego zaledwie nauczył się czytać i pisać; ale że miał kilka folwarków intratnych i pół miliona w gotówce, o czym powszechnie wiedziano, więc mimo ubóstwa intelektualnego, należał do potęg, z którymi świat chętnie się liczy.

Dziad pana Krzysztofa był prostym wieśniakiem, ojciec awansował już na ekonoma u jakiegoś magnata na Podolu.

Magnat był rozrzutny, ekonom oszczędny; magnat trwoniał majątek za granicą, ekonom tuczył się w domu pieniędzmi

swego pana ; magnat stracił wszystko i zamieszkał u zięcia na łasce; ekonom zebrał kilkadziesiąt tysięcy, które synowi zostawił. Otrzymawszy taki kapitał, p. Krzysztof zaczął wypasać woły i karmić wieprze, które do Niemiec wysyłał. Majątek rósł w jego rękach jak na drożdżach, a gdy wystawiono Dąbrówkę na licytację, kupił ją tanio i został szlachcicem.

Najbieglejszy heraldyk nie mógłby może udowodnić, jakim herbem pieczętuje się rodzina Parczuków, do której pan Krzysztof miał zaszczyt należeć; ale odkąd właściciel Dąbrówki z przyległościami przetrwał się parczukowskim, sprawa była nierównie łatwiejszą, bo odtąd do herbarza nikt już nie zaglądał. Mała wioszczyna i nazwisko kończące się na ski lub cki robią u nas każdego szlachcicem, cóż dopiero jeśli takie nazwisko jest poparte pięciu wioskami w 'pszennej ziemi i pół miljonem w gotowiźnie! To już nie szlachcic prosty, to magnat cały! Mimo to pan Krzysztof nie lubił, gdy w jego obecności mówiono o dorobkiewiczach, pozujących na szlachtę rodową; za to przepadał za tymi, którzy zwracali się doń mówiąc: My szlachta! Wtedy był gotów wszystko uczynić, nawet pieniędzy pożyczyć, chociaż była to z pewnością najdrażliwsza struna w jego duszy, tak zresztą wylanej dla kochanych sąsiadów

i stokroć droższej braci szlachty. Stabą tę strunę Damazio w czas odkrył, to też grał po mej kiedy i jak chciał. Pan Krzysztof musiał lubić pieniądze, bo jak wiemy, prócz pospolitego przysłowia spanie dobrodzieju" — miał jeszcze drugie, własne „dałbym pięć reńskich — i musiał być bardzo oszczędnym, gdy w nadzwyczajnych tylko wypadkach cyfrę pięciu podnosił do pięćdziesięciu i stu reńskich. Tu jednak zatrzymywał się, i z sąsiadów nikt jeszcze nie słyszał, by właściciel Dąbrówki z przyległościami zagalopował się kiedy po za ową granicę stureńskówką, którą mu oszczędność zakreśliła. W początkach, gdy zamieszkał w powiecie, sąsiedzi nie mogli wstrzymać się od śmiechu, ilekroć usłyszeli to dziwaczne przysłowie; później przestali na nie zważać, bo do czegoż człowiek nie przyzwyczai się z czasem.

Gdy wózki z gośćmi zajechały przed ganek, dwór był już oświetlony a giorno; gospodarz wyprzedziwszy wszystkich wpadł pierwszy do domu i tak głośno, że go na drodze było słychać, wydawał rozkazy całej służbie męskiej i żeńskiej. W lot pojawiło się wino, herbata, potem mięsiwa, czego kto zapragnął.

— Proszę panów, jedźcie, pijcie! — wołał gospodarz ocierając pot z czoła, — Dla kocha

nych moich sąsiadów wszystko, słowo honoru wszystko, już taka moja natura! Może wódeczki, może herbaty... może kapłona, pieczeni, jendyka; może wina lampeczkę I A dobre wino, słowo honoru dobre, prawdziwy tokaj stuletni. Jeszcze mój pradziad ściągał go w swojej piwnicy. Proszę kochanych sąsiadów, proszę, przecie my szlachta pić umiemy!

Goście pili, śmieli się, żartowali, gospodarz uśmiechał się także z zadowolenia.

Edmund siedział w tłumie osamotniony, z twarzą stosowniejszą na pogrzebie, niż w towarzystwie tak wesołym. W rękę trzymał kieliszek złotym płynem napemiony — w nim utonęło jego spojrzenie. Widział Herminę wracającą z miasteczka, widział jej uśmiech zagadkowy a tak luby, czuł uścisk jej rączki — słyszał jak mu powiedziała, że wraz z Tonią nauczy go cierpliwości... Co to miało znaczyć?... Jakie jej zamiary? Ona... i Tonią?...

Ścisnął kurczowo kieliszek w dłoni tak gwałtownie, że aż złoty napój na stół bryznął, i podniósł go do góry wołając;
— Zdrowie gospodarza!
— Zdrowie! Niech nam sto lat żyje! Kochajmy się! — zagrzmiało do koła.
Spełnili toast, potem drugi, trzeci. Edmund

nie opuścił żadnego — twarz mu poczerwieniała — oko lekko krwią zabiegło. W miarę, jak się wypróżniały kieliszki, stawał się weselszym, mowniejszym, prawie odurzonym.

— Tak, to lubię! — zawołał gospodarz, który sam prawie nie pił, rzucając się Edmunciowi na szyję. — Pan Krzemiński siedział ciągle jakby trzech zliczyć nie umiał, ale słowo honoru, teraz widzę że pan nie arystokrata.

— Nie! nie! — wtórowali drudzy, — on szlachcic, dobry szlachcic!

— Słowo honoru ja zawsze mówił, że my szlachta nie damy się! A ci arystokraci, słowo honoru dałbym pięć reńskich, żeby ich djabli wzięli!

— Ma rację, ma rację potwierdził jakiś głos chrypliwy.

— Ale panowie nie jedzą, nie piją, proszę, bardzo proszę, ja dla kochanych sąsiadów wszystko, choćby krwi z pod serca, słowo honoru wszystko, już taka moja natura.

Było po północy, gdy do sali wszedł służący gospodarza. Zbliżywszy się do pana Krzemińskiego, powiedział, że w przedpokoju czeka Grześ i prosi, by jego pan raczył wyjść na chwilę. Edmund zdziwiony szybko powstał i niepostrzeżenie wymknął się do przedpokoju.

— Czego chcesz? — zapytał chłopca?

— Proszę jaśnie pana, możeby już czas, — rzekł Grześ zakłopotany.

— Co za czas, jaki czas?

— Możebyśmy do domu pojechali, już kury... Nie dokończył bo pan gniewnie przerwał.

— A tobie co do tego! Już ja wiem kiedy czas! Idź i koni pilnuj, a tu mi się nie pokazuj

Grześ wyszedł zasumowany, Edmund wrócił do towarzystwa. Przy zielonym stoliku zebrało się tymczasem kilkunastu panów. Grano w djabełka. Damazio stał pośrodku z kartami w rękach.

— Edmundzie! Edmundzie! — zawołał na wchodzącego, pociągnij kilka razy, bo nawet nie wiemy, czy masz szczęście w karty.

— Dajcie mi pokój, ja w karty nie grywam, nawet ich nigdy w rękę nie miałem.

— Ale popróbuj Edmundzie! Człowiek dojrzały powinien wszystko umieć. Popatrz tylko jak to łatwo. Jedna twoja, druga bankowa. Bijesz ile ci się podoba, na przykład pięć reńskich, ulubioną kSvotę kochanego gospodarza... Raz, dwa, trzy — widzisz byłbyś wygrał.

— Nie będę grał, nie będę, nawet pieniędzy nie mam przy sobie.

Sąsiad dobrodziej nie ma pieniędzy? — zar

wołał pan Krzysztoł, wyjmując z bocznej kieszeni surduta niepospolitej grubości pugilares. — Wszystko co mam na pańskie usługi! Słowo honoru, cały majątek... taka już moja natura.

— Nie odmawiaj Edmundzie — perswadował luby Damazio; — kochany nasz gospodarz mógłby się obrazić, a jak co przegrasz, to mu jutro oddasz. Przecie nie jesteś sknerą.

Edmund był jeszcze zbyt młodym, by mógł słuchać obojętnie strzałów wymierzonych przeciwko jego miłości własnej. Jakiś czas opierał się jeszcze, ale gdy pan Damazy przypuścił ponowny atak do jego ambicji, wziął pugilares i usiadł przy zielonym stoliku.

Zpoczątku kilka razy wygrał, co go zabawiło, a potem kilka razy przegrał i to go podrażniło. Zwiększał stawki — ciągle przegrywał. Tymczasem kieliszek napelniono mu tokajem, dokoła było tak gwarno, i wesoło, a Damazio po każdej przegranej nachylał mu się do ucha szepcząc;

— Widzę żeś w miłości szczęśliwy...

Grześ po rozmowie ze swoim panem poszedł do stajni. Tu chwilę podumał, potem od piął jakiegoś konia stojącego przy samej bra

mie, wyprowadził cichaczem, siadł i kierując go tylko uździenicą, a popędzając prętem, który z płotu wyłamał, ruszył prosto do domu. Koń był na szczęście bardzo dobry, kłus miał niezrównany; nie upłynęło pół godziny i Grześ był już w Romanówce. Wodę w bród przejechał.

Tonią przechadzała się po salonie, czekając na męża, gdy weszła służąca z oznajmieniem, że Grześ przyjechał. W pierwszej chwili biedna kobieta tak się przelękła, że chwyciwszy się za piersi nie mogła przemówić. Odzyskawszy jednak przytomność, dała znak ręką, by chłopiec zaraz przyszedł i zsunęła się bezwładnie na fotel najbliższy.

— Ty sam? — zapytała wchodzącego.

— Sam, proszę jaśnie panią... ale to nic... My jesteśmy w Dąbrówce, tam tak wesoło, tak się bawimy! My tu zaraz wrócimy.

— Więc pan przysłał cię by mnie uspokoić?

— Aha... tak, pan przysłał... My tu proszę jaśnie panią zaraz wrócimy, niech jaśnie pani będzie spokojną.

— Dobrze, dobrze mój Grzesiu. Kłaniaj się panu i powiedz, że jestem spokojniejszą...

Po odejściu służącego. Tonią wolniej odetchnęła.

Właśnie gdy Grześ wróciwszy przez nikogo niewidziany przypinał konia w stajni, pan jego przegrał szósty tysiąc, co gospodarz dla pamięci zanotował na ćwiartce białego papieru. W tej samej chwili gdzieś daleko we wsi dat się słyszeć żalony głos dzwonka.

— Co to? — zapytał Edmund karty z rąk puszczając i głowę do góry podnosząc.

— Dzwonią na Anioł Pański — odpowiedział ktoś z obecnych.

Edmund spojrzął na zegarek.

— To być nie może, dopiero czwarta.

— Aha! — wtrącił gospodarz — to pewnie księżzowa umarła. Biedna kobieta chorowała od pół roku... pięcioro dzieci... pocziwe księżysko! Słowo honoru, dałbym pięćdziesiąt reńskich, żeby była żyła! Kłopot, słowo honoru kłopot, trzeba się będzie zająć sierotami.

— Wieczne odpoczywanie i — zakonkludował p. Damazy — a my żyjący do pracy, bo jeszcze dużo w banku.

— Bawcie się panowie, bawcie jeżeli możecie — rzekł Edmund powstając. — Mnie czas do domu. Polecam się łaskawej pamięci pana gospodarza... pieniądze przyślę za kilka godzin.

Ton jego mowy tak był poważny, że nikt mu się nie sprzeciwił. Spiącemi oczyma spojrzeli

po sobie i wszyscy zamilkli. Edmund skłonił się uprzejmie, poczem wyszedł.

Nie siedział jeszcze na wózku a już całkiem był trzeźwy. Ten żalony głos dzwonka oblał go jak zimną wodą. Grześ popędzał konie i konie biegły jak szalone, ale nad wodą musieli czekać całą godzinę zanim przewoźnicy nadeszli.

Konno można było w bród przejechać, wózkiem nie sposób; wprawdzie Edmund chciał tego koniecznie, ale Grześ stanowczo się sprzeciwił, ponieważ mimo niskiego stanu wody, rzeka miała prąd tak silny, że z pewnością byłaby wózek wywróciła i uniosła.

Już dzich robił się jasny, gdy do domu dojeżdżali. U wszystkich okien story były pospuszczane, z wyjątkiem jednego, które wychodziło z sypialni żony. Edmund wstrząsł się jak w febrze gdy przez to okno w głębi pokoju dostrzegł migające światło lampy.

Więc Tonią jeszcze czuwała! Wszedł cicho na palcach, minął przyległe pokoje, a odchyliwszy portjerę ponure spojrzenie rzucił przed siebie. W kolebce spało dziecko, obok niańka, we fotelu przed lampą zona. W ręce trzymała jeszcze książkę; znużoną tu sen zaskoczył. Piękna główka, jak z obrazu wycięta, spoczywała na piersi, którą od czasu do czasu ciężki

oddech podnosił, na ustach igrał uśmiech słodki, łagodny — ale bolesny...

Chwilę wpatrywał się w ten widok, lecz gdy śpiąca poruszyła się pod magnetycznym spojrzeniem męża, cofnął się przerażony i pobiegł do swojej sypialni.

VII.

ślicznym był wierzchowiec, którego pani Hermina kupiła ze stadniny księcia Romana Z zamkniętymi oczyma wart był dwieście dukatów i godnym takiej amazonki. Jak świetnie prezentował się, gdy prowadzony przez dżokeja trzeście dnia rano wychodził z Wamowiec do Romanówki, aby na rozległych łąkach pana Krzesińskiego pójść z chartami w zawody! Drobnymi nóżkami ledwie ziemi dotykał, a głowę ciekawie obracał patrząc czy jego pani nie nadjeżdża. Ale pani wysłała go o kilka godzin naprzód, z dwiema sforami chartów, które chłopiec pieszo prowadził. Sama zaś wybierała się dopiero o dziewiątej.

Edmund zarządził wszystko jak najlepiej, i już do dnia posłał leśnych z chłopcami, by z okolicznych knieji i krzaków, jak najwięcej zajęcy w pole wypędzili. Leśni spełnili polecenie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa łowy mogły świetnie wypaść.

Żałował tylko Edmund, że tego dnia nie czuł się dość silnym; głowę miał ciężką, w żyłach niby lekką gorączkę. Ale nie dziwił się temu. Całodziejmy jego sen wczorajszy był niespokojny, bo po tylu wrażeniach i nocy spędzonej przy grze hazardowej innym być nie mógł. Pocieszał się więc nadzieją, że ruch na wolnym powietrzu wróci mu dawną lekkość ciała i jasność myśli.

Gdy Hermina przyjechała w wytwornym stroju myśliwskim i według zwyczaju lekko a wesoło wbiegła do salonu, Tonią przywitała ją, uprzejmie, nawet serdecznie, jak za swoich lat panieńskich. Edmund stojąc na boku i patrząc na obie kobiety, z których jedna była podobną do melancholijnego poranka strefy północnej, druga do gorącego południa światów zwrotnikowych, nie wiedział którą nazwać piękniejszą. Obie były równo piękne, każda miała w sobie coś, co ją robiło zjawiskiem niecodziennym. Na twarzy Toni była rozlana słodycz — z rysów Herminy mogłeś wyczytać energię. Dusza pierwszej zamykała się w jej niebiańskim spojrzeniu, drugiej biegła niespokojnie w światy niewidzialne. Tonią mogła natchnąć miłością cichą, Hermina namiętnością gwałtowną.

W stanie, w jakim znajdował się Edmund, nie

hył zdolnym do robienia tych uwag; on tylko patrzył i podziwiał.

Napróżno piękna amazonka namawiała swoją przyjaciółkę, by im towarzyszyła przynajmniej w powozie, jeżeli pod żadnym warunkiem nie chce wziąć czynnego udziału w polowaniu. Na każde nowe przedstawienie, Żona Edmunda odpowiadała z uśmiechem melancholijnym:

— Już od dwóch lat nie jeżdżę konno, a w powozie mogłabym wam przeszkadzać... Prócz tego wiatr taki teraz chłodny, że Mundzio mógłby się przeziębnić, a bez niego nie wydalilibym się z domu ani na godzinę. Jedźcie, jedźcie moi mili, tylko uważajcie, bo na takich polowaniach przypadki często się zdarzają.

Jeszcze chwilę z sobą rozmawiały, potem Hermina ucałowała Tonie serdecznie, odjechała w towarzystwie Edmunda.

Tonią stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem odjeżdżających. Dopiero teraz, gdy rozmowa przestała ją ożywiać, gdy uśmiech wymuszony twarzy więcej nie zdobił, dopiero teraz można było postrzedz, jak młoda kobieta zmieniła się w ciągu ostatnich tygodni. Jak śnieg biała i przejrzysta niegdyś cera zrobiła się lekkożółtawą, oko utraciło połowę dawniejszego blasku i ciemnymi otoczyło się obwódkami, koralowe nieda

wno usta pobladły, jakby z nich krew spłynęła, twarz wyglądała znękaną, cała postać była przygnębiona...

Gdy orszak myśliwski zniknął we wsi za pierwszymi chatami, Tonią dłużej nie mogąc powstrzymać uczuć, które w sercu wzbierały, oburącz twarz sobie zakryła, a pobiegłszy do sypialni, padła na kolana przed łóżkiem, nad którym wisiał obraz Bożej Rodzicielki — i cichą modlitwą modlić się zaczęła. Błade usta ledwo się poruszały, a po każdym słowie łza jak perła padała jej z oka.

Długo skarżyła się tak przed Bogiem, prosząc o męstwo i wytrwałość, a potem wzięwszy synka, który właśnie się zbudził, i wbrew zwyczajowi nie zapłakał, złożyła mu drobne rączęta, i przyklękawszy z nim na ręku, podniosła palec do góry, zwracając uwagę dziecka na obraz wiszący. Malec wytrzeszczył oczy niebieskie, a matka korzystając z tej chwili, zaczęła mówić za syna:

— Bozio... daj szczęście memu tatkowi i mamie... Bozio zlituj się nad nimi, bo oni bardzo biedni... Bozio dopuść, by tatko mamę kochał...

Krótkiej modlitwy nie mogła dokończyć; już nie ciche ale głośne łzy buchały jej z oczu, i Mundzia po kilkakroć przycisnęła do serca, szepcząc niezrozumiałe dlań słowa:

— o biedna sierotko!

W tym samym czasie jej mąż, a ojciec tego dziecka, jechał obok pięknej amazonki; już dość długo opowiadał coś swobodnie i śmiało się ochoczo. Ale Hermina przerwała opowiadanie, bo wpatrzywszy się bystro w towarzysza, szybko zapytała:

— Co to znaczy panie Edmundzie, że dziś tak źle wyglądasz?

— Jakaś niedyspozycja od przedwczoraj.

— Zapewne w mieście, w miłym towarzystwie ?

— Przeciwnie, na wsi... byliśmy u pana Krzysztofa, który nas podejmował z niesłychaną rozrzutnością. Wino było w rzeczy samej bardzo dobre.
— Czy był i pan Damazy?
— Był.
— W takim razie musiał djabełek odegrać także rolę niepospolitą. Czy i pan grałeś?
— Chwilę... niewysoko...
— I pan się tego nie żenujesz?
— Nie mogłem się wymówić.
— Wstydź się panie Edmundzie, wstydź! Tłumaczysz się jak młodzieniaszek, który nie mając żadnej siły nad sobą, usiłuje słabością usprawiedliwić swoje błędy. Przecie pan jesteś

mężczyzną, przytem żonatym! Ale prawda, wy żonaci jesteście ponoś najlekkomyślniejsi, i nie raz kawalerowie od was się uczą... Czy tak? Przyznaj się panie Edmundzie.

— Słowa pani były tak surowe, że aby oprzeć się ich potędze przygniatającej, potrzeba by nierównie więcej siły jak ta, którą ja rozporządzam. Sąd i wyrok przyjmuję zatem bez apelacji.

— Bo pan wiesz, że słusność jest po mojej stronie, chociaż okoliczność, że nie bronisz swoich błędów, przemawia w części na twoją korzyść... Przypominasz sobie panie Edmundzie, cośmy ze sobą rozmawiali w dniu twoich zaręczyn?

— Myśmy tyle wtedy mówili!

— Ale czy pamiętasz to, co w naszej rozmowie mogło być najważniejszym?

— Doprawdy, nie mogę sobie przypomnieć.

— Co mnie też nie dziwi... Wy panowie o przysięgach i przyrzeczeniach już na drugi dzień zapominacie, bo wy mężczyźni, którym wszystko wolno! Otoż mówiłeś pan wtedy, że dołożysz starań, by stać się godnym Toni i zasłużyć sobie na jej miłość najgoretszą. Uczyniłeś to panie Edmundzie ?

— Zdaje mi się.

— A mnie się nie zdaje.

— Jakto?

— Bo już od dłuższego czasu uważam, że Tonią jest smutną, mizernieje, jaliby co w głębi serca ulcrywała. Nie należąc do niedyskretnych, nie zgłębiam jej tajemnicy, nie zadaję pytań, któreby ją może bolały, ale przeczucie mówi mi, że jest coś, co chyba pan jeden mógłbyś zbadad i usunąć.

Mówiąc to hrabina bystrem, a równocześnie tak lubem spojrzeniem mierzyła Edmunda, że ten nie mogąc znieść światła bijącego z jej oczu, spuścił swoje na trendzie, którą w rękach trzymał... i twarz lekko mu bladła.

— Przypuszczenia pani są mylne — odpowiedział po krótkim wahaniu — tajemnic między nami nie ma żadnych, a jeżeli Tonią trochę smutna i mizerniejsza, to powody są bardzo naturalne.

— Jakie, jeśli wolno wiedzieć?

— Oto z matką żyjemy na stopie bardzo etykietałnej... ojciec, którego tak kochamy, dotąd mie wrócił...

— Ależ mój panie Edmundzie, to trwa ciągle, tymczasem przez dwa lata Tonia była najszczęśliwszą i dopiero ostatnimi czasy nastąpił zwrot gwałtowny.
— Zechcesz pani także wziąć w rachubę.

że dziecko było chore cały tydzień, że w nocy nie spi spokojnie, co matkę bardzo męczy, i że...

— I co?

— I że ja czuję się teraz chorym, co Tonie także zatruwa.

— Cha! cha! cha! to wyborne! Biedny panie Edmundzie, ty jesteś chory, boś zawiele wypił wina w złym towarzystwie i zirytowałeś się djabełkiem. Cha! cha! cha! doprawdy jest się czem niepokoić.

— Pani lekceważysz moją słabość, tymczasem jest ona niebezpieczniejszą, niż na oko może się zdawać...

Hermina spojrzała na mówiącego, którego głos drżał lekko.

— I trudną do uleczenia? — zapytała.

— W każdym razie potrzebuję lekarstwa radykalnego.

— Zobaczmy... może się znajdzie. Czemu kobieta lubi niejasność, czemu rzuca

słowa, które tak rozmaicie tłumaczyć można? Hermina mówiła tak poważnie, że Edmund zaczynał się wytrzeźwiać, a zakończyła tak dwuznacznie, że szał znowu go opanował.

Długo obok siebie jechali w milczeniu. Edmund ciągle pytał się w duchu: co znacząły jej

słowa ostatnie? Hermina obojętnie przypatrywała się chartom, litore dżokeje prowadzili.

W chwili gdy nasi myśliwi wjeżdżali na łąk obszerny i równy, na którym spodziewano się zwierzyny, Tonia powierzywszy Mundzia niańce, z zapłakanymi oczyma usiadła przy biurku i zaczęła pisać list do ojca. W prawej ręce trzymała pióro, w lewej chusteczkę batystową. Po każdym prawie słowie przerywała, a przyłożywszy chustkę do oczu, namyślała się długo czy dalej pisać. Z największym wysileniem skreśliła zaledwie kilka wierszy, a widząc że siły nie pozwolą jej dokończyć, schowała list do teki.

Edmund i Hermina wjechali na łąk pokryty złotawym ścierniskiem. Niedługo trwało, a z bruzdy wyskoczył pierwszy zając i wystawiwszy słuchy, rzucił się w bok, aby dostać się do najbliższego lasu. Dżokeje pokazawszy chartom drogę, spuścili je ze smyczy, a wierzchowiec hrabiny przyzwyczajony do łowów, puścił się w ślad za niemi. Edmund chcąc sprostać amazonce, do krwi zranił ostrogą swego rumaka, i prędzej niżli się spodziewał zrównał się z piękną towarzyszką. Jakiś czas oboje pędzili jak huragan, a potem koń Edmunda skoczył w bok gwałtownie i dość czasu

ubiegło zanim go wstrzymał i obrócił. Gdy spojrzął w kierunku, w którym pędziła amazonka, postrzegł tylko rumaka uciekającego w pędzie szalonym — a na ziemi leżącą Herminę...

Powodem wypadku był zajęć drugi, który zerwawszy się nagle pod nogami, konie przestraszył.

W ważnych chwilach nie wiele się myśli — jeszcze mniej czuje; refleksja, a po niej ból lub radość dopiero później przychodzi. Edmund nic też nie myślał i dopiero gdy przykląkł obok leżącej, poznał ogrom nieszczęścia. Zdawało się, że nie żyła. Oczy miała przymknięte, twarz i usta blade, włosy rozwiane, bo upadający kapelusz zerwał przepaskę, która je podtrzymywała. Wziął ją za rękę — puls nie bit, i ręka bezwładnie upadła... Przyłożył ucho do ust — nie słyszał oddechu. Przerazony rozerwał guziki u amazonki opiętej, i pod rąbkiem białej bielizny ukazała się pierś gołębia. W oczach pociemniało mu z radości, bo ta pierś poruszała się lekkim oddechem.

— Żyje! — zawołał do dżokeja, który nadbiegł pierwszy i jakby w poczuciu, że popełnił świętokradztwo, z gorączkowym pospiechem zapiął amazonkę.

Wpół godziny na lektyce, zaimprovizowanej z gałęzi, myśliwi nieśli do domu piękną hra

binę, która żyła; ale do przytomności jeszcze nie wróciła.

Nikt sobie nie wyobrazi przestachu, jaki ogarnął Tonie, gdy przez okno zobaczyła orszak żałobny. W pierwszej chwili była bliską omdlenia, ale zebrawszy resztę sił, oparła się słabości i wybiegła naprzeciw nadchodzącym.

We dworze zakipiało. Hrabinę złożono w sypialni pani domu, a Edmund, który miał czas odzyskać przytomność, wysłał natychmiast konnych posłańców do Wamowiec i po lekarza. Tymczasem środkami domowymi cucono omdlałą; na szczęście nie trwało już długo, i piękna kobieta otworzyła oczy.

Niespokojnie spojrzała do koła, jakby na pamięć przywołując co się z nią przez ten czas działo, a zobaczywszy stojących przy łóżkach Edmunda i Tonie, podała im obie ręce mówiąc: — Dziękuję wam drodzy... i przepraszam! Przyjechał lekarz prędzej niż się spodziewano, bo posłaniec spotkał go na drodze jadącego na partje wista do pana Jakóba; dowiedziawszy się o przebiegu wypadku, i oglądnąwszy chorą, nakazał okłady z zimnej wody na głowę, zapisał receptę i wyjechał, zapewniając że nie ma niebezpieczeństwa.

Wkrótce po nim zjawił się pan Olpiński

z panną Marjanna, którą wziął do swego powozu. Oryginał nie był przestraszony, lekarz bowiem spokawszy hrabiego za wsią, najzupełniej gouspokoił, ale za to humor miał nieznośny. Wsiadłszy z powozu, na nikogo nie zwrócił uwagi,, i gospodarzowi zaledwie raczył się uklonić, chociaż ten bardzo uprzejmie witał go na ganku. Domyślając się gdzie

znajdzie siostrzenicę, adał się natychmiast do sypialni pani Krzemińskiej podumał przed łóżkiem cierpiącej, która leżała, w śnie głębokim, a mruknąwszy do siebie.

— Szalona! szalona! — chwilę stał jeszcze przypatrując się jej z rozrzwiniem; potem rzucił wzrok dokoła. Koło okna pod biurkiem postrzegł gospodynię domu.

— Przepraszam panią dobrodziejkę — rzekł cicho, — najmocniej przepraszam za nią i za siebie. Szaleństwo skończone! Widzi kochana pani do czego słabość prowadzi... Nie umiałem zakazać, i oto skutki.

Tonią chciała przemówić, lecz hrabia przeszkodził szybko dodając:

— Nie tu, kochana pani, nie tu, bo ja głuchy. Mogłaby się zbudzić.

Gdy przechodzili do innego pokoju, spotkali biegnącą pannę Marjannę.

— Idź waćpanna i pilnuj — rzekł hrabia —

a nic zapominaj często odświeżać okłady, bo zimna woda to najlepsze lekarstwo... lepsze niżeli ta cała medecyna, która nie warta funta kłaków.

W małym saloniku, oddzielającym pokój gospodarza od głównego salonu, zebrali się hrabia. Tonią i Edmund.

Wszyscy byli w nastroju poważnym bo chociaż nie było żadnej obawy, nikt nie mógł wesoło rozmawiać. Olpiński okazał się tak delikatnym, że o całym zdarzeniu jak najmniej mówił, nawet rzadko zwracał się do Edmunda. Rozmowę utrzymywał ciągle z Tonią, którą bezustannie miał o coś zapytać. Gdy noc zapadła, hrabia rzekł do gospodarza:

— Pan dobrodziej daruje, że i ja będę nadużywał jego gościnności. Sam nie mógłbym wrócić do domu, zresztą na dworze ciemno, a jutro mam nadzieję będziemy mogli wszyscy wyjechać.

Edmund wyszedł, aby zająć się stosownem urządzeniem gościnnego pokoju. Dom w Romanówce nie należał do zbyt obszernych, więc gdy gość został się na noc, sam gospodarz był zmuszony nie jednej rzeczy doglądnąć, aby nocujący nie skarżył się potem na brak wygody.

Gdy po niejakiem czasie wracał, obrał drogę inną, przez wąski korytarzyk, z kąd był wchód do garderoby, a przez nią do sypialni żony. Drzwi od garderoby były odchylone; u sufitu

wisiała paląca się lampa, lecz w pokoju nie było nikogo. Party sita, której nie umiał się oprzeć, przeszedł cicho garderobę, a znalazłszy drzwi od sypialni żony także odchylone, potrącił je lekko i tak stanął, że z boku zasłaniała go portjera.

Na łóżku Toni ujrzał uśpioną amazonkę, w półświatle lampy przysłoniętej. Obnażone i jak z marmuru wykute ramię bezwładnie spoczywało na białej pościeli, czarne jak helian włosy wymykały się z pod przepaski, która czoło chłodziła, rumieniec wywołany gorączką zdobił blade oblicze, a przez usta w pół otwarte dobywał się ciężki oddech. Równie piękną Hermina nigdy jeszcze nie była. Edmund tak się zatopił w tym widoku, że ani przypuszczał by był widzianym. Panna Marjanna siedząca na boku, postrzegła w zwierciadle, że drzwi się odchylają, a domyślając się kto nadchodzi, zachowała się spokojnie, śledząc dalej w zwierciadle każde poruszenie zięcia pani majorowej. Nie wiemy czy córka pani Pędrackiej miała równie dobry wzrok jak słuch, ale ona w tej chwili

była gotową przysiąc, że pan Krzemiński był bardzo blady, że oczy dziwnym gorzały mu blaskiem, i że wyglądał jak... jak zakochany.

— Mundziu, pan Olpiński niecierpliwi się, że cię nie ma — dał się za nim słyszeć głos Toni,

która męża wszędzie szukając, wreszcie tu go znalazła.

— Tonia!... Przepraszam cię... idę... Chciałem się tylko przekonać, czy się nie pogorszyło naszej pacjentce,

— Idź, idź Mundziu do gościa, już ja przy niej sama zostanę.

Odszedł — ale odchodząc nie spojrzął na żonę.

VIII.

Gdy po kilku dniach, pani Hermina całkiem zdrowa wyjeżdżała do domu z wujaszkiem, który przez cały ten czas na krok jej nie odstąpił, panna Marjanna całując hrabinę w rękę, prosiła o pozwolenie odwiedzenia matki, która miała być chora. Hermina chętnie pozwoliła.

Przyjechawszy do Wolicy, panna Marjanna wbiegła bez tchu do pokoju matki, która na szczęście była zdrową jak ryba, i w słowach urywanych opowiedziała jej swoje spostrzeżenia, poczynione w Romanówce. Pani Pędracka poszła z tem do majorowej; ta wysłuchawszy, kazała zawołać pannę Marjanę, aby z jej własnych ust wszystko usłyszeć.

Podczas opowiadania, pani Zawilska zachowała się dosyć spokojnie, udając, że przyniesione wiadomości nie zrobiły na niej głębszego wrażenia — ale gdy kluczniczka odeszła z córką, natychmiast otworzyła okno do ogrodu, chociaż na dworze

był już chłód jesienny, i o ile pozwoliła na lo jej tusza, zaczęła biegać po pokoju ciągle powtarzając :

— Nareszcie... nareszcie... Spodziewałam się tego... O, ta gadzina!

Gdy te słowa wymawiała, w oczach i na całej twarzy malowało się uczucie, jakie w nas wywołuje zaspokojenie miłości własnej.

Wyjęła kartkę papieru, ciężką ręką napisała słów kilka, a zapieczętowawszy posłała list Walentemu z rozkazem, by natychmiast pojechał po „młodszą panią.” Następnie przywoławszy Pędrackę szepnęła jej do ucha by jak najprędzej rozgłosiła między służbą, że „jaśnie pani” zachorowała. Po spełnieniu tego dzieła, usiadła na sofie, a obwiązawszy sobie głowę białą chustką, obstawiała się najrozmaitszymi flakonikami, i niby rzeczywiście chora czekała przyjazdu córki.

Tonią w nieobecności męża, który wyszedł na gumno, kończyła list do ojca rozpoczęty przed kilku dniami, gdy przed ganek zajechał Walenty z próżnym powozem. Przestraszona puściła z rąk pióro i sama na dwór wybiegła.

— Walenty, co to?... Gdzie pani?

— Jaśnie pani nie ma, powiadają że chora... Ale jest list.

— Mój Boże, chora! — Rozerwała kuwertę. — Chora! Nowe nieszczęście!

Posłała po męża; gdy ten przyszedł, powierzyła dziecko jego opiece, a ubrawszy się kazała Walentemu jechać jak najprędzej.

Tonią sama nie wiedziała, dla czego źródło jej siły dotąd się nie wyczerpało. Tyle gwałtownych wrażeń doznała w czasie stosunkowo tak krótkim, że każda inna na jej miejscu, byłaby uległa. A ona jeszcze się nie poddała, chociaż od dziecka lekarze nazywali ją wątłą, rodzice i znajomi słabą. Snać w boleści trzeba szukać u każdej niecodziennej kobiety źródła jej siły.

Jakież atoli było zdziwienie córki, gdy wszedłszy w największej trwodze do pokoju matki, ujrzała ją nie w łóżku, ale tuż przed sobą, a na szyi swojej uczuła jej pulchne ramiona.

— Mateczko! — zawołała głosem, w którym radość mieszała się ze zdziwieniem. — Mnietak przestraszyli!

— O córko, moja córko nieszczęśliwa! — jęknęła pani Zawilska gorzkimi zalewając się łzami — jam chora, bardzo chora, ale zwlekłam się aby ciebie pocieszyć. O biedna moja córko! Biedne moje dziecko!

— Mamo, co to jest, dlaczego mam być nieszczęśliwą?

— Toniu, Toniu najukochańsza, pociecho mojej starości, jam to wszystko przewidywała! Ale ty wiesz, że pragnąc twego szczęścia, byłam przeciwną, ty wiesz że nie jam winna!

— Mamo! na miłość Boską jaśniej się wytłumacz, bo mnie to przeraża.

— Biedne dziecko, ty nic nie wiesz... nie domyślasz się nawet... ale ja wiem wszystko, wszystko!

Pani majorowa otarła łzy gorące, wzięła córkę za rękę i posadziła obok siebie. Już chciała mówić, lecz wezbrane uczucie w piersi macierzyńskiej żądało nowych łez, nowych uścisków. Nareszcie gdy się uspokoił i ten drugi wybuch, zaczęła córce opowiadać, że Edmund ją zdradza, że szaleje za tą zalotnicą hrabiną, że o tem mówi cała okolica, i że ona, matka, uważa za najświętszy swój obowiązek przestrzedz o tem córkę, by co prędzej tak postąpiła, jak każda zacna żona postąpić powinna.

Tonia słuchała nie przerywając — a była bladą jak nigdy jeszcze. Gdy matka mówić przestała, odrzekła ustami drżącymi:

— Ja to wiem... oddawna.

— Wiesz, wiesz Tونیu, i dotąd go nie porzuciłaś ?

— I nie porzucę dobrowolnie, chyba że tego sana zażąda.

— Tونیu, córko moja, co ty mówisz! Więc znosisz taką hańbę, taki wstyd, i nawet się nie rumienisz?!

— Moja matko droga, ja się dopiero teraz wstydzę, odkąd wiem, że tajemnica mego domu stała się głośną. Majorowa ręce załamała.

— Na rany boskie, Tونیu, ja ciebie nie poznaję! Zdawało mi się zawsze, że masz ambicję, a tymczasem widzę, żeś ją już straciła!

— Przepraszam cię mamó — odparła córka, poważnie oczy podnosząc — ale sąd twój jest niesprawiedliwy. Właśnie dla tego, że mam ambicję, że wiem jakie na mnie ciężą obowiązki, milczę, przed nikim się nie skarżąc. Moja mamó, — ciągnęła coraz spokojniej — Edmund ożenił się ze mną, bo tego pragnął mój ojciec, który mnie chciał widzieć szczęśliwą. Przed rokiem gdy jeszcze byłam tak szczęśliwą, Edmund opowiedział mi to żartując... Otoż ojciec chciał, a Edmund wierzył, że w tym związku i on znajdzie szczęście.

— Nie! nie! — przerwała matka — on już wtedy ciebie oszukiwał, on już wtedy kłamał.

— Przeciwnie mamó, on wtedy wierzył, a

dziś także nie kłamie... Serce kobiety kochającej nie zawodzi, i moje mi mówi, że w pierwszych dwóch latach naszego pożycia, Edmund kochał mnie prawdziwie. Jeżeli ostatnimi czasy zmienił się, jeżeli tęskni do innej, to znakiem, że tamta zasługuje na miłość więcej jak ja... Moja mamó, jakie ja mam prawo zagradzać mu drogę do szczęścia, jakim prawem mogę go przykuwać do siebie, gdy on się na mnie zawiódł?

Zapytanie córki było zbyt filozoficznym dla umysłu matki.

— Jakiem prawem? Tem, że jesteś jego żoną, a on twoim mężem.

— Prawo to zbyt małe, moja matko droga. Mąż i żona to wyrazy próżne, bez wartości, jeśli po za niemi, jak po za formą, nie ukrywa się treść serca całego.

Tonią mówiła zbyt rozumnie by pani majorowa mogła dłużej słuchać nieprzystępnych dla siebie argumentów.

— Tونیu! córko! — zawołała, tu nic ma innej rady, ty go musisz porzucić, bo inaczej ja umrę!

— Ani ty mamó nie umrzesz, ani ja go nie porzucę. Nie porzucę, bo jestem jego żoną i matką jego dziecka. Porzucić to rzecz najłatwiejsza ale wytrwać... Może to u niego tylko obłąd chwilowy

może to namiętność, która minie... A może właśnie moja obecność wprowadzi go na inną drogę, może moje modlitwy ocalą go i dla nas zachowają... Wytrwam więc moja matko, wytrwam, choćby mi miato serce pęknąć!

Pani Zawilska sięgnęła po ostatni pocisk. — Cóрко! — rzekła — cały świat mówi że ta hrabina nie jest wdową, że rozwodzi się dopiero teraz dla twojego męża.

Biedna kobieta drgnęła i kurczowo uchwyciła się rogu sofy aby nie upaść na ziemię.

— Rozwodzi się... dla niego? — szepnęła — nie moja mamó, ja w to nie wierzę... Hermina jest może zalotną, jak z jej temperamentem każda kobieta młoda i piękna, lecz nie dostrzegłam, by rozmyślnie bałamuciła Edmunda. On sam się bałamucił.

— Widzisz, widzisz, jaki on nikczemny! — krzyknęła pani majorowa tym głosem donośnym, który strachem przejmował wszystkich domowników w Wolicy — widzisz, jaki on zdrajca! Gdyby go bałamuciła, możnaby go jeszcze usprawiedliwić, ale jeżeli dobrowolnie szaleje, to nikczemnie! nikczemnie! Jam zawsze mówiła że to gadzina ! Tonia powstała i okiem pełnym godności spojrzała na matkę.

— Mama obraża mego męża i tem samem mnie rani — odpowiedziała poważnie, — bo sąd o nim należy tylko do mnie i do Boga. Przebac mi mamó że ośmielam się mówić tak otwarcie, ale cierpiąc nauczyłam się odwagi... A teraz żegnam mamę, bo już czas do domu.

— Nie, nie pojedziesz, ja ciebie nie puszcze ! Nie dam ci koni, musisz tu zostać!

— W takim razie pójdę pieszo.

— Cóрко wyrodna, ja ciebie wydziedzicze, ja ciebie na próg mego domu nie puszcze! Ty mnie do grobu wtrącis. Tonia nic już nie rzekła. Ucałowawszy matkę w rękę, która z gniewu odchodząc od przytomności ręki nie cofnęła — wyszła na ganek ścigana złorzeczeniami. Przed gankiem stał na szczęście ekwipaż, bo Walentemu nikt nie kazał wyprządz.

(idy już daleko była za bramą, cofnęła się w głąb powozu, i dopiero teraz puściły się jej z oczu łzy ciche a gorące. Po odjeździe córki majorowa w rzeczy samej rozchorowała się na ból głowy, tak, że pani Pędracka musiała razem z Julcią całą noc zmieniać jej okłady.

Podczas rozmowy matki z córką, Edmund przechadzał się po swoim pokoju krokiem tak przyspieszonym, gorączkowym, jakby przeczuwał

bliską katastrofę. Już od dłuższego czasu rozumiał, że we własnym domu był obcym; niby gościem, który zawitawszy do dalszych znajomych, po dłuższej niebytności nie wie co z sobą począć. Dawniej było mu tu tak dobrze, tak swojsko — dziś wszystko go niepokoiło, dziś rzecz najmniejsza ścigała go wyrzutami. Obawy jego wzmogły się od owej nocy, gdy Tonia zastała go we drzwiach sypialni wpatrującego się w uśpioną Herminę. — Czy ona się domyśla? — pytał się w duchu i zaraz usiłował uspokoić się uwagą;

— Nie! to nie może! Wiedząc, nie mogłaby się tak zachować...

Pojmując całą błędność swojego postępowania, chciał wspomnienie wydrzeć z pamięci... pragnął nie myśleć o pięknej amazonce — ale nie mógł. I przypomniał sobie, jak w dniu powrotu z zagranicy podał jej rękę, jak jej drobna nóżka, ku wielkiemu zgorszeniu matron na ganku stojących, stanęła na stopniu powozu, jak z nim swobodnie potem rozmawiała, i jak mu rzuciła spojrzenia! A jakie spojrzenia! Jedno z nich mogłoby stopić żelazo, cóż dopiero człowieka!

I przypomniał sobie, że później całe dwa lata był niby szczęśliwym... niby bo teraz widzi, że to szczęście musiało być sztucznym, nie naturalnym, albowiem dziś nie jest szczęśliwym. Wi

docznie dla tego tylko był pozornie szczęśliwym, że w owych dwóch latach Herminę widywał bardzo rzadko. Ona wtedy wyjeżdżała często do stolicy, i prawie rok cały spędziła na Litwie. Za to gdy wróciwszy, częściej zaczęła do Romanówki przyjeżdżać, przekonała Edmunda, że jego szczęście było obłędem...

I przypomniał sobie jej żarty, uśmiechy, słówka dające tak wiele do myślenia, i tę przejażdżkę konną wśród nocy księżycowej, i ten wypadek w lesię — i to smutne polowanie, i tę chwilę pełną czaru, gdy ją widział uśpioną...

— Ach! ja ją kocham — zawołał — ja ją kocham! Ja tylko z nią jedną mogę być szczęśliwym!

Przestraszył się słów własnych — obejrzał się w kolo. Na szczęście w pokoju nikogo nie było.

Może rozum powinien mu być teraz podsunąć inne pytanie: Czy i ona ciebie kocha? Nie przypominasz sobie tych uwag, które od czasu do czasu oblewała cię jak zimną wodą? A jeżeli cię kocha, co potem?

Takie a nie inne byłby mu rozum zadał pytania, gdyby Edmund mógł być teraz myśleć rozumnie. Namiętność jednak jest potężniejszą

od rozumu — i w chwili gdy się do niego ucieka, przestaje być prawdziwą namiętnością.

Co miał począć? Potrzebował zobaczyć ją, pomówić z nią jak najprędzej, wypowiedzieć się ze swych uczuć, może nawet poskarżyć na los, na świat, na wszystkich byle nie na siebie! i pragnienia jego wzmagały się odkąd zaczął podejrzewać, że Tonia może w rzeczy samej domyśla się jego tajemnicy. Odtrącał to przypuszczenie, lecz jak uporczywie ono wracało! Jeżeli się domyśla, potrzeba jej zejść z oczu, potrzeba zwierzyć się tamtej, aby z tą tem łatwiej podjąć walkę.

podjemiesz? — zapytało go sumienie zimne, a nieubłagane, jak odwieczna sprawiedliwość.

Wzdrygnął się — spojrzął w zwierciadło — przeląkł się własnej twarzy. Tak był bladym!

Bezwiednie przeszedł pokój jeden, drugi, i znalazł się w sypialni żony. Tu nikogo nie zastał. Niańka wzięwszy dziecko, poszła na pogadankę do garderoby, z kąd dolatywały śmiechy wesołe.

Edmund stał patrząc w koło. Wszędzie panował porządek, wszędzie było czuć troskliwą rękę kobiety. Tylko na biurku leżały porozrza

cane papiery. Jeszcze stał, jeszcze patrzył i łza zakręciła mu się w oku... Czemu płakał? Mimo woli zbliżył się do biurka; na niem ujrzał papier kobiecą ręką zapisany. Był to list, którego Tonią nie dokończyła, bo przez okno postrzegła zajeżdżające konie z Wolicy. Wziąwszy list zaczął czytać. Snać pisała go ręką drżącą, bo litery były niewyraźne, a wątek rwał się niejednokrotnie. Czytał z czołem zmarszczonym okiem chmurnem, a potem musiał znaleźć jakiś ważny ustęp, gdyż po dwakroć wracał na jedno miejsce. Bardziej pobladł i rękę przyłożył do czoła. Co znalazł?... — Kochany ojczulku — pisała Tonią w tem miejscu — wracaj do nas jak najprędzej, bo mi ciebie bardzo, bardzo potrzeba! O tylu rzeczach chciałabym z Tobą pomówić, których nie można listowi powierzyć, z tylu obaw pragnę wynurzyć się przed Tobą, że długo, bardzo długo będziesz musiał słuchać córki zrozpaczonej. Ale to ty ojczulku tak ją rozpieściłeś, bo dziś nikt jej nie popieści... Lecz ja się nie skarzę ojczulku, nie... jam szczęśliwa, bardzo nawet szczęśliwa, i to mnie tylko dziwi, że gdy jestem sama, bezustannie na płacz mi się zbiera. Przewyciężam się jednak, i łzy w sercu tłumię, bo Edmund łez nie lubi... — Mąż Toni przeczytał, puścił papier, na czoło zimny pot mu wystąpił—

i dłużej się nie łudził. Żona wszystkiego się domyślała.

Zawsze pokazywała mu swoje listy pisywane do ojca, aby i on kilka wierszy dodał, ten zaś pisała w ukryciu, i ani mu o nim wspomniała. W każdym z dotychczasowych mówiła o swoim szczęściu, w tym wmawiała w siebie i w ojca że jest szczęśliwą. W żadnym nie było dotąd wzmianki o obawach, których bliżej nie określiła, w ż.v nym nie wspominała by Edmund czego nie lubił.

Edmund zatoczył się jakby przytomność utracił... w myśli zrobiło mu się jasno, — w duszy ciemno.

— Więc ona wie, a wiedząc na wszystko pozwalala i najmniejszego nie zrobiła mi wyrzutu Więc patrzy jak namiętność wzmaga się we mnie— a pozwala by mnie całego ogarnęła! Więc chociaż jest moją żoną, nie przeszkadza mi szaleć za inną !... Ach, tak nie postępuje kobieta kochająca, obojętną może być żona tylko dla męża, który jej nie obchodzi...

Nie! nie! ona mnie nie kocha!

Oto dokąd go zawiodło rozumowanie pod wpływem namiętności. Naturalnem jego następstwem było oskarżenie żony a usprawiedliwienie siebie. Oskarżał ją o obojętność, chłód, nawet o obłudę, a w siebie wmawiał, że jest niewinnym,.

gdyż obok takiej kobiety prędzej lub później musiałby zatęsknić do innej. Uchwyciwszy się oburącz tej myśli, zaśmiał się ironicznie, i rzuciwszy raz jeszcze okiem na list fatalny, wyszedł z głową dumnie podniesioną, jak ten, kto cierpi niesprawiedliwie.

Może po przeczytaniu listu żony, Edmund powinien był poznać swój błąd, rzucić się do nóg Toni i błagać ją o przebaczenie. O ileż piękniej świadczyłoby to o jego charakterze! Ale cóż my temu winni, że życie, to nie książka... Cóż my winni, że z wielkiej namiętności, choćby jej źródło znajdowało się w samej tylko krwi, człowiek nie leczy się wtedy, gdy tego autor żąda?

Edmund nie wyleczył się z niej teraz — owszem w niej jednej szukał ratunku dla siebie, a broni przeciwko żonie, którą chciał uważać za jedyną winowajczynię, i jeżeli kiedy to w tej chwili gotów był uczynić krok stanowczy. I nieodzownie potrzebował go uczynić. Jakkolwiek we własnym przekonaniu sam był tak nieszczęśliwym, a Tonią tak występłą, bał się ją zobaczyć... A tymczasem w oddali widział Herminę piękną, odważną, pełną energii, szlachetną, zdolną do poświęceń — anioła! Krew zagrała mu w żyłach.

Szybko napisał bilet, nieprzeczytawszy zapieczętował, i kazał Grzesia zawołać.

— Słuchaj Grzesiu ! — rzekł do chłopca — pojedziesz z tym listem do Wamowiec, i oddasz pani hrabinie, rozumiesz? Samej pani hrabinie.

— Rozumiem... proszę jaśnie pana, będzie jaka odpowiedź ?

— Zapewne... lecz może pani hrabina każe mi tylko co ustnie powiedzieć... w takim razie nie zapomnij... i przyjdź do Dąbrówki, tam mnie zastaniesz.

— Do Dąbrówki? Kiedy jaśnie pani jeszcze nie wróciła z Wolicy.

— Grzesiu! Jedź mi natychmiast i wracaj na jednej nodze.

Chłopiec wyszedł mrucząc coś do siebie, a gdy wyjechał przez bramę, Edmund poszedł do syna, ucałował go po kilkakroć, a rozkazawszy niańce, by dziecka z oka nie spuszczała, siadł na wózek stojący przed gankiem. Wóznica chciał ruszyć, lecz Edmund jeszcze go zatrzymał. Możnaż zostawić dziecko na lasce sług? Oto, co mu odjechać nie pozwoliło, już chciał wysiąść i poczekać do przyjazdu żony, gdy na pagórku ujrzał czwórkę Walentego. Bojąc się spotkać z Tonią, kazał wóznicy objechać zabudowania gospodarskie i drogami polnemi dobić się do szosy. Pędził nie oglądając się, jak zbrodniarz, gdy ucieka z miejsca zbrodni.

Po wypadku na polowaniu, hrabia Eustachy Olpiński był ciągle w złym humorze, a chociaż Herminie najmniejszego nie zrobił wyrzutu, ona bez trudności odgadła, że wujaszek nie był z niej zadowolonym i chciał coś powiedzieć, lecz nie miał odwagi.

— Drogi wujaszku — rzekła raz wieczorem, gdy oryginał jak według zwyczaju przyszedł do niej na pogadankę — jeśli się nie mylę, wujaszku cięży coś na sercu, czego radby się pozbyć.

— A kto ci to powiedział, he?

— Kto mi to powiedział? przecucie, które u nas, kobiet, większą odgrywa rolę niż u panów rozum. Wujaszek taki teraz zamyślony, nic nie pisze...

— Zgadłaś, rzeczywiście zgadłaś, a kiedy sama pytasz, więc powiem, powiem... Muszę tylko popatrzeć czy kto nie podsłuchuje, bo ta twoja panna Marjanna ciekawsza niż wygląda.

Hrabia wyszedł, pozamykał drzwi od przyległych salonów i wrócił do buduaru siostrzenicy.

— Moja droga Herminciu, — zaczął przysuwając sobie fotel do kozetki, na której ona siedziała — czas byśmy sobie nawzajem powiedzieli co nam na sercu ciąży, bo tak dłużej być nie może.

— Najchętniej, tylko jedna prośba drogi wujaszku. Jeżeli łaska, nie cytuj dziś Monteskjusza bo to przewlecze rozmowę i porozumienie utrudni.

rozśmiała się serdecznie.

— Niech go lichy porwie z wszystkimi filozofami! — odparł hrabia i ręką machnął niecierpliwie; — nie o filozofii mam teraz mówić, ale o życiu, o twojem życiu Hermino... I cóż ty na to, he?

— Nic, słucham.

— A więc dobrze, bardzo dobrze... będę zatem mówił, tylko proszę nie przerywaj, póki nie skończę. Gdy przed trzema laty otrzymałem list od twojej matki z wiadomością, że porzuciwszy męża, na dłuższy czas do mnie przyjedziesz, byłem z początku stanowczo temu przeciwny, bo według mego przekonania, kobieta może dopiero wtedy opuścić męża, gdy wprawdzie wyczerpie wszystkie środki, które bądź jego mogą naprawić jeżeli jest złym, bądź ją przeistoczył jeśli do męża nie

umie się zastosować Wyście myślały, że ja się sprzeciwiam przez skąpstwo, lub dla tego, że lubię samotność, a tymczasem ja chciałem tylko twego dobra. Wierzysz temu Hermino, he?

— Wierzę, wujaszku, ale nie wiem do czego ten wstęp zmierza.

— Pomaleńku, pomaleńku, gdzie jest wstęp, tam będzie i ciąg dalszy. Przez cały czas twego pobytu u mnie, unikałem rozmowy o Henryku, i tylko raz usiłowałem cię nakłonić, byś się z nim pojednała, na coś mi wtedy odpowiedziała, żeś jeszcze tak nisko nie upadła. Nie wypytywałem cię nigdy jak sprawa stoi, a nawet przyznam ci się otwarcie, dotąd nie wiem dokładnie, co was właściwie poróżniło, dla czego męża porzuciłaś. Czy przypadkiem nie mógłbym się teraz o tem dowiedzieć, he?

— I owszem — odpowiedziała młoda kobieta półgłosem i z oczyma w dół spuszczone — chociaż wielką mi to przykrość sprawi, powiem ci jednak drogi wujaszku, byś się przekonał, że postąpiłam jak każda kobieta uczciwa

powinna była postąpić. Za Henryka, którego wujaszek zna bardzo dobrze, poszłam z prawdziwego przywiązania... Kochałam go tak, jak tylko kochać można. Nie miał majątku, stracił go przedwcześnie, jam o tem ani pomyślała. Kilka miesięcy byłam też

szczęśliwą, ale niestety zaledwie kilka miesięcy? B Zbyt wcześnie przekonałam się że mnie zdradzał. Ostatnie słowa Hermina z trudnością wymówiła. Odnowione wspomnienia widoczną musiały jej przykreść sprawiać, bo skończywszy, zasłoniła sobie twarz i tak chwil kilka przesiadziła, z głową wspartą o poręcz fotelu.

— Zdradzał? A jak to on ciebie zdradzał, he ? Zapytana głowę podniosła; z jej oka strzeliła dumy błyskawica.

— Jak mnie zdradzał, pytasz wujaszku? Tak jak zdradza człowiek, dla którego serce kobiety jest igraszką, który o obowiązkach najmniejszego nie ma wyobrażenia, jak człowiek bez hononu Wuju, drogi wuju, on mnie zdradza! dla pospolitej baletnicy!

— To źle, bardzo źle... ale czemu moje drogie dziecko nic starałaś się oderwać go od niej, poprawić zbłąkanego, wskazać mu drogę obowiązków?

— Jak to ? — zawołała Hermina,— więc z nią, z tą baletnicą miałam rywalizować o miłość jego!? Ach, wujaszku, to wyborne, arcywyborne! Tak nisko nie upadłam jeszcze! A co do poprawienia go, przyznam się że nie kształciłam się na nauczycielkę. We mnie wuju gra ambicja, duma, ja wpiernię zginę nim się poniżę.

Jej oko było groźne, twarz pałała, nozdrza się rozszerzyły. Powstawszy zaczęła szybko chodzić po pokoju.

— Moje dziecię — odparł oryginał — Montcsquieu powiedział w księdze VII rozdział IX, że kobieta jest tak słabą, iż nie może być dumną, tylko prózną. Ale prawda, miałem go nie cytować... bierz go lichu! Nie duma więc Hermińciu mówi przez ciebie, nie, ale obrażona miłość własna. Powodowana tą namiętnością porzuciłaś Henryka, i teraz od trzech lat starasz się o uzyskanie rozwodu. Lecz ty siebie oszukujesz moje dziecko, ty mówisz o rozwodzie, i wzbogacasz Tarczuka który cię wyzyskuje, a w głębi duszy pragniesz by rozwód nie przyszedł do skutku. Nie, Hermino, ty nie chcesz rozwodu.

— Kto to wujowi powiedział? — zapytała hrabina więcej zaniepokojona, jak zdziwiona.

— Przeczucie, przeczucie, bo my oryginały miewamy tak samo przeczucia jak wy kobiety. Otoż ono mówi mi, że ty Henryka chciałyś ukarać, upokorzyć, nie wiem nareszcie co więcej, ale nie stracić. Gdy niedawno temu Tarczuk będąc u ciebie uwiadomił cię, że Henryk zgadza się na rozwód, bez którego to zezwolenia o ukończeniu procesu nie mogło być mowy, czemu da

łaś mu odpowiedź wymijającą, czemu kazałaś mu się jeszcze wstrzymać... he ?

Hermina milczała; jej oczy były teraz utkwione w próżny kąt pokoju.

— Czemu — ciągnął hrabia — ja ci powiem Hermino... ty go kochasz'.

Zbudziła się jakby pod wpływem prądu elektrycznego.

— Ja go Kocham?... Nie! nie! przenigdy! Ja go chyba nienawidzę!

— Nie wmawiaj w siebie uczuć, których nie masz — odparł hrabia biorąc ją za rękę. — Ty go kochasz i kochać musisz, jeśbyś, go dawniej kochała, bo to, co on uczynił, nie było jeszcze zbrodnią. ?le zrobił, że romansował z inną, bardzo źle, ale czy to jeszcze dowód, że tamte kochał, a ciebie nie? O moja Hermino, wierz mi, takie miłości przelotne, to drobnostki, na które kobieta rozumna i z sercem nawet zważać nie powinna.

Hermina odzyskała tymczasem dawny spokój i dumę dawną.

— Nie mów mi tego wuju, bo to mnie boli. Mąż który tak się zapomina, nie ma dla żony ani szacunku ani miłości. Ja też nie chcę go widzieć, nie, choćbym umarła!

Pan Olpiński powstał, zbliżył się do siostrzenicy, a patrząc jej w oczy, rzekł poważnie:

— Jeśli tak, to ci powiem, czego może powiedzieć nie chciałem. Popatrz do koła siebie, a znajdziesz człowieka, męża, który jest nie mniej winnym, jak Henryk. Edmund kochał swoją żonę, kocha ją dziś jeszcze, a mimo to warjuje za tobą. Widzisz Hermino, twoje rozumowanie obraca się przeciwko tobie samej!

Młoda kobieta pobladała; przez jej usta wyrwały się słowa ledwie dosłyszalne:

— Mylisz się wuju... jam tego nie dostrzegła.

— Ja się nie myślę kobieto, nie myślę, a ty się nie wypieraj, bo sobie ubliżasz. Nie powiem byś go rozmyślnie bałamuciła, bo nadto jesteś szlachetną, ale przelotnymi spojrzeniami, uśmiechami i półsłówkami, wreszcie przyjaźnią okazywaną jemu i jego żonie, zawróciłaś głowę młodemu człowiekowi. A może była nawet chwila, żeś sama chciała się w nim rozkochać, aby tem łatwiej zapomnieć Henryka, bo wy lubicie takie antidotum. Kto was tam pozna!... Tak więc w Edmundzie obudziła się namiętność krwi, która dziś zaspokojona, jutro zgaśnie... Ale to nie miłość Hermino, nie! Tak samo błędził twój mąż, a ty go potępiasz, ty go odtrącasz...

— O mój wuju! mój wuju! — zawołała

młoda kobieta, rzucając się oryginałowi na szyję na jego piersi twarz ukrywając — jeśli zawiniła, to chyba tem, że jestem kobietą!

I łzy, pierwsze, które hrabia od trzech lat zobaczył w jej oczach, nie pozwoliły jej więcej powiedzieć.

— Ja to wiem, moje dziecko, wiem, i dla tego nie rzucam na ciebie kamieniem. Ale żeby wszystko naprawić, żeby ocalić ich obu i kobietę, która chyba za to cierpi, że będąc twoją przyjaciółką szczerze cię kochała, trzeba żebyś jak najprędzej pogodziła się z Henrykiem. On już wrócił do kraju i jest...

— Gdzie? tu?

— Tylko nie tak porywcz. Jeszcze nie tu, dopiero w mieście, ale jutro może być u nas. A teraz nie płacz Hermino, nie płacz, bo widzisz ja stary, mnie to denerwuje.

Rzekłszy to oryginał wyjął chustkę i z pośpiechem obtarł sobie oczy.

— O mój dobry, poczciwy wuju! — szepnęła młoda kobieta, a pochwycawszy rękę oryginała, przycisnęła ją do ust namiętnie.

Wtej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł służący z listem na srebrnej tacy.

— Od kogo?

— Z Romanówki... Przywiózł go Grześ na koniu i prosi o odpowiedź.

Hermiona zawałowała się i listu nie wzięła; hrabia ją wyręczył, poczem dał znak służącemu aby wyszedł.

— Jak widzę od Krzezińskiego... w rzeczy samej od niego... Przeczytaj, przeczytaj, zobaczmy co on pisze.

Hermiona jednym spojrzeniem objęła cały list składający się z kilku wierszy, i padła na fotel z jękiem:

— O Boże!

— Co to jest?

— Czytaj, czytaj wuju! Hrabia czytał:

„Stoję nad przepaścią, z której wyjścia nie ma, a ratunek tylko w twoich rękach Pani! Jeżeli ci nieobojętnem życie człowieka, proszę dziś o chwilę rozmowy. Będę wieczorem w ogrodzie, luź przy furcie, przez którą idzie się do szkoły. Edmund.”

— Ho, ho, ho! — rzekł hrabia głową kręcąc — przepaść — ratunek — życie człowieka — prośba o schadzkę...

Patrzcie, patrzcie jaki z niego ptaszek. A to młokos! Hermino, i cóż na lo, he!

Nic nie odpowiedziała; twarz miała rękami zasłoniętą.

— Zrób więc jak ci rozum i serce każą.

Hrabia zbliżywszy się do siostrzenicy pocałował ją w głowę i wyszedł.

Ona po chwili zbudziła się jak z letargu, a zadzwoniwszy, kazała służącemu przyprowadzić Grzesia. Gdy ten wszedł rzekła.

— Powiedz twemu panu, że dobrze.

X.

Pan Krzysztof był uszczęśliwiony. Zobaczywszy wózek pana Krzemińskiego, wybiegł na ganek z głową odkrytą, i bez surduta, którego przez oszczędność w domu prawie nigdy nie używał, i omało na rękach nie wniósł gościa do pokoju. Radość jego była tak wielką, że nie dostrzegł ani pomieszenia w całej postaci, ani gorączkowych rumieńców na twarzy, ani niepokoju w przymglonych oczach młodego człowieka. W przekonaniu, że nic innego nie zwabiło do Dąbrówki kochanego sąsiada tylko jego stary tokaj, pan Krzysztof był już gotów posłać do piwnicy po kilka butelek; atoli Edmund domyślawszy się zamiarów gospodarza, powstrzymał go w gościnnych zapędach, czem mu prawdziwą sprawił przyjemność. Krzysztof był gościnnym, „bo już taka była jego natura” — pan Krzysztof lubił spoić sąsiadów, bo „my szlachta” lubimy pić, — ale pan Krzysztof byłby zawsze ofiarował chętnie „pięć reń

skich,” żeby to picie odbywało się kosztem cudzej kieszeni i piwnicy. Bo już taka była jego natura

Jakby przecuciem wiedziony, wkrótce zjawił się także pan Damazy z dwiema taljami kart w kieszeni, i niby od niechcienia zachęcał Edmunda do djabelka, upewniając go, że dziś całkiem się „odbije.”

Młody człowiek był jednak na wszystko nieczułym. Od pamiętnego jarmarku i owej nocy bezsennie strawionej, Edmund był ciągle niezdrów. Lekarz byłby mu może powiedział, że wracając wtedy do domu musiał się przeziębic, albowiem jak na porę jesienną był nadto lekko ubranym, i nad wodą stał na przeciągu całą godzinę; on jednak przypisywał swoją niedyspozycję powodom li moralnym. Tylu i tak gwałtownych wrażeń doznał w czasie stosunkowo tak krótkim, że pod ich naciskiem zdrowie musiało uciepieć.

Gdy przez okno, przy którym siedział, zobaczył Grzesia pędzącego, wyszedł natychmiast na dziedziniec.

— I cóż? — zapytał.

— Pani hrabina powiedziała „że dobrze.”

— Widziałeś ją?

— Widziałem, proszę jaśnie pana.

Edmunda nieprzyjemnie dotknęło, że na list dała mu ustną nie pisemną odpowiedź.

— Wkrótce pojedziemy, — rzekł po chwili.— Jak tylko się zmierzchnie, wyjedziesz sam na przód, i za wsią na mnie poczekasz.

— Dobrze proszę jaśnie pana.

Grzesia mocno to zadziwiło. Czuł że się dzieje coś niezwykłego, że na coś się zanosi, ale na co? W godzinę, Edmund wymówiwszy się bólem głowy, wyruszył od pana Krzysztofa. Na drodze krzyżowej zastał Grzesia, który stał jak ułan na wedecie. Zatrzymawszy się przed nim, kazał chłopcu zsiść z konia, i zając jego miejsce na wózku. Potem zrzucił płaszcz i sam dosiadł wierzchowca.

— Jedźcie do domu! — zawołał. Stangret przyjęty dopiero przed tygodniem, przyjął rozkaz obojętnie, ale Grześ ośmielił się zapytać.

— A co powiedzieć jaśnie pani?

— Co powiedzieć?... Powiedz żem pojechał do Jurkowiec po interesie i zaraz wrócę.

— A może by jaśnie pan wziął co na siebie, bo teraz zimno.

— Jedź swoją drogą! — krzyknął Edmund, uderzył konia szpicróżgą i galopem ruszył z miejsca..

Grześ głową pokręcił i odjechał w bardzo złym humorze.

Jakiś czas pędził Edmund jak szalony, aż gorący pot na czoło mu wystąpił; potem koń sani, nienależący do pierwszorzędnym wierzchowców, zwolnił biegu, i zaczął iść krok za krokiem.

Chłód nocy jesiennej i cisza grobowa przerywana niekiedy wyciem psów we wsi, lub przeraźliwym jękiem puszczyka, zaczęły mu powoli myśli rozjaśniać. Dopiero teraz, gdy już prawie uczynił krok stanowczy, rozważał czy nie popełnił wielkiej niedorzeczności, żądając schadzki od kobiety, o której nic wiedział czy mu była wzajemną — dopiero teraz zapytał zimny rozum, a jeżeli jest ci wzajemną, dokąd to powiedzie? I przypomniał sobie Tonię, i wyobraził sobie jej łzy, jej boleść, gdy się dowie o jego zdradzie, i przypomniał sobie dziecko, które tak kochali Osadził konia, chcąc nawrócić... Ale niestety znajdował się właśnie w miejscu, z kąd mimo panującej ciemności, dostrzegł światła na pagórku. To jaśniały dolne okna w pałacu hrabiego.

Tam w ogrodzie ona czekała... Ona! mógłże cofnąć się teraz?

Po co właściwie jechał, co jej miał powiedzieć? On się teraz nad leń nie zastanawiał.

Party jakąś siłą demoniczną, pędził jak ćma do światła, nie myśląc czy ono go spali.

Mimo to im bliżej był ogrodu, do którego zmierzał na wskos przez pola, tem częściej konia wstrzymywał, jakby z obawy, by nie wpadł w jaki przekop, i pokilkakroć chciał nawrócić. Nawet zimny dreszcz przebiegł mu po ciele — a głowa ogniem zapłonęła. Lecz kość ostatnia była już rzucona, bo oto ujrzał szkołę, tę samą, w której widział ją nauczającą, — a w białym murze ciemną furtę.

Zsiadł z konia, przypiął go do najbliższego drzewa, krokiem chwiejnym zbliżył się do furty, i wszedł do ogrodu prawie bezprzytomny.

Ale do przytomności przywołał go srebrny głos kobiecy, który zabrzmiał tuż przy nim:

— Witaj mi panie Edmundzie! Tak długo już czekam, że doprawdy zaczynałam się obawiać czy nie miałeś jakiego wypadku.

Jak niegdyś on, tak teraz ona pospieszyła na jego spotkanie. Zeszli się nawet w tem samym miejscu, tylko wtedy było południe — teraz noc. Na szczęście księżyc, który coraz później wschodził, wychylił się w sam czas z poza lasów, bo inaczej Edmund nie byłby nawet dojrzał pięknych rysów hrabiny.

— Przepraszam panią — odpowiedział, i chciał jeszcze coś dodać, ale zaciął się i umilkł.

— To drobnostka w porównaniu z przestrachem jakim mnie przejął list pański. Doprawdy nie pojmuję co się stać mogło... Ale — dodała ton mowy zmieniając — czemu my tu tak stoimy? Chodźmy do domu, służę panu.

Ostatnie słowa otrzeźwiły Edmunda.

— Nie pani, nie! — zawołał — zostańmy tu... błagam cię, zaklinam!

— Niech i tak będzie, ale w każdym razie przynajmniej usiądźmy, na tej oto ławeczce, którą poczciwy mój wuj kazał tu umieścić, jakby umyślnie dla nas.

Usiadła, — on obok niej. Błade światło księżycy padało na jej śliczny profil.

— Pani! — przemówił Edmund w oczy jej nie patrząc — przyszedłem po wyrok życia lub śmierci!

— Panie Edmundzie, coś powiedział? Jak mamę kocham byłoby to bardzo tragiczne, gdyby nie było...

— Nie szydź pani! — przerwa! młody człowiek, chwytając ją gwałtownie za rękę, i wlepiając w nią wzrok rozogniony.

— Nie szydź pani, bo jeszcze nie wiesz co powiem!

Ten śmiech i to spojrzenie, przekonały ją

binę, że nie zawsze można leczyć żartami. To też rzekła łagodnie, prawie tkliwie.

— Ja nie szydę panie Edmundzie, nie... i chętnie cię wysłucham. Mów, mów panie Edmundzie i nie trwóż mię dłużej.

— Pani! — odpowiedział trzymając ją ciągle za rękę, której ona nie cofnęła — ja nie wiem co się ze mną stało, jam człowiek zgubiony.. W domu mi straszno, w świecie pusto.. nigdzie spoczynku, wszędzie niepokój... może to szaleństwo, może nawet zbrodnia, ja nie wiem, ale odkąd bliżej cię poznałem, odkąd zrozumiałem skarby twojej duszy, ja bez ciebie jestem niczem, błędną gwiazdą rzuconą w próżnię, duchem wykolejonym... Powstrzymałem się do tej chwili, pasowałem się z sobą, walczyłem, lecz widzę że nie zwyciężę. Bez ciebie nie ma dla mnie nawet nadziei szczęścia, tyś dla mnie początkiem, końcem bo ja ciebie kocham! kocham!

Mówił szybko, namiętnie, gorąco, i białą jej rękę do swojej piersi przyciskał. Hermina słuchała go z sercem bijącym, i usty drżącymi. Przyszła, aby go szybko wyleczyć, jeśli można żartem lub ironją, tą najstraszliwszą bronią w ustach kobiety, a słysząc jego słowa sama się wzruszyła. Aż do tej chwili nikt jeszcze do niej tak nie przemawiał.

— Panie Edmundzie — rzekła głosem drżą

cym, — tobie się tak zdaje... to wyobraźnia mówi twemi ustami.

— Nie Hermino, nie! Ja cię kocham, ko; cham do szaleństwa!

On wpatrywał się w nią okiem roziskrzonym, namiętnym, — ona milczała, milczała długo, zbierając całą siłę ducha, a gdy znowu mówić zaczęła, jej głos był nierównie spokojniejszym, nawet brzmiał stanowczo.

— Panie Edmundzie, to, co tu słyszałam, może być prawdą, lecz czy zastanowiłeś się nad tem dokąd to ciebie powiedzie? Czy pomyślałeś, że kobieta jak ja nie może być przedmiotem miłości przelotnej, że kochając mnie, musiałbyś zerwać z całym światem?

— Zerwę! zerwę! tylko ty powiedz że mnie kochasz!

— Zerwiesz? Czy zastanowiłeś się pan nad tem coś powiedział?

— Żądam dowodów pani, rozkazuj!

— Więc porzucisz żonę i dziecko? Takim to wymówiła głosem, że Edmund puścił jej rękę.

— Wahasz się panie Edmundzie — mówiła dalej spokojnie, — i tem wahaniem cały się zdradziłeś. Rozumiem cię i usprawiedliwiam... Jesteś młody i niezensuty, masz duszę pragnącą wrażeń.

Ożeniłeś się wcześniej, i wziąłeś anioła, który słodyczą charakteru, dobrocią zdolną do każdego poświęcenia, zepsuł cię panie Edmundzie. Zapragnąłeś nowych wrażeń, odmiany... Zjawiłam się niestety ja, i tyś w obłęd popadł... jam ci się wydała inna, doskonalsza... Zdaje ci się, żeś mnie pokochał, ale to nie miłość panie Edmundzie. Znałeś mnie przecie dawniej, przed twoim ślubem, czemuż mi wtedy tego nie mówiłeś? Czemu milczałeś całe dwa lata potem, a czemu szalejesz dopiero dziś? Bo nudząc się, szukasz odmiany... .Szczęście twoje panie Edmundzie, żeś znalazł mnie... Inna byłaby cię może doprawdy nad brzeg przepaści zaprowadziła, a może i zgubiła! Ja pragnę cię ocalić.

— Kobieto! — krzyknął Edmund prawie od przytomności odchodząc — kobieto, tyś mnie zgubiła!

— Ja? Chyba to przeciw mnie świadczy, że byłam dla was z przyjaźnią i... i może żem się chciała podobać Ale panie Edmundzie, to leży w naturze kobiety — każda z nas musi być taką... Gdy brzydka, nikt na to nie zważa — gdy do ludzi podobna, świat nazywa ją zalotną. Jeżeli więc tem zgrzeszyłam, przebac mi panie Edmundzie!

Powstała; on machinalnie także się pod

niósł. Głowa o mało mu nie pękła, nogi pod nim drżały, w oczach mu pociemniało.

Żegnam cię panie Edmundzie! — mówiła dalej rękę mu podając. — Wróć do swoich aniołów i bądź szczęśliwym, ja zaś dochoвам wam przyjaźni. Bądź zdrow panie Edmundzie'.

Ujął ją za rękę i do ust przycisnął — ona przyłożyła chusteczkę do oczu.

Gdy zniknęła w głębi alei — on wyszedł przez furtę innym człowiekiem.

Z namiętności uleczyła go uczciwość. Sam nie wiedział kiedy do domu wrócił. Przed gankiem padł koń nieżywy. Z łoskotem otworzył drzwi, a gdy postrzegł Tonie spieszącą na jego spotkanie, rzucił jej się do nóg wołając:

— Aniele! uciekaj od zbrodniarza!

— Co mówisz Edmundzie? — krzyknęła Tonią, przestraszona nie tyle słowami co bladością jego twarzy.

— Jam zbrodniarz! Jam nikczemny! Jam ciebie chciał zdradzić!

— Mundziu, mój mężu kochany! — odpowiedziała z anielskim uśmiechem, obejmując go za szyję — ja ci przebaczam, przebaczam z całego serca.

— Ja nie chcę twego przebaczenia, nie! Na

litość boską gniewaj się na mnie, choć raz się rozgniewaj, bo mnie zabijasz tą dobrocią!

— Uspokój się Mundziu... ty masz gorączkę... tyś bezprzytomny. Za cóż mam się gniewać, kiedy do winy się przyznajesz?

— Mój Boże, co ta kobieta ze mną robi! — krzyknął chwytając się za głowę — wszystko widzi, nic nie mówi, nawet się nie gniewa! Ona mnie chyba nie kocha!...

— Mundziu! — odrzekła Tonią poważnie — ja cię kocham, bardzo kocham i przebaczam z miłości. Ale przebaczyć można tylko raz... Gdyby to się jeszcze raz powtórzyło Mundziu, jabym...

— O tak, tak mój aniele! — zawołał mąż przyciskając ją do piersi.

Ale ten uścisk wyczerpał jego siły. Jak pijany zachwiał się na nogach i padł na fotel.

XI.

w trzy tygodnie po opowiedzianych zdarzeniach, w wygodnym krześle poręczowem spoczywał Edmund; obok siedziała Tonią z dzieckiem na kolanach.

W pokoju było ciepło i przyjemnie; o okna uderzał wiatr jesienny. Edmund wyglądał jak człowiek, który podniósł się z ciężkiej choroby; na twarzy Toni widać było ślady łez i nocy na czuwaniu strawionych.

Po ostatniej wycieczce do Warnowiec, i rozmowie z Herminą, Edmund dostał zapalenia mózgu i dopiero dziś pierwszy raz wstał z łóżka. Za to wstał jak człowiek nowy, odrodzony, który spokojnie oceniał przeszłość.

— Co też porabia pani Hermina? — zapytał zwracając się do żony.

— Pogodziła się z mężem i wkrótce wróci do Warnowiec, bo hrabia oddał im cały majątek.

— Chwała Bogu! — szepnął Edmund — zagna kobieta, niech będzie szczęśliwą!

Sąd Edmunda byłby jeszcze korzystniejszym, gdyby był wiedział, co jednak Tonią uznała za stosowne przemilczeć, że trzeciego dnia po owej nocy pamiętnej, Hermina o niczem nie wiedząc, przyjechała ich pożegnać; że Tonią ujrzawszy wchodzącą uchwyciła ją za rękę i przyprowadziła do łóżka w malignie leżącego męża, że zawołała: Patrz oto twoje dzieło! — że Hermina upadła jej do nóg, że obie potem rzewnie płakały, i że hrabina tak długo nie opuściła chorego, póki niebezpieczeństwo całkiem nie minęło.

— Tak mi się podoba! — dał się słyszeć we drzwiach głos pana Zawilskiego, który przyjechał pod sam koniec choroby zięcia i nie wiedząc o tem, co ją spowodowało, był najpewniejszym że Edmund tylko się przeziębził. — Jak tak dalej pójdzie mój chłopcze, to do dwóch tygodni zapolujemy na lisa, bo ani byś dał wiarę ile ich się tu teraz kręci.

— Najchętniej, jeśli Tonią pozwoli — odrzekł Edmund z uśmiechem całując żonę, w której oczach malowało się całe niebo szczęścia.

Co się stało z innymi osobami naszej opowieści ?

Pani majorowa pogodziła się nareszcie z zię

ciem. Gdy raz wychodziła z kościoła, hrabia Dziunio mimo że miał monokl w oku, udał że jej nie widzi. To tak zirytowało panią Zawilską, że przed ukochaną Pędrasią, która jest ciągle klucznicą we Wolicy, nazwała Dziunia prostym „błaznem,” na co Pędrasią odrzekła, że ona już oddawna była tego samego zdania. Po tem rozczarowaniu, pani majorowa postanowiła zbliżyć się do dzieci, i o ile wiemy wcale tego nie żałuje.

Pan Damazy gra dalej w djabelka, hrabia Dziunio puścił się za bogatą dziedziczką aż do Monaco, gdzie prawdopodobnie straci resztę majątku; pan Jakób ożenił się z ciepłą wdówką, a pan Krzysztof co raz rzadziej zaprasza kochanych sąsiadów na winko i kolacyjkę, bo dzieci w mieście niesłychanie drogo kosztują. Słowo honoru! panie dobrodzieju trzeba się oszczędzać, bo już taka moja natura, że ja wszystko dla dzieci!

Co do pani Herminy, ta z mężem żyje w Warnowcach bardzo przykładnie, i mają córeczkę, którą stary hrabia kołysze i niańczy, na co jednak często się uskarża, bo „Kronika świata” odpoczywa pod kurzem, którego pod żadnym warunkiem strzepywać nie wolno,

Edmund zaprzyjaźnił się z Henrykiem, Tonią kocha Herminę, a że dzieci zaczynają podraść,

więc rodzice nieraz o tem rozmawiają, że byłoby bardzo pięknie, gdyby Mundzio ożenił się z Jadwisią. Jeżeli to nastąpi, a ich życie nie będzie zbyt spokojnem, może kiedyś i o nich coś napiszemy.

KONIEC.